

13	Al	14	Si	15	P	16	S	17	Cl	18	Ar		
	Aluminium		Silicium		Phosphorus		Sulphur		Chlorum		Argon		
30	Zn	31	Ga	32	Ge	33	As	34	Se	35	Br	36	Kr
Zincum		Gallium		Germanium		Arsenicum		Selenium		Bromum		Krypton	
48	Cd	49	In	50	Sn	51	Sb	52	Te	53	I	54	Xe
Cadmium		Indium		Stannum		Stibium		Tellurium		Iodum		Xenon	
80	Hg	81	Tl	82	Pb	83	Bi	84	Po	85	At	86	Rn
Hydrargyrum		Thallium		Plumbum		Bismutum		Polonium		Astatum		Radon	

PRIMO
LEVI
Układ
okresowy





PRIMO
LEVI
Układ
okresowy

przełożyła
Zofia Koprowska

Wydawnictwo Literackie

Ibergekumene cores iz gut cu dercejln

(Dobrze jest opowiadać o minionych kłopotach, z jidysz)

ARGON

W powietrzu, którym oddychamy, występują tak zwane gazy obojętne. Ich ciekawe nazwy wywodzą się ze starożytnej greki i oznaczają „nowy”, „ukryty”, „bezczynny”, „obcy”. W rzeczy samej, są one tak obojętne, tak zadowolone ze swojej kondycji, że nie biorą udziału w żadnej reakcji chemicznej, nie łączą się z żadnym innym pierwiastkiem i właśnie z tego powodu przez wiele stuleci pozostawały niezauważone. Dopiero w 1962 roku pewnemu oddanemu sprawie chemikowi, po długich i twórczych wysiłkach, udało się zmusić Obcego (ksenona), by połączył się przelotnie z żarłocznym, wyjątkowo żywotnym fluorem, i wydarzenie to wydało się tak niezwykle, że przyznano mu Nagrodę Nobla. Zwane są także gazami szlachetnymi, ale należałoby się zastanowić, czy aby na pewno wszystkie gazy obojętne są szlachetne, a wszystkie szlachetne są obojętne. Określa się je także mianem gazów rzadkich, mimo że jeden z nich, argon, Bezczynny, utrzymuje w powietrzu godne szacunku stężenie jednego procenta, a więc jest go dwadzieścia czy trzydzieści razy więcej niż dwutlenku węgla, bez którego nie byłoby nawet śladu życia na naszej planecie.

Nieliczne informacje, jakie posiadam o moich przodkach, czynią ich podobnymi do owych gazów. Nie wszyscy byli fizycznie bezczynni, ponieważ los im na to nie pozwalał. Byli, a raczej musieli być, nawet całkiem aktywni, żeby zarobić na życie, a także z powodu pewnej niepisanej zasady, zgodnie z którą „kto nie pracuje, ten nie je”. Jednak w głębi duszy bez wątpienia pozostawali obojętni, skłonni do niewyrachowanych spekulacji, dowcipnych wywodów, do eleganckich, wyrafinowanych i bezcelowych dysput. Nie może być dziełem przypadku fakt, że historie z ich udziałem, niezależnie od tego, jak bardzo by się od siebie różniły, łączy coś statycznego, owo wyniosłe zdystansowanie, owo dobrowolne (lub zaakceptowane) wycofanie się na margines głównego nurtu życia. Szlachetni, obojętni, nieliczni. W porównaniu do dziejów innych znamienitych społeczności żydowskich we Włoszech i w Europie ich historia jest wyjątkowo uboga w fakty. Prawdopodobnie przybyli do Piemontu około roku 1500 z Hiszpanii, przez Prowansję, jak zdają się o tym świadczyć niektóre charakterystyczne toponimiczne nazwiska: Bedarida – Bédarrides, Momigliano – Montmélian, Segre (jest to jeden z dopływów Ebro, który płynie przez Léridę w południowo-wschodniej Hiszpanii), Foà – Foix, Cavaglione – Cavallone, Migliau – Millau. Nazwę miasteczka Lunel¹, położonego w pobliżu delty Rodanu pomiędzy Montpellier a Nîmes, przetłumaczono na hebrajski jako Jareach (księżyc) i stąd wywodzi się żydowsko-piemonckie nazwisko Jarach.

Nieakceptowani lub niechętnie przyjmowani w Turynie, osiedlali się w wioskach południowego Piemontu, sprowadzając tu technologię produkcji jedwabiu i ani razu, nawet w okresach największej pomyślności, nie zmieniając swego statusu mniejszości wyjątkowo nielicznej. Nigdy nie byli ani zbyt lubiani, ani zbyt nienawidzeni. Nie dotarły do nas informacje o jakichś szczególnych prześladowaniach. A jednak jeszcze kilkadziesiąt lat po ich emancypacji w roku 1848 i migracji do miast swego rodzaju mur podejrzliwości, jakichś bliżej nieokreślonej niechęci i szyderstwa odgradzał ich od reszty społeczeństwa. O ile prawdą jest to, co mój ojciec opowiadał mi o swoim dzieciństwie w Bene Vagienna, a

¹ Istnieje podobieństwo fonetyczne pomiędzy nazwą Lunel, a włoskim wyrazem *luna* – księżyc (przypisy pochodzą od tłumaczki).

mianowicie, że przy wyjściu ze szkoły jego rówieśnicy mieli w zwyczaju naigrawać się z niego (dobrodusznie), machając rogiem marynarki ściśniętym w dłoni na kształt oślego ucha i śpiewając: „*Ôrije 'd crin, ôrije d'asô, a ji ebreô ai piasô*”, „Ucho osiołka, ucho prosiaka, na taki cymes Żydek ma smaka”. Przytyk do uszu jest nadużyciem, a gest pierwotnie był świętokradczą parodią powitania, jakie wymieniają między sobą bogobojni Żydzi, kiedy wzywani są do synagogi na czytanie Biblii i ukazują jeden drugiemu brzeg chusty modlitewnej. Jej frędzle, o dokładnie określonej liczbie, długości i kształcie, mają wiele mistycznych i religijnych znaczeń. Chłopcom jednak nie było już znane źródło tego gestu. Chciałbym tu przy okazji przypomnieć, że znieważanie chusty modlitewnej jest stare jak sam antysemityzm: to właśnie tych chust, zarekwirowanych wcześniej deportowanym, SS używało do pakowania majątków, które rozdawano potem żydowskim więźniom obozów.

Jak to zwykle bywa, niechęć okazała się wzajemna. Po stronie mniejszości wzniesiono analogiczny mur odgradzający ją od całego chrześcijaństwa (*goim, rarelim*: „innowiercy”, „nieobrzezani”), odtwarzając tym samym, na skalę lokalną oraz na tle pokojowego i sielankowego krajobrazu, znaną z Biblii oraz przekazów sytuację narodu wybranego. Owa fundamentalna nieprzystawalność była pożywką dla dobrodusznej ironii naszych wujów (*barba*) i ciotek (*magna*), dostojnych patriarchów zalatujących tytoniem oraz królowych domowych pieleszy, którzy z dumą określali się mianem *'l pópôl d'Israël*, ludu Izraela.

Jeśli chodzi o słowo „wuj”, to trzeba powiedzieć już na wstępie, że należy rozumieć je w sensie bardzo szerokim. Panuje u nas zwyczaj nazywania wujami wszystkich krewnych w podeszłym wieku, nawet tych najdalszych. A ponieważ wszystkie starsze osoby w naszej społeczności są, w jakimś stopniu, twoimi krewnymi, liczba wujów jest niemała. W przypadku wujów, którzy dożywają sędziwych lat (co często się zdarza – jesteśmy ludźmi długowiecznymi, już od czasów Noego), określenie *barba*, lub odpowiednio *magna*, z czasem zrasta się z imieniem, a w wyniku wymyślnych zdrobnień i niespodziewanych analogii fonetycznych pomiędzy językiem hebrajskim a piemonckim stapia się w skomplikowane przydomki o nietypowym brzmieniu. Te zaś przekazuje się z pokolenia na pokolenie w niezmienionej formie wraz z historiami, wspomnieniami i powiedzonkami tych, którzy przez tyle lat owe przydomki nosili. W ten sposób powstał Barbaiôtô (wuj Eliasz), Barbasachín (wuj Izaak), Magnaiéta (ciotka Maria), Barbamôisín (wuj Mojżesz, o którym opowiada się, jakoby kazał pewnemu szarlatanowi usunąć sobie dwa dolne siekacze, żeby wygodniej trzymać w ustach cybuch fajki), Barbasmelín (wuj Samuel). A także Magnavigàia (ciotka Abigaille, która jako panna młoda wjechała do Saluzzo na białej mulicy, podróżując od Carmagnola w górę po zamrzniętym Padzie), Magnafôriña (ciotka Zefora, z hebrajskiego *Cipora*, co oznacza samicę ptaka – niezwykle imię). W jeszcze odleglejszej epoce musiał żyć Nônô Sacòb, który pojechał kiedyś do Anglii kupić materiały i dlatego też nosił *'na vestimenta a quader*, ubrania w kratę. Jego brat Barbapartìn (wuj Bonaparte – jest to imię do dziś popularne wśród Żydów, nadawane na pamiątkę pierwszego, krótkotrwałego równouprawnienia darowanego im przez Napoleona) utracił swój tytuł wuja, ponieważ Pan, niech będzie błogosławiony, zesłał mu tak nieznośną żonę, że ten ochrzcił się, wstąpił do zakonu i jako misjonarz udał się do Chin, żeby być od niej tak daleko, jak to tylko możliwe.

Babka Bimba była pięknoscią, nosiła boa ze strusich piór i miała tytuł baronowej. Ją i całą jej rodzinę baronami uczynił Napoleon, ponieważ oni *'l aviô prestaie 'd mañòd*, „pożyczili mu pieniądze”.

Barbarônín (wuj Aaron) był wysoki, dobrze zbudowany i radykalny w swoich pomysłach. Uciekł z Fossano do Turynu i parął się różnymi zajęciami. Zaangażowano go w Teatrze Carignano jako statystę w *Don Carlosie*, on zaś napisał do rodziców, żeby przyjechali zobaczyć premierę. Wuj Natan i ciotka Allegra przybyli i zasiedli na galerii. Kiedy podniosła się kurtyna, ciotka ujrzała swojego syna uzbrojonego po zęby niczym Filistyńczyk i zawołała

ile sił w płucach: „*Rônin, co 'tfai! Posa còl sàber!*”, „Aronie, co ty wyrabiasz! Odlóże tę szablę!”.

Barbamiclín był prostym człowiekiem. W Acqui szanowano go i otaczano opieką, ponieważ napisano, że ludzie proszą synami Bożymi i nie będziesz im mówił *Raka*². Przezywali go za to Piantabibini³, od czasu, kiedy pewien *rasza* (bezbożnik) zadrwił sobie z niego, wmawiając mu, że indyki (*bibini*) sady się niczym brzoskwinie – wtyka się ich pióra w rowki w ziemi i potem ptaki rosną na gałęziach. Zresztą indyk zajmował, nie wiedzieć czemu, ważne miejsce w tym rodzinnym świątku, z natury wesołym, łagodnym i uporządkowanym. Może dlatego, że będąc stworzeniem pysznym, niezgrabnym i cholerycznym, manifestuje cechy przeciwstawne i łatwo staje się obiektem żartów. A może po prostu dlatego, że – kosztem jego samego – na święto Paschy przygotowywało się słynną, na połę rytualną *quaiëtta 'd pitô* (kotlet z indyka). Weźmy na przykład wuja Pacifico: on także hodował indyczkę, do której się przywiązał. Naprzeciwko niego mieszkał pan Lattes, muzyk. Indyczka gulgotała i przeszkadzała panu Lattesowi. Ten poprosił wuja Pacifico, żeby kazał indyczce się uciszyć. Wuj odpowiedział: „*Sarà fàita la sôa cômmission. Sôra pita, c'a staga ciùtô*”, „Pańskie życzenie zostanie spełnione. Pani indyczko, proszę się uciszyć”.

Wuj Gabriel był rabinem i stąd zwano go Barba Morénô, wuj Nasz Nauczyciel. Pewnego dnia, kiedy był już stary i na wpół ślepy, wracał piechotą, pod palącym słońcem, z Verzuolo do Saluzzo. Dojrzał nadjeżdżający wóz, zatrzymał go i poprosił o podwiezienie. Potem jednak, kiedy rozmawiał z woźnicą, zaczęło do niego docierać, że jedzie karawanem wiozącym zmarłą chrześcijankę na cmentarz: rzecz budząca zgorszenie, gdyż jak napisano w Księdze Ezechiela 44,25, kapłan, który dotknie umarłego lub tylko wejdzie do pomieszczenia, gdzie zmarły spoczywa, jest skalany i nieczysty przez siedem dni. Skoczył na równe nogi i zawołał: „*I eu viagià côn 'na pegartà! Viturín fermé!*”, „Podróżowałem ze zmarłą! Woźnico, stójcie!”.

*Gnôr*⁴ Grassiadiô i *Gnôr Còlômbô* byli dwoma przyjaciółmi-nieprzyjaciółmi, którzy, jak głosi legenda, od niepamiętnych czasów mieszkali naprzeciw siebie, po dwóch stronach pewnego wąskiego zaułka w mieście Moncalvo. *Gnôr* Grassiadiô był masonem i bogaczem. Trochę się wstydził swego żydostwa i poślubił *gôia*, to znaczy chrześcijankę, o blond włosach, długich aż do ziemi, która przyprawiała mu rogi. Tę gojkę, pomimo że była gojką, nazywano Magna Ausilia, co wskazuje na pewien stopień akceptacji ze strony epigonów. Była córką kapitana marynarki, ten zaś podarował *Gnôrowi* Grassiadiô dużą, pstrokatą papugę pochodzącą z Gujany, która mówiła po łacinie „Poznaj siebie samego”. *Gnôr Còlômbô* był człowiekiem ubogim i mazzinistą z przekonania. Gdy pojawiła się papuga, kupił sobie wronę, całkiem wyliniałą, i nauczył ją mówić. Kiedy papuga wołała: „*Nosce te ipsum*”, wrona odpowiadała: „*Fate furb*”, „Gadaj zdrów”.

À propos pegarty wuja Dawida, *gôii* *Gnôra* Grassiadiô, *mañòd* babki Bimby oraz *haverty*, o której za chwilę, wydaje się tu niezbędne jedno wyjaśnienie. *Havertà* jest wyrazem wywodzącym się z języka hebrajskiego, zniekształconym zarówno pod względem brzmienia, jak i znaczenia, o wielorakich konotacjach. W rzeczywistości jest zwyrodniałą formą rodzaju żeńskiego rzeczownika *chaver* – towarzysz i oznacza służącą, ale dodatkowo jego znaczenie zawiera w sobie wyobrażenie kobiety niskiego pochodzenia, o odmiennych wierzeniach i obyczajach, którą jest się zmuszonym trzymać pod własnym dachem. *Havertà* jest z założenia niezbyt czysta i rozwiązła, z definicji wścibska, jeśli chodzi o zwyczaje i rozmowy państwa domu – do tego stopnia, że ci zmuszeni są używać w jej obecności specjalnego żargonu, do

² Nawiązanie do Biblii: „A Ja wam powiadam: Każdy, kto się gniewa na swego brata, podlega sądowi. A kto by rzekł swemu bratu: Raka, podlega wysokiej Radzie” (Mt 5,22). Ten i dalsze cytaty wg Biblii Tysiąclecia.

³ Piantabibini – przerwisko będące połączeniem czasownika *piantare* – sadyć, oraz rzeczownika *bibini* – indyki.

⁴ *Gnôr* (d. piemontcki) – odpowiednik włoskiego *signor*, pan.

którego oczywiście należą i sam termin *havertà*, i wszystkie wyżej wymienione określenia. Ten żargon praktycznie już zaniknął. Kilka pokoleń temu liczył sobie jeszcze kilkaset wyrazów i wyrażeń, złożonych w większości z rdzenia hebrajskiego oraz z piemonckich końcówek i przyrostków. Nawet pobieżna analiza dowodzi jego funkcji maskujących i konspiratorskich, jego charakteru złodziejskiej gwary używanej, gdy mówi się o gojach w obecności gojów. A także by butnie im odpowiedzieć za pomocą obelg i przekleństw, nie będąc przy tym zrozumianym, zgodnie z nałożoną przez nich samych regułą klauzury i ucisku.

Jego wartość historyczna jest niewielka, ponieważ nie mówiło nim nigdy więcej niż kilka tysięcy osób. Jednak jego znaczenie w wymiarze ludzkim jest ogromne, jak w wypadku wszystkich języków pogranicza, języków pośrednich. Rzeczywiście, zawiera on w sobie dużą dozę komizmu, który rodzi się z kontrastu pomiędzy koścem wypowiedzi – dialektem piemonckim, suchym, powściągliwym i lakonicznym, nigdy nie użytym w piśmie, chyba że przez przypadek – a hebrajskim spoiwem, podebrany z pradawnego języka ojców, uświęconego i podniosłego, wygładzonego przez tysiąclecia niczym łożysko lodowców. Jednak ten kontrast jest odbiciem jeszcze innej sprzeczności, tej zasadniczej, dotyczącej istoty bycia Żydem w diasporze – zagubionym pośród innowierców (właśnie owych *goim*), rozdartym pomiędzy boskim powołaniem a codzienną niedolą uchodźcy. Lub jeszcze innego kontrastu, znacznie bardziej uniwersalnego, tego zakorzonego w ludzkiej naturze, ponieważ każdy człowiek jest centaurem, mieszkanką ciała i rozumu, boskiego tchnienia i prochu. Naród żydowski, po tym jak rozpieczętował się po świecie, przez długi czas w dotkliwy sposób owego konfliktu doświadczał i wyciągnął z niego naukę w postaci swojej mądrości, a także poczucia humoru, którego brak w Biblii i u Proroków. Są nim przesiąknięte jidysz oraz, w granicach swoich skromnych możliwości, owa dziwna mowa naszych ojców zamieszkałych na tych ziemiach, którą chciałbym przypomnieć, zanim całkiem zaniknie. Jest to mowa z natury sceptyczna oraz dobronasza i tylko nieuwważnemu badaczowi mogłaby wydać się bluźniercza, podczas gdy jest przejawem serdecznej i pełnej szacunku zażyłości z Bogiem, *Nôssgnôrem*⁵, *Adonai Elohenu, Kadosz Boruch*.

Jej korzenie niewątpliwie tkwią w języku uciemionych. Brakuje jej „nieprzydatnych” wyrazów, takich jak „słońce”, „człowiek”, „dzień”, „miasto”, podczas gdy występują wyrazy oznaczające „noc”, „chować”, „pieniądze”, „więzienie”, „sen” (używany jednak prawie wyłącznie w wyrażeniu *bachalom*, we śnie, dodawanym żartobliwie do jakiegoś stwierdzenia po to, by zostało ono zrozumiane przez towarzysza, i tylko przez niego, w sposób dokładnie przeciwny), „kraść”, „powiesić” i tym podobne. Poza tym istnieje spora liczba pogardliwych określeń, służących nieraz do wyrażenia opinii o osobach trzecich, lecz częściej stosowanych, na przykład, pomiędzy żoną i mężem, którzy właśnie zatrzymali się przed kramem jakiegoś chrześcijanina i są niepewni co do zakupu. Wymieńmy *'n saròd*, pluralis maiestatis, wprawdzie już w ten sposób nie odczytywany, hebrajskiego wyrazu *cara* – bieda, używany, by opisać niewiele warty towar lub taką też osobę. Istnieją także jego zgrabne zdrobnienie *saròdin*, jak również zasługujący na zachowanie okrutny frazeologizm *saròd e senssa mañòd*⁶ stosowany przez swata w odniesieniu do dziewcząt brzydkich i bez posagu. *Hasirúd* to abstrakcyjny rzeczownik zbiorowy pochodzący od *chazir* – świnia, a zatem oznaczający mniej więcej tyle co świństwo, świństwko. Należy zauważyć, że dźwięk „u” (jak we francuskim) w języku hebrajskim nie istnieje. Istnieje za to końcówka „ut” (z „u” włoskim), która pozwala tworzyć wyrazy o znaczeniu abstrakcyjnym (na przykład *malchut*, królestwo, od *melech*, król), jednak brakuje jej owych silnie negatywnych konotacji, jakie nadano jej w użyciu żargonowym. Kolejne zastosowanie tych i innych wyrazów, co jest typowe i rozumie

⁵ *Nôssgnôr* (d. piemoncki) – odpowiednik włoskiego *Nostro Signore*, Nasz Pan.

⁶ *Saròd e senssa mañòd* (d. piemoncki) – brzydka i bez pieniędzy.

się samo przez się, można było spotkać w sklepach, w rozmowach pomiędzy ich właścicielami i sprzedawcami, a przeciwko klientom. W Piemoncie zeszłego stulecia handel bławaty często znajdował się w rękach Żydów, w wyniku czego zrodził się specjalistyczny pod-żargon. Ten zaś, przekazywany dalej przez sprzedawców, którzy zakładali własne sklepy, choć nie zawsze byli Żydami, rozprzestrzenił się w tej branży. Do dzisiaj jest on żywy i używany przez ludzi, którzy dziwią się bardzo, jeśli przez przypadek dowiedzą się, że posługują się żydowskimi wyrazami. Niektórzy stosują jeszcze choćby wyrażenie *'na vesta a kinim*, mając na myśli sukienkę w kropki, *kinim* zaś to wszy, trzecia z dziesięciu plag egipskich wyliczanych i wyśpiewywanych podczas obrzędów żydowskiej Paschy.

Istnieje ponadto skromny asortyment wyrazów niezbyt przyzwoitych, których można używać nie tylko w obecności dzieci, ale także zamiast przekleństw. W tym przypadku, w porównaniu z analogicznymi słowami włoskimi czy piemonckimi, oprócz wspomnianej już zalety, jaką jest ich niezrozumiałość, mają również i tę, że pozwalają ulżyć sercu, nie raniąc przy tym ust.

Dla badacza obyczajów z pewnością bardziej interesujące są niektóre wyrazy nawiązujące do wiary katolickiej. W takich przypadkach oryginalnie hebrajska forma zostaje zniekształcona w dwójnasób. Po pierwsze, zachowanie tajemnicy było tu szczególnie konieczne, ponieważ zrozumienie tej mowy przez niewiernych mogłoby nieść ze sobą niebezpieczeństwo pomówienia o świętokradztwo. Po drugie, zniekształcenie ma tutaj konkretny cel, by zanegować, zamazać magiczno-sakralną treść wyrazu, a zatem by pozbawić go jakichkolwiek ponadnaturalnych właściwości. Z tego samego powodu we wszystkich językach diabeł określany jest wieloma terminami o charakterze aluzyjnym i eufemistycznym, które pozwalają wskazać go bez wymieniania jego imienia. Kościół (katolicki) nazywany był *tônevà*. Jest to rzeczownik, którego pochodzenia nie udało mi się ustalić i który z języka hebrajskiego wziął jedynie swoje brzmienie. Tymczasem synagoga, z wyniosłą skromnością, zwana była po prostu *scòlâ* – miejscem, gdzie się naucza i pobiera nauki. Analogicznie rabina nie określano właściwym terminem *rabi* lub *rabenu* (nasz *rabi*), ale jako *moréno* (nasz nauczyciel) albo *khakhâm* (mędrzec). W *scòli* naszych uczuć nie rani okropny *khaltrúm* niewiernych: *khaltrúm*, czy też *khantrúm*, oznacza obrzędy i bigoterię katolików, która jest nie do przyjęcia, ponieważ jest politeistyczna i wypełniona obrazami („Nie będziesz miał cudzych bogów obok Mnie! Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu... Nie będziesz oddawał im pokłonu”, Wj 20,3), a zatem bałwochwalcza. Także i w przypadku tego wyrazu, nacechowanego zgorszeniem, nieznany pozostaje jego źródłosłów, prawie na pewno niehebrajski. Jednak w innych żargonach żydowsko-włoskich występuje przymiotnik *khalto* oznaczający właśnie „bigoteryjny” i używany przede wszystkim w odniesieniu do chrześcijanina – czciciela obrazów.

A-issà to Madonna (oznacza po prostu kobietę). Całkowicie tajemniczym i niemożliwym do odczytania, jak należało się tego spodziewać, pozostaje określenie *Odò*, za pomocą którego, kiedy już w żadnym razie nie dawało się tego uniknąć, wskazywano na Chrystusa, zniżając przy tym głos i lękliwie rozglądając się dookoła: o Chrystusie lepiej jest mówić jak najmniej, ponieważ legenda narodu-mordercy Boga niełatwo umiera.

Liczne inne terminy w prawie niezmienionej formie zapożyczano z obrzędów i świętych ksiąg, które Żydzi urodzeni w poprzednim stuleciu odczytywali, mniej lub bardziej biegle, w oryginale hebrajskim i często w znacznej mierze rozumieli. Jednak w użyciu żargonowym zwykli zniekształcać oraz poszerzać w całkiem dowolny sposób ich zasięg semantyczny. Od wyrazu podstawowego *szafach*, który oznacza „wylewać” i który pojawia się w Psalmie 79. („Wylej gniew Twój na ludy, które Cię nie uznają, na królestwa, co nie wzywają Twojego imienia”), nasze pramatki utworzyły wyrażenie domowego użytku *fé sefòkh*, puszczać *sefòkh*, za pomocą którego w delikatny sposób określano dziecięce wymioty. Od wyrazu *ruach*, liczba mnoga *ruchot* – który oznacza „duch”, „wiatr” i pojawia się w słynnym

wyrażeniu z mrocznego i wspaniałego drugiego wersetu Księgi Rodzaju („Duch Boży unosił się nad wodami”) – utworzono *tiré 'n ruàkh*, „puszczać wiatry”, we wszelkich jego znaczeniach fizjologicznych, w czym można dostrzec biblijną poufałość narodu wybranego ze swoim Stwórcą. Jako przykład jego praktycznego zastosowania przekazuje się powiedzenie ciotki Reginy, która siedząc z wujem Dawidem w kawiarni Fiorito na via Po, poleciła: „Dawidzie, stukaj laską, żeby nie słyszeli twoich wiatrów”⁷, co świadczy też o czulej zażyłości, jaka panowała w ich małżeńskich stosunkach. Jeśli zaś chodzi o laskę, to w owych czasach była ona symbolem pozycji społecznej, tak jak dziś może nim być podróżowanie pierwszą klasą kolei. Na przykład mój ojciec miał dwie laski: jedną bambusową na co dzień i drugą niedzielną, z trzciny indyjskiej z posrebrzaną rączką. Laska nie służyła mu do tego, żeby się podpierać (nie było takiej potrzeby), ale do tego, by wesoło wymachiwać nią w powietrzu i przeganiać ze swojej drogi nazbyt bezczelne psy. Jednym słowem, była niczym buława odróżniająca go od pospólstwa.

Bracha to błogosławieństwo, bogobojny Żyd jest zobowiązany wypowiadać je ponad sto razy dziennie. Czyni to z głęboką radością, ponieważ w ten sposób podtrzymuje tysiącletni dialog z odwiecznym Bogiem, którego przy okazji każdej brachy wysławia i któremu składa dzięki za wszystkie Jego dary. Nono Leônin był moim pradziadkiem, mieszkał w Casale Monferrato i miał płaskostopie. Zaulek przed jego domem był wyłożony kocimi łbami i wuj, chodząc po nich, cierpiał katusze. Pewnego ranka, wyszedłszy z domu, zastał zaulek wybrukowany i zawołał z głębi serca: „*'N abrahà a côi gôjim c'a l'an fàit i lòsi!*”, „Błogosławieni niech będą niewierni, którzy ułożyli te płyty!”. W funkcji przekleństwa używano również dziwnego związku frazeologicznego *medà meshônà*, co dosłownie oznacza „dziwna śmierć”, ale w istocie jest odpowiednikiem piemonckiego *assidènt*⁸. Temu samemu Nonô Leônín przypisuje się autorstwo niezrozumiałego przekleństwa *c'ai takeïssa 'na medà meshônà fàita a paraqua*, „żeby cię trafił szlag na kształt parasola”.

Nie mógłbym też zapomnieć o Barbaricô, mniej odległym w czasie i w przestrzeni, do tego stopnia, że niewiele brakowało (tylko jednego pokolenia), a byłby moim wujem w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Na jego temat uzyskałem informacje z pierwszej ręki, a zatem pełniejsze i bardziej wyczerpujące, a nie *figé dans un 'attitude*⁹, jak w przypadku owych mitycznych postaci, które do tej pory wymieniłem. Do Barbaricô pasuje jak ulał otwierający niniejsze zapiski opis gazów obojętnych.

Ukończył medycynę i był dobrym lekarzem, ale nie podobał mu się świat. To znaczy podobali mu się ludzie, a zwłaszcza kobiety, łąki, niebo, ale nie wysiłek, hałas wozów, pogoń za karierą, troska o chleb powszedni, obowiązki, godziny i terminy do przestrzegania. Jednym słowem, nic z tego, co cechowało zabiegane życie w Casale Monferrato w roku 1890. Chciał uciec, ale był na to zbyt leniwy. Przyjaciele oraz pewna kobieta, która go kochała, a którą on znosił z roztargnioną wyrozumiałością, namówili go, żeby wziął udział w konkursie na posadę lekarza na pokładzie transatlantyku liniowego. Wygrał bez trudu, odbył jedną jedyną podróż z Genui do Nowego Jorku, a po powrocie do Genui złożył rezygnację, ponieważ w Ameryce *a j'era trop bôrdél*, było za dużo hałasu.

Po tym wydarzeniu wynajął pokój w Turynie. Miał wiele kobiet, a wszystkie chciały go zbawić i poślubić, on jednak uważał za rzecz nazbyt kłopotliwą zarówno małżeństwo, jak i wyposażony gabinet oraz regularne wykonywanie zawodu. Około roku 1930 był już nieśmiałym staruszką, przykurczonym i zaniedbanym, przerażającym krótkowidzącym. Żył z pewną grubą, wulgarną gojką, od której co jakiś czas starał się nieśmiało wyzwolić i którą on sam określał niejednokrotnie mianem *'na sôtià*, *'na hamortà*, *'na gran beemà* (wariatka, oślica,

⁷ W oryg.: *Davidín, bat la cana, c'as sentô nèn le rôkhòd* (d. piemoncki).

⁸ *Assidènt* (d. piemoncki) – szlag.

⁹ *Figé dans un 'attitude* (fr.) – skostniały, zastygły w jednej pozycji.

bestia), lecz bez cienia kąśliwości, a wręcz z nutą niewytłumaczalnej czułości. Owa gojka *a vòria fiña félo samadé*, nawet chciała go ochrzcić (dosłownie: zniszczyć), czemu on zawsze się sprzeciwiał, lecz bynajmniej nie z powodu przekonań religijnych, ale przez wrodzoną inercję oraz obojętność.

Barbarico miał co najmniej dwanaścioro braci i siostr, którzy określali jego towarzyszkę za pomocą ironicznego i okrutnego przezwiska Magna Môrfina. Ironicznego, ponieważ kobieta, biedaczka, będąc gojką i nie mając dzieci, nie mogła być magną, a jeśli już, to tylko w bardzo ograniczonym sensie. Dlatego też należy rozumieć je na opak, jako „nie-magna”, osoba oddzielona i wykluczona z rodziny. Okrutnego, ponieważ zawierało w sobie aluzję, prawdopodobnie nieprawdziwą, lecz mimo wszystko bezlitosną, co do użytku, jaki robiła z receptariusza wuja Barbaricô.

Mieszkali razem na brudnym i zabałaganionym poddaszu na Borgo Vanchiglia. Wuj był znakomitym lekarzem, pełnym ludzkiej mądrości i intuicji diagnosty, jednak całe dni spędzał na swoim legowisku, czytając książki i stare gazety. Był czytelnikiem uważnym, odznaczającym się dobrą pamięcią, wszechstronnym i niestrudzonym, pomimo że jego krótkowzroczność zmuszała go, by trzymał kartki w odległości trzech palców od okularów o szklach grubych jak denka od szklanek. Wstawał tylko wtedy, gdy wzywał go pacjent, co zdarzało się często, ponieważ wuj prawie nigdy nie brał pieniędzy. Jego podopiecznymi byli biedni ludzie z dzielnicy, od których w ramach zapłaty przyjmował pół tuzina jajek, sałatę z ogródka lub nawet parę znoszonych butów. Do pacjentów udawał się piechotą, gdyż nie miał pieniędzy na tramwaj. Kiedy na ulicy dostrzegał, poprzez mgłę swojej krótkowzroczności, jakąś dziewczynę, zbliżał się do niej i, ku jej zdziwieniu, dokładnie ją oglądał, obchodząc dookoła w odległości paru centymetrów. Prawie nic nie jadł i, ogólnie rzecz biorąc, nie miał żadnych potrzeb. Zmarł w wieku lat ponad dziewięćdziesięciu, dyskretnie i z godnością.

Podobna do Barbaricô pod względem niechęci do świata była babka Fina, jedna z czterech siostr, z których wszystkie miały na imię Fina. To niecodzienne zjawisko metrykalne wynikało z faktu, że cztery dziewczynki po kolei wysyłano do Bra, do tej samej mamki, która nazywała się Delfina i która w ten sposób wołała na wszystkie swoje „oseski”¹⁰. Babka Fina mieszkała w Carmagnola, w mieszkaniu na pierwszym piętrze i robiła przepiękne hafty szydełkowe. Kiedy miała sześćdziesiąt osiem lat, przydarzyła jej się pewna niedyspozycja, atak warów¹¹, jak kiedyś mawiały panie, a teraz, nie wiedzieć czemu, już tak nie mówią. Od tamtej pory przez dwadzieścia lat, czyli aż do śmierci, nie wyszła więcej ze swego pokoju. W soboty, z balkonu pełnego pelargonii, krucha i słaba, machała ręką do ludzi wychodzących ze scòli. Musiała być jednak zupełnie inna w czasach swojej młodości, o ile prawdą jest to, co o niej opowiadają. A mianowicie, że kiedy jej mąż przyprowadził do domu rabina z Moncalvo, człowieka uczonego i znamienitego, bez jego wiedzy podała mu *'na còtlètta 'd hasir*, szynceł wieprzowy, ponieważ w spiżarni nie było akurat nic innego. Jej brat, Barbarafalím (Rafael), który zanim nadano mu tytuł barby, znany był jako syn Mojżesza i Celiny¹², już jako człowiek dojrzały i majątny, dzięki *mañòd* zarobionym na dostawach dla wojska, zakochał się w przepięknej Dolce Valabredze z Gassino. Nie śmiał jej się oświadczyć, pisywał więc do niej listy miłosne, których potem nie wysyłał, oraz adresowane do siebie namiętne odpowiedzi.

Także Marchín, eks-*barba*, przeżył nieszczęśliwą przygodę miłosną. Zakochał się w Susannie (co po hebrajsku oznacza „lilia”), kobiecie zaradnej i bogobojnej, dziedzicze wielowiekowego przepisu na osłonki do gęsiej kiełbasy. Kiełbasy te wyrabia się, używając zamiast jelita szyi tegoż ptaka, w wyniku czego w *Laszon Hakodesz* (w świętym języku, a

¹⁰ W oryg. *bailotti* – dzieci oddawane pod opiekę mamki (d. piemoncki).

¹¹ W oryg. *caòdaña* — uderzenia ciepła (d. piemoncki).

¹² W oryg.: *'l fieul 'd Môisé 'd Celín* (d. piemoncki).

więc w żargonie, którym właśnie się zajmujemy) przetrwały aż trzy synonimy wyrazu „szyja”. Pierwszy, *mahané*, budzi skojarzenia neutralne i używany jest w sensie technicznym i ogólnym. Drugi, *savàr*, stosowany jest jedynie w przenośniach, jak na przykład a *rôta 'd savàr*, na złamanie karku. Trzeci, *khanèc*, niezwykle silnie nacechowany znaczeniowo, odnosi się do szyi jako do życiodajnego przewodu, który może się zapchać, zatkać lub zostać odcięty; pojawia się w złozeniach, jak na przykład *c'at resta 'l khanèc*, „a żebyś się udławił”. *Khanichésse* oznacza „powiesić się”. A zatem Marchín był sprzedawcą i pomocnikiem Susanny, zarówno w tajemniczej kuchni-wytwórni, jak i w sklepie, na którego półkach leżały naprzemiennie kiełbasy, dewocjonalia, amulety i modlitewniki. Susanna dała mu kosza i Marchín zemścił się w odrażający sposób, sprzedając pewnemu gojowi przepis na kiełbasę. Należy przypuszczać, że ów goj nie docenił jego wartości, ponieważ po śmierci Susanny (która miała miejsce w zamierzchłych czasach) nie można już było znaleźć w sprzedaży gęziej kiełbasy godnej tego miana i tradycji. Za swój odrażający odwet wuj Marchín utracił prawo do nazywania go wujem.

Najbardziej odległy spośród wszystkich, cudownie obojętny, spowity grubym całunem legendy, skostniały do ostatniej tkanki w swojej funkcji wuja był Barbabramín z Chieri, wuj mojej babki od strony matki. Już za młodu był bardzo bogaty, ponieważ wykupił od miejscowej szlachty liczne gospodarstwa od Chieri aż po Asti. Licząc na spadek po nim, jego krewni przepuszczali wszystkie swoje dobra na przyjęcia, bale i podróże do Paryża. Zdarzyło się jednak, że jego matka, ciotka Milca („królowa”), zachorowała i po wielu kłótniach z mężem dała się przekonać, by przyjąć havertę, to znaczy służącą, czemu do tej pory zdecydowanie się sprzeciwiała: przezorna niewiasta nie chciała w domu żadnych innych kobiet; Barbabramín natychmiast zapalał miłością do tejże haverty, prawdopodobnie pierwszej niezbyt bogobojnej kobiety, jaką dane mu było poznać z bliska.

Nie wiadomo, jak miała na imię, przekazano jedynie informacje o pewnych jej atrybutach. Była urodziwa, miała bujne kształty oraz dorodne *chalawiot* (piersi, termin nieznanym w klasycznym hebrajskim, w którym jednak *chalaw* oznacza mleko). Była oczywiście gojką, arogancką i niepiśmienną, ale za to umiała znakomicie gotować. Z pochodzenia wieśniaczka, *'na pôñaltà*, chodziła boso po domu. Właśnie w tym wszystkim zakochał się wuj: w jej kostkach, w jej nieskrępowanym języku, w potrawach, które przyrządzała. Nie powiedział nic dziewczynie, ale oświadczył ojcu i matce, że ma zamiar się żenić. Rodzice wpadli we wściekłość, a wuj położył się do łóżka. Pozostał w nim przez dwadzieścia dwa lata.

Na temat tego, co wuj Barbabramín porabiał przez te lata, istnieją rozbieżne wersje. Nie ma wątpliwości, że w znacznej mierze przepisał je i przebił. Wiadomo też, że popadł w finansową ruinę, ponieważ nie odcinał kuponów od bonów skarbowych, a administrację gospodarstwami powierzył pewnemu mamzerowi (bękartowi), który sprzedał je za marne grosze podstawionemu przez siebie człowiekowi. Zgodnie z przewidywaniami ciotki Milki wuj pociągnął za sobą na dno wszystkich krewnych i jeszcze do dziś ubolewa się nad skutkami tego nieszczęścia.

Mówi się, że czytał i studiował, a kiedy wreszcie uznano go za mądrego i sprawiedliwego, leżąc w łóżku, przyjmował delegacje notabli z Chieri oraz rozstrzygał spory. Mówi się także, że z tego samego łóżka droga do tejże haverty nie pozostała mu nieznaną i przynajmniej pierwsze lata dobrowolnej klauzury wuja były przerywane nocnymi wypadami, by zagrać w biliarda w mieszczącej się poniżej kawiarni. W sumie jednak w łóżku pozostał przez prawie ćwierć wieku i kiedy zmarli ciotka Milca i wuj Salomon, poślubił havertę i ostatecznie zabrał ją do swego łóżka, gdyż był już do tego stopnia osłabiony, że nie mógł utrzymać się na nogach. Zmarł ubogi, choć bogaty w lata i sławę, spokojny duchem, w roku 1883.

Susanna od gęziej kiełbasy była kuzynką babki Mălii, mojej babki ze strony ojca, która przetrwała pod postacią drobnej, strojnej uwodzicielki na studyjnych portretach wykonanych około 1870 roku, a także jako pomarszczona, swarliwa staruszka, zaniedbana i bajecznie

głucha w moich najodleglejszych wspomnieniach z dzieciństwa. Do dzisiaj, w niewytłumaczalny sposób, najwyższe półki w szafach wyrzucają pozostałe po niej pamiątki: szale z czarnej koronki wyszywane mieniącymi się cekinami, szlachetne robótki z jedwabiu, tumakową mufkę przeżartą przez cztery pokolenia moli, masywne srebrne sztucce znaczone jej inicjałami. Zupełnie jakby po niemal pięćdziesięciu latach jej niespokojny duch wciąż jeszcze nawiedzał nasz dom.

Za swoich najpiękniejszych lat znana była jako *Strassacœur*, rozrywaczka serc. Szybko owdowiała i krążyły plotki, że dziadek targnął się na własne życie zdesperowany z powodu jej niewierności. Wychowała po spartańsku trzech synów i posłała ich do szkół. Jednak w podeszłym już wieku pozwoliła, by poślubił ją stary chrześcijański lekarz, majestatyczny brodac i milczek. Od tej pory stawała się coraz bardziej skąpa i zdziwaczała, pomimo że za młodu była po królewsku rozrzutna, jak to zwykle bywa w wypadku kobiet pięknych i bardzo kochanych. Z biegiem czasu zupełnie zaczęła się wystrzegać rodzinnych uczuć (których, zresztą zapewne nigdy głęboko nie odczuwała). Mieszkała z Doktorem na via Po, w mieszkaniu ciemnym i ponurym, zimą podgrzewanym jedynie piecykiem marki Franklin, i niczego nie wyrzucała, ponieważ wszystko mogło się kiedyś przydać. Nawet skórek od sera ani staniolu od czekoladek, z którego robiła srebrne kulki i wysyłała je dla misji, żeby „wyzwolić jakiegoś murzynka”. Być może z obawy, by nie pomylić się w ostatecznym wyborze, naprzemiennie uczęszczała do scòli na via Po oraz do parafii świętego Oktawiana i zdaje się, że nawet popełniając świętokradztwo, chodziła się spowiadać. Zmarła w wieku ponad osiemdziesięciu lat, w roku 1928, odprowadzana chóralnym śpiewem sąsiadek, rozczochranych, ubranych na czarno i pogrążonych w demencji jak ona sama, wśród których prym wiodła pewna megiera zwana Madama Scilimberg. Pośród cierpień spowodowanych niewydolnością nerek babka kontrolowała panią Scilimberg aż do swojego ostatniego tchnienia, z obawy, żeby ta nie odnalazła jej *mafteach* (klucza) schowanego pod materacem i nie wyniosła jej *mañòd* i *hafassím* (klejnotów, które zresztą okazały się potem co do jednego fałszywe).

Po jej śmierci synowie i synowe spędzili tygodnie, przebierając, z przestraczem i z odrazą, sterty domowych relikwów, którymi zasypane było mieszkanie. Babka Màlia zbierała, nie czyniąc przy tym żadnych wyjątków, gustowne przedmioty i odrażające śmieci. Z surowych, rzeźbionych szaf z orzecha wypadły zastępy oślepionych światłem moli, za nimi zaś lniane prześcieradła, jedne nigdy nie używane, inne zaś połatanne i zużyte, wytarte aż do przezroczystości; adamaszkowe zasłony i narzuty *double face*; kolekcja wypchanych kolibrów, które przy pierwszym dotyku obróciły się w proch. W piwnicy leżały setki butelek znakomitego wina, które zmieniło się w ocet. Odnaleziono osiem nowiusieńkich, wypełnionych naftaliną płaszczy Doktora oraz ten jeden jedyny, jaki wolno mu było nosić, cały w łątach i pocerowany, z wyświechtanym kołnierzem, a w jego kieszeni masońską odznakę.

Prawie nie przypominam sobie tej, którą mój ojciec nazywał Maman (nawet w trzeciej osobie) i której pełne zachłanności zamiłowanie do dziwactw lubił opisywać, ledwie co przesłaniając je półprzeźroczystą zasłoną synowskiej litości. Mój ojciec w każdy niedzielny ranek prowadził mnie z wizytą do babki Màlii. Szliśmy spacerem przez via Po, on zaś zatrzymywał się, by pogłaskać każdego kota, powąchać każdą trufkę i przekartkować każdą używaną książkę na straganie. Mój ojciec był Panem Inżynierem¹³, z kieszeniami zawsze wypchanymi książkami, znanym wszystkim sprzedawcom wędlin, ponieważ za pomocą suwaka logarytmicznego sprawdzał wynik mnożenia na rachunku za szynkę. Nie to, żeby kupował ją z lekkim sercem: bardziej przesądny niż religijny, odczuwał pewien dyskomfort, łamiąc zasady Kaszrutu. Jednak szynka smakowała mu tak bardzo, że za każdym razem

¹³ W oryg. *Ingegné* (d. piemontcki).

ulegał pokusie czyhającej w sklepowych oknach, wzdychając przy tym, po cichu przeklinając i spoglądając na mnie spod oka, jakby obawiał się mojego osądu albo liczył na moje współnictwo.

Kiedy przybywaliśmy na ciemne półpiętro mieszkania przy via Po, mój ojciec przyciskał dzwonek, a babce, która przychodziła nam otworzyć, krzychał do ucha: „*A l'è 'l prim 'de la scòla!*”, „Jest najlepszy w klasie!”. Babka z widoczną niechęcią wpuszczała nas do środka i prowadziła przez szereg zakurzonych i niezamieszkanymi pokoi, spośród których jeden, pełen groźnych przedmiotów, był na wpół opuszczonym gabinetem Doktora. Doktor prawie nigdy się nie pokazywał. Ja zresztą też nie miałem ochoty go spotykać, odkąd podsłuchałem, jak ojciec opowiadał mojej matce, że kiedy przyprowadzano do Doktora jękające się dzieci, ten podcinał im nożyczkami znajdujące się pod językiem wędzidełko. Kiedy docieraliśmy do salonu, babka wyciągała z zakamarków pudełko czekoladek, zawsze to samo, i jedną mnie częstowała. Czekoladka była zrobaczywiała, a ja, cały zawstydzony, ukradkiem wsuwałem ją do kieszeni.

Nota dotycząca pisowni

Ponieważ opisany żargon jest hybrydyczny, hybrydyczna jest także pisownia, do której byłem zmuszony się uciec. Należy wymawiać:

eu, ceu: jak we francuskim wyrazie *peu*

ë: „e” niewyraźne lub prawie bezdźwięczne

h: na lekkim przydechu, jak w angielskim wyrazie *home*

kh: na mocnym przydechu, jak w niemieckim *flach*

ñ: „n” nosowe, jak we włoskim wyrazie *fango* lub jak w piemonckim wyrazie *maña*

ô: jak włoskie „u”

u: jak „u” francuskie, na przykład w wyrazie *plume*.

Inne litery jak w języku włoskim.

WODÓR

Był styczeń. Enrico przyszedł po mnie zaraz po obiedzie; jego brat wybrał się w góry i zostawił mu klucze od laboratorium. Błyskawicznie ubrałem się i dołączyłem do niego na ulicy.

Kiedy szliśmy, dowiedziałem się, że jego brat tak właściwie nie zostawił mu kluczy – był to skrót myślowy, eufemizm, z gatunku tych, jakie kieruje się do kogoś, kto gotów jest je podchwycić. Brat, inaczej niż zwykle, nie schował kluczy, ani też ich ze sobą nie zabrał. Na dodatek zapomniał o odnowieniu zakazu, by Enrico tychże kluczy sobie nie przywłaszczył, a także o pogrożkach, co by było, gdyby jednak ten zakaz złamał. Krótko mówiąc, po miesiącach oczekiwań mieliśmy klucze. Enrico i ja byliśmy zdecydowani nie przepuścić takiej okazji.

Mieliśmy po szesnaście lat i byłem zafascynowany Enrikiem. Nie był zbyt pilnym uczniem, a jego szkolne wyniki były marne. Miał jednak pewne zalety, które wyróżniały go spośród wszystkich pozostałych w klasie, i robił rzeczy, których nikt inny nie robił. Cechowała go spokojna i nieustępliwa odwaga, przedwcześnie rozwinięta umiejętność wyczuwania własnej przyszłości i nadawania jej wagi oraz formy. Odmawiał uczestnictwa (lecz bez drwiny) w naszych niekończących się dyskusjach, a to na temat platonizmu, innym razem darwinizmu, a jeszcze później bergsonizmu. Nie był prostacki, nie chępił się swoimi sportowymi i męskimi dokonaniem, nigdy nie kłamał. Był świadom swoich ograniczeń, ale ani razu nie zdarzyło nam się słyszeć, by o nich mówił (podczas gdy my wszyscy mówiliśmy sobie o nich nawzajem, żeby znaleźć pocieszenie albo dać ujście złemu nastrojowi): „Wiesz, chyba jestem idiotą”.

Miał pospolitą i niezbyt lotną fantazję: żył marzeniami jak my wszyscy, ale jego marzenia były roztropne, ograniczone, realne, przystające do rzeczywistości, nie były ani romantyczne, ani kosmiczne. Obce było mu nękające mnie oscylowanie pomiędzy niebem (z powodu szkolnego lub sportowego sukcesu, nowej przyjaźni, pospolitej i ulotnej miłości) a piekłem (z powodu dwójki, wyrzutów sumienia, jakiegoś brutalnego objawienia się mojej niższości, która za każdym razem wydawała się wieczna, definitywna). Jego cele były zawsze osiągalne. Marzył, by zdać z klasy do klasy i cierpliwie uczył się rzeczy, które go nie interesowały. Chciał mieć mikroskop i żeby go dostać, sprzedał rower wyścigowy. Chciał być tyczkarzem i przez rok co wieczór chodził na salę gimnastyczną, bynajmniej nie wywyższając się z tego powodu, ani też nie narażając się przy tym na żadne zwichnięcia. Aż w końcu osiągnął założone trzy i pół metra i na tym skończył. Później zapragnął pewnej kobiety i zdobył ją. Chciał mieć pieniądze, żeby żyć spokojnie, i uzyskał je po dziesięciu latach nudnej i prozaicznej pracy.

Nie mieliśmy wątpliwości: zostaniemy chemikami. Jednak nasze wymagania i nadzieje były odmienne. Enrico rozsądnie oczekiwał, że chemia dostarczy mu narzędzi, aby zarobić pieniądze i wieść spokojne życie. Ja oczekiwałem czegoś zgoła innego. Mnie chemia jawiła się jako nieokreślony obłok nadciągających mocy, podobny do tego, jaki przesłonił górę Synaj, otaczający moją przyszłość czarnym tumanem, przez który przedzierały się błyski ognia. Niczym Mojżesz z tego obłoku wypatrywałem mojego prawa, definicji porządku we mnie, wokół mnie i w świecie. Byłem przesycony książkami, które mimo to dalej

pochłaniałem z niepohamowaną zachłannością, i poszukiwałem innego klucza do najwyższych prawd. Klucz musiał przecież istnieć i byłem pewien, że z powodu jakiegoś gigantycznego spisku przeciwko mnie i całej ludzkości w szkole go nie dostanę. Tu faszerowano mnie dziesiątkami informacji, które pilnie przetrawiałem, a które jednak nie rozgrzewały krwi w moich żyłach, Patrzyłem na nabrzmiewające wiosną pąki, na pobłyskującą na kamieniach mikę, na moje własne dłonie i mówiłem sobie w głębi duszy: „Zrozumiem także i to, zrozumiem wszystko, ale nie tak, jak oni tego chcą. Znajdę skrót, zrobię wytrych, wyważę drzwi”. Słuchanie wykładów na temat problemu istnienia i poznania wydawało mi się czymś wyczerpującym i zniechęcającym, kiedy wszystko wokół nas było tajemnicą, która aż prosiła się, by ją odkryć: wiekowe drewno ławek, kula słońca gdzieś tam za oknami i ponad dachami, bezcelowy lot puchu topoli w czerwcowym powietrzu. No właśnie: czy ci wszyscy filozofowie i wszystkie armie świata byliby w stanie stworzyć tę oto muszkę? Nie, ani nawet jej pojąć. To był wstyd, coś oburzającego, trzeba było obrać inną drogę.

Ja i Enrico zostaniemy chemikami. Własnymi siłami i za pomocą własnego geniuszu zgłębimy wnętrze tajemnicy. Ściśniemy Proteusza za gardło, położymy kres tym jego niekończącym się przemianom, od Platona po Augustyna, od Augustyna po Tomasza, od Tomasza po Hegla, od Hegla po Crocego. Zmusimy go do mówienia.

Przy takim planie nie mogliśmy sobie pozwolić na marnowanie okazji. Brat Enrica, tajemniczy i choleryczny osobnik, o którym Enrico mówił niechętnie, był studentem chemii i ulokował swoje laboratorium w głębi pewnego podwórza – w osobliwym zaułku, wąskim i krzywym, który odchodzi od piazza della Crocetta i wyróżnia się pośród obsesyjnej turyńskiej geometrii niczym prymitywny narząd uwięziony w rozwiniętej strukturze ciała ssaka. Także laboratorium było prymitywne: nie w sensie atawistycznych pozostałości, ale skrajnego ubóstwa. Znajdowały się tam wyłożony kafelkami blat, nieco szkła oraz około dwudziestu balonów z odczynnikami. Było tam też sporo kurzu, dużo pajęczyn, mało światła i panował okropny ziąb. Przez całą drogę rozprawialiśmy o tym, co zrobimy, kiedy już „wejdziemy do laboratorium”, jednak w naszych myślach panował zamęt.

Zdawało nam się, że to przez *embarras de richesse*¹⁴. Był to jednak ambaras innego rodzaju, głębszy i bardziej egzystencjalny: kłopot związany z odwieczną atrofią – trapiącą nas, nasze rodziny, naszą kastę. Cóż potrafiliśmy zrobić własnymi rękami? Nic, lub prawie nic. Kobiety owszem: nasze matki i babki miały żywe i zwinne dłonie, umiały szyć i gotować, niektóre nawet grać na pianinie, malować akwarelami, haftować, zaplatać włosy. Ale my i nasi ojcowie?

Nasze dłonie były prymitywne i słabe równocześnie, zacofane, niedelikatne. Była to najmniej wykształcona część naszego ciała. Kiedy zakończyły pierwsze, elementarne doświadczenia z zabawą, nauczyły się pisać i nic ponadto. Wiedziały, czym jest kurczowy chwyt wokół gałęzi drzew, na które, kierowani naturalnym pragnieniem, lubiliśmy się razem wspinać w akcie niejasnego hołdu naturze i powrotu do początków gatunku. Nie znały jednak dostojnego i wyważonego ciężaru młota, skoncentrowanej siły ostrzy, zakazanych przez przesadną ostrożność, mądrej struktury drewna, podobnej i zarazem odmiennej giętkości żelaza, ołowiu i miedzi. Jeśli człowiek jest twórcą rzeczy, to my nie byliśmy ludźmi. Wiedzieliśmy o tym i cierpieliśmy z tego powodu.

Szkło laboratoryjne urzekło nas i onieśmiało. Dla nas szkło było czymś, czego nie wolno dotykać, bo się stłucze. Przy bliższym kontakcie okazało się materią inną niż wszystkie pozostałe, jedyną w swoim rodzaju, pełną tajemnic i kaprysów. Przypomina w tym wodę, która także nie ma sobie podobnych. Jednak woda jest związana z człowiekiem, z życiem, poprzez odwieczną zażyłość, poprzez związek wielorakich konieczności i z tego powodu jej

¹⁴ *Embarras de richesse* (fr.) – kłopot wynikający z nadmiaru.

niezwykłość skrywa się pod szatą przyzwyczajenia. Natomiast szkło jest dziełem człowieka i ma mniej odległą historię. Było naszą pierwszą ofiarą albo raczej naszym pierwszym przeciwnikiem. W pracowni przy piazza della Crocetta znajdowały się rurki ze szkła laboratoryjnego, o różnej średnicy i długości, wszystkie pokryte kurzem. Zapaliliśmy palnik Bunsena i zabraliśmy się do pracy.

Zgiąć rurkę było łatwo. Wystarczyło przytrzymać kawałek tuby nad płomieniem. Po jakimś czasie szkło robiło się połyskliwe. W tym momencie rurkę można było wygiąć. Otrzymany łuk daleki był od perfekcji, w sumie jednak coś się działo, można było utworzyć nową, arbitralną formę: potencja przeradzała się w akt, czyż nie to właśnie miał na myśli Arystoteles?

Także miedzianą lub ołowianą tubę dawało się wygiąć, ale szybko zdaliśmy sobie sprawę, że rozgrzana szklana rurka ma pewną niepowtarzalną cechę. Kiedy stawała się plastyczna, można było bowiem, zdecydowanym ruchem oddalając od siebie jej dwa zimne końce, rozciągnąć ją na cieniusieńkie nitki, cienkie wręcz do granic możliwości, tak że ciepłe powietrze unoszące się znad płomienia porywało je do góry. Były delikatne i zwiewne niczym jedwab. Ale w takim razie gdzież podziiała się bezwzględna sztywność litego szkła? Czy zatem także jedwab i bawełna, gdyby możliwe było otrzymanie ich litej postaci, stałyby się sztywne jak szkło? Enrico opowiedział mi, że we wsi jego dziadka rybacy mają zwyczaj zbierać gąsienice jedwabnika, kiedy te są już dorodne i w gorączkowej chęci, by owinąć się w kokon, wdrapują się z wysiłkiem, ślepe i pokraczne, na gałęzie drzew. Rybacy biorą je, palcami przełamują na pół i, ciągnąc za końce, otrzymują jedwabną nić, grubą i szorstką, niezwykle wytrzymałą, której używają potem jako żyłki. Ten fakt, w który bez wahania uwierzyłem, wydał mi się jednocześnie odrażający i fascynujący. Odrażający ze względu na okrucieństwo śmierci oraz z powodu błahości zastosowania cudu natury. Fascynujący z powodu cynicznego i zuchwałego przebłyску geniuszu, jaki musiał objawić się u jego mitycznego wynalazcy.

Szklaną rurkę dawało się także wydmuchać. To jednak nie było już takie proste. Należało zatkać jeden koniec tuby, potem zaś, kiedy dmuchało się z całych sił, z drugiej strony formowała się bombka, niezwykle piękna i prawie idealnie okrągła, ale o absurdalnie cienkich ściankach. Jeśli choć odrobinę przesadziło się z dmuchaniem, ścianki zaczynały mienić się barwami tęczy niczym w bańce mydlanej. Była to niechybna oznaka śmierci: bańka rozrywała się z suchym trzaskiem, a odłamki rozsypywały się po ziemi z delikatnym szmerem pękających skorupek jaja. W jakimś sensie była to sprawiedliwa kara. Szkło to szkło, nie powinno naśladować zachowań wody mydlanej. Naginając nieco znaczenie słów, w tej historii można było dostrzec ezopową przypowieść.

Po godzinie zmagania ze szkłem byliśmy zmęczeni i upokorzonymi. Obydwaj mieliśmy oczy czerwone i wyschnięte od zbyt długiego wpatrywania się w rozżarzone szkło, przemarznięte stopy i poparzone palce. Zresztą obróbka szkła to nie chemia, znaleźliśmy się w laboratorium w innym celu. Naszym celem było zobaczyć na własne oczy i wywołać własnymi rękami przynajmniej jedno ze zjawisk z taką dezynwolturą opisanych w naszym podręczniku do chemii. Na przykład można było przygotować podtlenek azotu, który jeszcze u Sestniego i Funaro określano nie do końca odpowiednim i niezbyt poważnym terminem gazu rozweselającego. Czy zatem naprawdę będzie rozweselający?

Podtlenek azotu przygotowuje się, podgrzewając ostrożnie azotan amonu. Tego ostatniego w laboratorium nie było. Były za to amoniak i kwas azotowy. Zmieszaliśmy je, niezdolni poczynić jakiegokolwiek wstępne obliczenia, aż do momentu ich neutralnej reakcji z lakmusem. W rezultacie mieszanina silnie się rozgrzała i wypuściła dużą ilość białego dymu. Potem postanowiliśmy doprowadzić ją do wrzenia, żeby pozbyć się wody. W krótkim czasie laboratorium napełniło się duszącymi oparami, zupełnie nierozweselającymi. Zaprzestaliśmy

prób, na całe nasze szczęście, ponieważ nie wiedzieliśmy, co może wyniknąć z niekontrolowanego podgrzewania tej wybuchowej soli.

Nie było to ani proste, ani zabawne. Rozejrzałem się dookoła i zobaczyłem w kącie zwykłe suche ogniwo. Oto, co zrobimy: elektrolizę wody. Było to doświadczenie o pewnym wyniku, które już wiele razy wcześniej przeprowadzałem w domu. Enrico nie będzie rozczarowany.

Nalałem do zlewki wody i rozpuściłem w niej szczyptę soli. W zlewce ustawiłem odwrócone do góry dnem dwa puste słoiki po dzemie, znalazłem parę miedzianych drutów pokrytych gumą, podłączyłem do biegunów baterii i umieściłem ich końcówki w słoikach. Od zakończeń postępowała niewielka procesja bąbelków. Jeśli się dobrze przyjrzało, widać było, że z katody uwalniało się mniej więcej dwa razy więcej gazu niż z anody. Napisałem na tablicy dobrze znane równanie i wytłumaczyłem Enricowi, że właśnie zachodzi dokładnie to, co zostało zapisane. Enrico nie wydawał się zbyt przekonany, ale zrobiło się już ciemno, a my byliśmy przemarznięci. Umyliśmy ręce, kupiliśmy trochę *castagnaccio*¹⁵ i poszliśmy do domu, pozwalając, by dalej elektroliza przebiegała już sama.

Następnego dnia droga ciągle stała przed nami otworem. W miłym poszanowaniu dla teorii słoik z katodą prawie cały wypełnił się gazem, zaś ten z anodą – tylko do połowy. Zwróciłem na to uwagę Enrica, robiąc przy tym tak ważną minę, jak tylko umiałem. Starłem się, by zaświtało w nim podejrzenie, że nie tyle sama elektroliza, co jej zastosowanie jako potwierdzenie prawa stałości składu było moim odkryciem, owocem cierpliwych eksperymentów przeprowadzanych potajemnie w moim pokoju. Jednak Enrico nie miał humoru i wszystko podawał w wątpliwość.

– A kto ci powiedział, że to są właśnie wodór i tlen? – zapytał szorstko. – A co, jeśli to jest chlor? Czyż nie dodałeś tam soli?

Obiekcje odebrałem jako policzek: jak Enrico śmiał wątpić w moje twierdzenia? To ja byłem teoretykiem, tylko ja. On, choć był właścicielem laboratorium (w pewnym sensie i tylko z tytułu „przeniesienia praw”), a nawet tym bardziej, że nie mógł pochwalić się innymi zasługami, powinien był powstrzymać się od krytyki.

– Zaraz zobaczymy – odparłem.

Uniosłem ostrożnie słoik katody i trzymając go otworem do dołu, zapaliłem zapałkę i przybliżyłem ją. Nastąpiła eksplozja, niewielka, ale sucha i gniewna. Słoik rozsypał się na odłamki (na szczęście trzymałem go na wysokości klatki piersiowej, a nie wyżej), zaś w ręku pozostał mi, niczym sarkastyczny symbol, pierścień szklanego denka.

Wyszliśmy, rozprawiając o tym, co zaszło. Mnie z lekka trzęsły się nogi. Odczuwałem spóźniony strach, a zarazem jakąś głupią dumę, że oto potwierdziłem hipotezę i że wyzwoliłem siły natury. A zatem to był właśnie wodór: ten sam, który płonie w Słońcu i gwiazdach i z którego stężenia w odwiecznej ciszy rodzą się wszechświaty.

¹⁵ *Castagnaccio* – piemoncki deser z mąki z kasztanów.

CYNK

Uczestniczyliśmy przez pięć miesięcy, ściśnięci niczym śledzie w beczce i pełni pokory, w zajęciach z chemii ogólnej i nieorganicznej profesora P., wynosząc z nich wrażenia różnego rodzaju, choć zawsze nowe i ekscytujące. Nie, chemia profesora P. nie była motorem Wszechświata ani kluczem do Prawdy. P. był starym sceptykiem, prześmiewcą, wrogiem wszelkiej pustej retoryki (i tylko i wyłącznie z tego powodu był antyfaszystą), był inteligentny, uparty oraz dowcipny tym swoim smutnym dowcipem.

Przekazywano opowieści o egzaminach przeprowadzanych przez niego z zimnym okrucieństwem i z ostentacyjnym uprzedzeniem. Jego ulubionymi ofiarami były kobiety, a także zakonnice, księża oraz wszyscy ci, którzy zjawiali się przed nim w „stroju żołnierskim”. Szeptano po kątach podejrzanę legendę o jego maniakalnym skąpstwie w prowadzeniu instytutu chemicznego oraz osobistego laboratorium. Ponoć w piwnicy przechowywał nieskończone ilości skrzyń ze zużytymi zapalnikami, które zabraniał wyrzucać woźnym, a tajemnicze minarety samego instytutu, które do dzisiaj przydają temu fragmentowi Corso Massimo d'Azeglio tandetnego zabarwienia fałszywej egzotyki, kazał wybudować on sam, w odległych czasach swojej młodości, po to by corocznie odprawiać w nich jakąś nieczystą, tajemniczą orgię odzysku. Podczas owej orgii spalano wszystkie resztki materiałów oraz bibuły filtracyjnej z całego roku, zaś popioły analizował osobiście on sam, z cierpliwością kutwy, żeby w rytualnej palingenezie wydobyć z nich wszelkie cenne elementy (a może nawet i te mniej cenne). Jedynie Casellemu, jego zaufanemu technikowi i woźnemu, wolno było w tym uczestniczyć. Opowiadano także, że poświęcił całą swoją akademicką karierę, by obalić pewną teorię stereochemiczną, ale nie poprzez doświadczenia, lecz na drodze publikacji. Doświadczenia robił ten drugi, jego największy przeciwnik, nie wiadomo w jakiej części świata: wyniki ogłaszał sukcesywnie w „Helvetica Chimica Acta”, on natomiast podważał je jeden po drugim.

Nie umiem ocenić prawdziwości tych pogłosek, ale prawdą jest, że kiedy byliśmy w laboratorium przygotowawczym, żaden palnik Bunsena nie był wystarczająco przykręcony i dlatego przezorniej było go nawet zgasić. Prawdą jest, że kazał studentom przygotowywać azotan srebra z pięciolirowych monet z orłem wyciągniętych z ich własnych kieszeni, zaś chlorek niklu z dwudziestocentówek z nagą, frunącą kobietą. I prawdą jest też, że jeden jedyny raz, kiedy zostałem wpuszczony do jego gabinetu, zobaczyłem wykaligrafowany na tablicy napis: „Nie chcę pogrzebów ani za życia, ani po śmierci”.

Mnie P. wydawał się sympatyczny. Podobał mi się wyważony rygor jego zajęć. Bawiła mnie pogardliwa ostentacja, z jaką podczas egzaminów, w miejsce przepisowej faszystowskiej czarnej koszuli, nosił cudaczny czarny śliniak wielkości dłoni, który przy każdym gwałtowniejszym ruchu wysuwał się spod klap marynarki. Cenilem jego dwa teksty, klarowne aż do granic obsesji, związane, przesiąknięte ogólną niechęcią do całej ludzkości, a szczególnie do leniwych i głupich studentów. Ponieważ wszyscy studenci z definicji byli leniwi i głupi. Komu, przez czysty przypadek, udało się udowodnić, że taki nie jest, ten stawał się mu równy, a on sam zaszczycał go lakonicznym i cennym zdaniem publicznej pochwały.

Minęło pięć miesięcy niespokojnych oczekiwań. Spośród osiemdziesięciu studentów pierwszego roku wybrano dwudziestu najmniej leniwych i głupich, czternastu chłopców i

sześć dziewcząt, i otwarto przed nami drzwi laboratorium przygotowawczego. O co dokładnie chodziło, nikt z nas do końca nie wiedział. Wydaje mi się, że był to własny wymysł profesora P., jakaś nowoczesna i techniczna wersja pierwotnego rytuału inicjacji, podczas którego każdego z jego podwładnych brutalnie odrywano od książek i szkolnej ławy i przenoszono w świat gryzących oczy oparów, parzących dłonie kwasów oraz praktycznych doświadczeń, które nijak nie przystawały do teorii. Nie chcę w żadnym razie kwestionować przydatności, a nawet konieczności tejże inicjacji, a jednak w brutalnych metodach, z jakimi wcielano ją w życie, łatwo było dostrzec złośliwy talent profesora, jego upodobanie do hierarchicznego dystansu oraz pogardę wobec nas, jego trzódki. Krótko mówiąc, nie strwonił nawet jednego słowa, w formie pisemnej, czy też ustnej, żeby nas wesprzeć, dodać odwagi na obranej przez nas drodze, by wskazać nam jej niebezpieczeństwa i pułapki czy przekazać zawodowe kruczki. Często wydawało mi się, że w głębi duszy profesor P. był człowiekiem dzikim, myśliwym. Kto idzie na polowanie, może jedynie wziąć strzelbę, albo lepiej dzidę i łuk, i zaszyć się w lesie – sukces lub porażka zależą tylko od niego. Wyrusza się, kiedy nadchodzi ta chwila, wieszczby i przepowiednie nie są potrzebne, teoria jest nieistotna, człowiek uczy się jej po drodze, a doświadczenia innych okazują się nieprzydatne – najważniejsze to spróbować własnych sił. Kto jest coś warty, zwycięża, kto ma słabe oczy, ramiona lub węch, wraca i zmienia fach. Spośród osiemdziesięciorga, o których wspomniałem, trzydzieścioro zmieniło zawód na drugim roku, a pozostała dwudziestka później.

Laboratorium było utrzymane w porządku i czystości. Przebywaliśmy w nim pięć godzin dziennie, od 14 do 19. Przy wejściu asystent rozdzielał zadania, po czym każdy udawał się do „składu”, gdzie nasrożony Caselli powierzał mu egzotyczny lub znajomy surowiec: temu kawałek marmuru, temu znowu dziesięć gramów bromu, tamtemu trochę kwasu bornego, a jeszcze innemu garść gliny. Relikwie te Caselli wręczał nam z nieskrywaną podejrzliwością. Był to duchowy pokarm nauki, duchowy pokarm profesora R, a wreszcie były to jego rzeczy, nad którymi osobiście sprawował pieczę. Któż mógł wiedzieć, jaki my, profani i dyletanci, mogliśmy z nich zrobić użytek.

Caselli kochał profesora P. miłością gorzką i niebezpieczną. Zdaje się, że pozostał mu wierny przez czterdzieści lat. Był jego cieniem, ziemską inkarnacją i, jak każdy, kto pełni funkcje zastępcze, ciekawym okazem człowieka. Chcę przez to powiedzieć, że należał do grupy tych, którzy są przedstawicielami Władzy, sami jej nie posiadając, jak na przykład zakrystianie, przewodnicy muzealni, woźni, pielęgniarze, aplikanci u adwokatów i notariuszy czy przedstawiciele handlowi. Ci, którzy w mniejszym lub w większym stopniu dążą do przekucia człowieczej substancji swego Zwierzchnika na swoją własną formę, jak to się dzieje w przypadku kryształów pseudomorficzych. Czasem z tego powodu cierpią, często są zadowoleni i cechują ich dwa odmienne schematy zachowania, w zależności od tego, czy akurat działają w imieniu własnym, czy też „z urzędu”. Nieraz osobowość Zwierzchnika przenika ich tak dogłębnie, że zakłóca ich zwykłe kontakty międzyludzkie i dlatego pozostają w stanie kawalerskim: w rzeczy samej celibat jest zalecany i przestrzegany w warunkach klasztornych, co niesie ze sobą właśnie ową bliskość i podległość wobec najwyższej władzy. Caselli był człowiekiem poddanym, milkliwym, a w jego smętnym, acz dumnym spojrzeniu można było wyczytać:

- on jest wielkim uczonym i jako jego „famulus” także i ja jestem trochę wielki;
- ja, choć maluczki, wiem rzeczy, których on nie wie;
- znam go lepiej niż on sam, uprzedzam jego czyny;
- mam nad nim władzę, bronię go i strzegę;
- mogę o nim źle mówić, ponieważ go kocham, wam tego nie wolno;
- jego zasady są słuszne, ale on przestrzega ich z nadmierną swobodą, „kiedyś tak nie było”. Gdyby nie ja...

...i rzeczywiście, Caselli zarządzał instytutem z oszczędnością i konserwatyzmem przewyższającymi nawet oszczędność i konserwatyzm samego P.

Mnie pierwszego dnia przypadło w udziale przygotowanie siarczanu cynku. Nie wydawało się to zbyt trudne, należało wykonać podstawowy rachunek stechiometryczny, potraktować granulowany cynk rozcieńczonym wcześniej kwasem siarkowym, zatężyć, poddać krystalizacji, wysuszyć za pomocą pompy, przemyć i ponownie poddać krystalizacji. Cynk, zinc, Zinck: robi się z niego kadzie do prania bielizny, nie jest to pierwiastek, który zbytnio pobudza wyobraźnię: ma szary kolor, jego sole są bezbarwne, jest nietoksyczny, nie wywołuje widowiskowych reakcji chromatycznych. Jednym słowem, jest metalem nudnym. Znany ludzkości od dwóch czy trzech wieków, nie jest weteranem w pełni chwały jak miedź, ani jednym z tych pierwiastków pierwszej świeżości, za którymi ciągnie się jeszcze echo ich sensacyjnego odkrycia.

Caselli podał mi cynk. Powróciłem do blatu i zabrałem się do pracy. Byłem zaniepokojony, zakłopotany i z lekka poirytowany, tak jak wtedy, kiedy ma się trzynaście lat i trzeba iść do świątyni, żeby przed rabinem wyrecytować po hebrajsku modlitwę bar micwy. Upragniona i niepewna chwila nadeszła. Wybiła godzina spotkania z Materią, wielką antagonistką Ducha, *Hyle*, którą odnajdujemy w przedziwny sposób zabalsamowaną w końcówkach nazw rodników alifatycznych: metylu, butylu i tak dalej.

Drugiego surowca, partnera cynku, czyli kwasu siarkowego nie trzeba było dopraszać się u Casellego. Było go wystarczająco dużo we wszystkich zakamarkach laboratorium. Stężonego, naturalnie. Trzeba go rozcieńczyć wodą, ale uwaga, jak to jest napisane we wszystkich traktatach, należy postępować na opak, to znaczy wlewać kwas do wody, a nie na odwrót. Inaczej ten olej, tak niepozorny, wybucha niepohamowaną wściekłością, wiedzą o tym nawet licealiści. Potem do rozcieńzonego kwasu dodaje się cynk.

W skryptach był zapisany pewien szczegół, który umknął mi przy pierwszej lekturze: ten jakże łagodny i delikatny cynk, tak uległy w stosunku do kwasów, że te połykają go za jednym kęsem, zachowuje się w sposób zgoła odmienny, kiedy jest w stanie bardzo czystym – wtedy zacięcie stawia opór atakom. Można by wyciągnąć z tego dwie sprzeczne konkluzje filozoficzne: pochwałę czystości, która niczym kolczuga ochrania przed złem, lub pochwałę nieczystości, która toruje drogę zmianom, a więc życiu. Odrzuciłem pierwszą konkluzję, obrzydliwie moralistyczną, i zatrzymałem się na rozważeniu tej drugiej, która bardziej mi odpowiadała. Żeby koło mogło się kręcić, żeby życie mogło żyć, potrzebne są nieczystości: także w ziemi, jak wiadomo, jeśli ma być żyzna. Potrzebne są niezgoda, odmienność, ziarenko soli i gorzycy. Faszizm ich nie chce, zakazuje ich i dlatego nie jesteś faszystą. Chce, żeby wszyscy byli tacy sami, a ty nie jesteś taki sam. Nie istnieje nawet nieskazitelna cnota, a jeśli nawet, to jest ona odpychająca. Weź zatem stojący pośród odczynników roztwór siarczanu miedzi, dodaj jego kroplę do kwasu siarkowego i zobacz, jak rozpoczyna się reakcja. Cynk się rozbudza, pokrywa białą warstwą bąbelków wodoru i już gotowe, czar się ziścił. Możesz pozostawić cynk własnemu losowi i przejść się po laboratorium, żeby dowiedzieć się, co nowego słychać i zobaczyć, co porabiają pozostali.

Pozostali porabiali różne rzeczy. Jedni pracowali w skupieniu, niektórzy pogwizdując, żeby przydać sobie nonszalancji, każdy za swoim okruczem hostii *Hyle*. Inni kręcili się po sali i wyglądali przez okna na park Valentino, cały już zazieleniony. Jeszcze inni palili i gawędzili po kątach.

W rogu laboratorium znajdował się wyciąg, a przed wyciągiem siedziała Rita. Podeszedłem i z lekkim zadowoleniem spostrzegłem, że pichciła tę samą strawę, co i ja. Z zadowoleniem, ponieważ już od jakiegoś czasu kręciłem się koło Rity, przygotowując w myślach błyskotliwe tematy do rozmowy, ale potem, w decydującej chwili, brakowało mi śmiałości, żeby je wyartykułować i odwlekałem wszystko na następny dzień. Brakowało mi odwagi z powodu mojej głęboko zakorzenionej wstydlivosti i nieufności. A także dlatego, że Rita, nie wiedzieć

czemu, nie zachęcała do kontaktów. Była wyjątkowo szczupła, blada, smutna i pewna siebie. Zdawała egzaminy z dobrymi wynikami, ale bez tego niekłamanego apetytu, jaki odczuwałem ja w stosunku do przedmiotów, których jej również przychodziło się uczyć. Nie była niczyją przyjaciółką, nikt nic o niej nie wiedział, mówiła niewiele i z tych wszystkich powodów mnie pociągała. Staralem się usiąść obok niej w czasie zajęć, ona jednak nie pozwalała mi na poufałość. Odczuwałem frustrację i traktowałem to jak wyzwanie. Byłem wręcz zrozpaczony, z pewnością nie po raz pierwszy. Rzeczywiście, w tamtym okresie uważałem się za skazanego na wieczną męską samotność, niezdolnego, by pozyskać kobiecy uśmiech, którego potrzebowałem przecież jak powietrza.

Było bardziej niż jasne, że tego dnia nadarzyła mi się okazja, której nie można było zmarnować. Pomiędzy Ritą a mną wyrósł w tym momencie most, mosteczek z cynku, kruchy, lecz możliwy do przejścia. No dalej, zróbże pierwszy krok.

Kręcąc się wokół Rity, zdałem sobie sprawę z kolejnego szczęśliwego zbiegu okoliczności. Z torby dziewczyny wystawała dobrze mi znana okładka, żółtawa z czerwoną obwódką, z krukiem trzymającym w dziobie książkę. Tytuł? Można było jedynie przeczytać: „DZIEJSKA” i „ORA”, ale tyle wystarczyło. W ostatnich miesiącach owa zawieszona w czasie historia Hansa Castorpa, przebywającego na magicznym zesłaniu na Czarodziejskiej Górze, była mi podporą. Zapytałem Ritę o opinię, niespokojny, jaki będzie jej osąd, prawie jakbym to ja napisał tę książkę. Szybko przekonałem się jednak, że ona czytała tę powieść w zgoła odmienny sposób – tak jak powieść, w rzeczy samej. Bardzo ją interesowało, jak daleko Hans posunie się w stosunkach z panią Chauchat i bezlitośnie opuszczała fascynujące (moim zdaniem) dysputy polityczne, teologiczne i metafizyczne toczone przez humanistę Settembriniego i Żyda-jezuitę Naphtë.

To bez znaczenia. Co więcej, istniał tutaj grunt do dyskusji. Mogłaby to być nawet dyskusja o znaczeniu pierwszorzędnym i fundamentalnym, ponieważ także ja jestem Żydem, a ona nie. To ja jestem nieczystością, która wywołuje reakcję cynku, to ja jestem ziarenkiem soli i gorczycy. Nieczystością, to jasne, ponieważ właśnie w tych miesiącach rozpoczęto publikację „La Difesa della Razza” i o czystości wiele się mówiło, a ja zaczynałem być dumny z tego, że jestem nieczysty. Prawdę mówiąc, aż do teraz niewiele obchodziło mnie, że jestem Żydem. W głębi duszy oraz w kontaktach z moimi chrześcijańskimi przyjaciółmi zawsze uważałem moje pochodzenie za fakt nieistotny, choć ciekawy, za niewielką, acz zabawną anomalię, zupełnie jak w przypadku kogoś, kto ma krzywy nos i piegi. Żyd to ktoś, kto w Boże Narodzenie nie ubiera choinki, kto nie powinien jeść kielbasy, ale i tak ją zjada, kto w wieku lat trzynastu liźnął nieco hebrajskiego, a potem go zapomniał. Zgodnie z wyżej wspomnianą publikacją Żyd był skąpy i cwany. Ale ja nie byłem ani zbyt skąpy, ani cwany, ani nawet mój ojciec taki nie był.

Miałem więc o czym dyskutować z Ritą, ale rozmowa, do której dążyłem, nie kleiła się. Szybko zorientowałem się, że Rita była inna niż ja. Nie była ziarenkiem gorczycy. Była córką chorego i ubogiego sklepikarza. Dla niej uniwersytet nie był bynajmniej świątynią Wiedzy: był trudną i ciernistą drogą, która wiodła do tytułu, do pracy, do pieniędzy. Ona sama od dzieciństwa pracowała: pomagała ojcu, była sprzedawczynią w sklepiku w miasteczku, a nawet jeździła rowerem do Turynu, żeby dostarczyć zamówienia i odebrać pieniądze. Nie odpychało mnie to od niej, a wręcz przeciwnie, wydawało mi się godne podziwu, jak wszystko, co jej dotyczyło: jej niezbyt wypiełgnowane dłonie, niedbały ubiór, stanowcze spojrzenie, rzeczowy smutek, dystans, jaki zachowywała, słuchając moich wypowiedzi.

W ten sposób mój siarczan cynku skończył marnie, ulegając stężeniu i przemieniając się w biały proszek, który wydalil cały lub prawie cały kwas siarkowy pod postacią duszących oparów. Pozostawiłem go jego własnemu losowi i zaproponowałem Ricie, że odprowadzę ją do domu. Było ciemno, a jej dom znajdował się daleko. Cel, jaki sobie założyłem, był dość skromny, mnie jednak wydawał się czynem tak śmiałym jak żaden inny. Wahałem się przez

połowę drogi. Czułem się, jakbym stąpał po rozżarzonych węglach, i upajałem siebie oraz ją urywanymi i niespójnymi wywodami. W końcu, drżąc z emocji, wsunąłem rękę pod jej ramię. Rita nie umknęła, ale też nie odwzajemniła uścisku. Ja jednak wyrównałem do jej kroku i czułem się wesół i zwycięski. Zdawało mi się, jakbym wygrał bitwę, niewielką, ale za to decydującą: bitwę przeciwko ciemności, pustce i nieprzyjaznym czasom, które nadciągały.

ŻELAZO

Poza murami instytutu chemicznego panowała noc, noc Europy. Przechytrzony Chamberlain powrócił z Monachium, Hitler wkroczył do Pragi, nie oddawszy ani jednego strzału, Franco ujarzmił Barcelonę i rozsiadł się w Madrycie. Faszystowskie Włochy, pomniejszy pirat, zajęły Albanię, a zapowiedź zbliżającej się katastrofy skraplała się niczym lepka rosa w domach, na ulicach, w ostrożnych rozmowach i zaspanych sumieniach.

Jednak noc nie przenikała do wnętrza murów. Ta sama faszystowska cenzura, arcydzieło reżimu, trzymała nas oddzielonych od świata, w białym limbie¹⁶ znieczulenia. Około trzydziścioro z nas przeszło przez surowe zapory pierwszych egzaminów i na drugim roku wpuszczono nas do laboratorium analizy jakościowej. Do przestronnej, okopconej i ciemnej sali weszliśmy niczym ten, kto idąc do domu Bożego, zważa na swój krok¹⁷. Poprzednie zajęcia w laboratorium, te od cynku, zdawały nam się teraz banalnie prostym ćwiczeniem, podobnym do dziecięcej zabawy w kuchnię – coś, tak czy owak, musiało w końcu z tego wyjść, być może niezbyt wydajnego, może nie nazbyt czystego. Doprawdy trzeba było być niezdarą albo upartym osłem, żeby nie uzyskać siarczynu magnezu z magnezytu lub bromku potasu z bromu.

Tutaj nie. Tu sprawa stawała się poważna, a konfrontacja z Materią-Mater, z matką nieprzyjaciółką, była trudniejsza i bardziej bezpośrednia. O drugiej po południu profesor D., o ascetycznym i roztargnionym wyglądzie, powierzał każdemu z nas dokładnie jeden gram jakiegoś proszku. Do dnia następnego należało zakończyć jego analizę jakościową, to znaczy określić, jakie metale i niemetale były w nim zawarte. Relację należało zdać na piśmie, w formie protokołu, udzielając jednoznacznej odpowiedzi, ponieważ wątpliwości i wahania były niedopuszczalne. Za każdym razem chodziło o wybór, o decyzję. Było to działanie dorosłe i odpowiedzialne, do którego faszyzm nas nie przygotował i które emanowało przyjemnym zapachem czystości i świeżości.

Były pierwiastki proste i szczerze, niezdolne, by się ukryć, jak żelazo czy miedź. Inne okazywały się podstępne i nieuchwytnie, jak bizmut czy kadm. Istniał pewien sposób, pracowity i niezmienny od pokoleń schemat systematycznych poszukiwań, swego rodzaju grzebień i walec zarazem, któremu (teoretycznie) nic nie mogło umknąć. Ja jednak, w miejsce męczącej rutyny wojny pozycyjnej, za każdym razem wolałem obmyślać własną strategię, pełną spontanicznych wypadów niczym z wojny zaczepnej: poddać sublimacji łożki rtęci, przekształcić sól w chlorek i dostrzec pod mikroskopem schodkowe zagłębienia w jego płytkach. Tutaj, w taki czy inny sposób, stosunki z Materią ulegały zmianie, stawały się dialektyczne. To była szermierka, gra dla dwojga. Para nierównych sobie przeciwników: po jednej stronie znajduje się pytający, nieopierzony chemik, bezbronny, z podręcznikiem Autenrietha u boku jako jedynym sprzymierzeńcem (ponieważ D., nieraz wzywany na pomoc w trudnych przypadkach, utrzymywał skrupulatną neutralność lub, innymi słowy, odmawiał wypowiedzi – roztropne zachowanie, gdyż kto się wypowiada, może się pomylić, a

¹⁶ Limbo – w *Boskiej komedii* pierwszy krąg piekła, gdzie cierpią dusze tych, którzy nie mogli poznać wiary chrześcijańskiej i tym samym zmyć grzechu pierworodnego. Dusze te nie są potępione, a ich kara polega na wiecznej tęsknocie za Bogiem.

¹⁷ Parafraza wersetu z Księgi Koheleeta: „Zważaj na krok swój, gdy idziesz do domu Bożego” (4,17).

profesorowi pomylić się nie wolno). Po drugiej stronie, udzielając enigmatycznych odpowiedzi, stoi Materia, ze swoją zwodniczą biernością, stara jak Wszystko i w cudowny sposób pełna pułapek, majestatyczna i subtelna niczym Sfinks. W tamtym czasie zaczynałem dukać po niemiecku i byłem oczarowany terminem *Urstoff* (co oznacza pierwiastek, a dosłownie: „substancja pierwotna”) oraz przedrostkiem Ur, jaki się w nim pojawia i który wskazuje właśnie na zamierzchłe pochodzenie, znaczną odległość w czasie i przestrzeni.

Tu też nikt nie strzegł sobie zbytnio języka, by nauczyć nas, jak się bronić przed kwasami, substancjami żrącymi, pożarami i eksplozjami. Zdawało się, że zgodnie z surowym duchem instytutu liczone na działanie selekcji naturalnej, tak aby wybrać spośród nas tych najzdatniejszych, którzy mają szansę przeżyć w sensie fizycznym i zawodowym. Wyciągów było niewiele. Każdy z nas, zgodnie z zaleceniami podręcznika, w trakcie regularnej analizy sumiennie odprowadzał do otaczającego go powietrza porządne dawki kwasu solnego i amoniaku. W efekcie w laboratorium nieustannie unosiła się gęsta, siwa mgła chlorku amonu, która osiadała na okiennych szybach pod postacią maleńkich lśniących kryształków. W pomieszczeniu z siarkowodorem, o trupiej atmosferze, chroniły się szukające intymności pary lub jakiś odludek spożywający podwieczorek.

W pewnym momencie, poprzez opary, w ciszy skupienia, dało się słyszeć głos, który ogłosił z piemonckim akcentem: „*Nuntio Vobis gaudium magnum. Habemus Ferrum*”¹⁸. Był marzec 1939 roku i parę dni wcześniej, z prawie identycznym uroczystym oświadczeniem („*Habemus papam*”), rozwiązało się konklawe, wynosząc na tron piotrowy kardynała Eugeniusza Pacellego, w którym wielu pokładało nadzieje, bo w końcu w czymś lub w kimś trzeba było te nadzieje pokładać. Tym, który popełnił świętokradztwo, był milczek Sandro.

Pośród nas Sandro był odmieńcem. Był to chłopak średniego wzrostu, szczupły, ale umięśniony, który nawet w najzimniejsze dni nigdy nie zakładał płaszczka. Przychodził na zajęcia w znoszonych pluszowych pumpach, skarpetach ze zgrzebnej wełny i czasami w czarnej pelerynie, czym przywodził mi na myśl Renata Fuciniego. Miał duże, stwardniałe dłonie, kościsty i chropawy profil, skórę ogorzałą od słońca i niskie czoło pod linią włosów, które nosił krótkie, ostrzyżone na jeża. Poruszał się posuwistym krokiem wieśniaka.

Kilka miesięcy wcześniej ogłoszono prawa rasowe i ja także stawałem się odmieńcem. Chrześcijańscy koledzy byli ludźmi cywilizowanymi, nikt spośród nich ani żaden z profesorów nie skierował w moją stronę nieprzyjaznego słowa lub gestu. Czułem jednak, jak się ode mnie oddalają i naśladując prastare zachowanie, ja również się od nich oddalałem. Każdemu spojrzeniu wymienionemu pomiędzy mną a nimi towarzyszył mały, acz dostrzegalny, błysk nieufności i podejrzliwości. Co myślisz o mnie? Kim jestem dla ciebie? Tą samą osobą sprzed sześciu miesięcy, kimś równym tobie, kto nie chodzi na mszę, czy Żydowinem, którego pośmiejch niech was nie potka¹⁹?

Ze zdziwieniem i z radością zaobserwowałem, że pomiędzy Sandrem a mną coś się powoli rodziło. Nie była to bynajmniej przyjaźń dwóch pokrewnych sobie osób. Wręcz przeciwnie, odmienność naszego pochodzenia czyniła nas bogatymi w „towar wymienny”, niczym dwóch kupców przybyłych z odległych i nieznanych sobie krain. Nie była to też normalna, cudowna poufałość dwudziestolatków. Do tego, w przypadku Sandra, nigdy nie doszedłem. Szybko zorientowałem się, że był wspaniałomyślny, bystry, wytrwały i odważny, nawet z lekką dozą zuchwalstwa, z natury jednak nieprzystępny i dziki. Przez to – pomimo że byliśmy w wieku, kiedy odczuwa się potrzebę, popęd i bezwstydną chęć, żeby zadrzeć jeden drugiego wszystkim tym, co się kłębi w naszych głowach i nie tylko (jest to wiek, który może trwać nawet długi czas, ale kończy się wraz z pierwszym kompromisem) – nic nie przedostało się

¹⁸ *Nuntio vobis...* (łac.) – „Ogłaszam wam radosną nowinę. Mamy żelazo”. Jest to parafraza formuły używanej przy ogłaszaniu wyboru papieża.

¹⁹ Por. „Niech was nie potka pośmiejch Żydowina”, Dante Alighieri, *Boska komedia*, przeł. E. Porębowicz, *Raj*, V, 81.

przez skorupę jego powściągliwości, nic z jego wewnętrznego świata, który ponad wszelką wątpliwość był bogaty i płodny. Nic poza jakimś rzadkim, dramatycznie urwanym napomknieniem. Był podobny do kotów, z którymi żyjemy przez dziesięciolecia, lecz te nigdy nie pozwolą nam przeniknąć przez swoją świętą skórę.

Mieliśmy sobie wiele do zaoferowania. Powiedziałem mu, że jesteśmy jak kation i anion, ale Sandro zdawał się nie odczuwać tego podobieństwa. Urodził się w Serra d'Ivrea, ziemi pięknej, ale ubogiej.

Był synem murarza, a wakacje spędzał, pracując jako pasterz. Nie jako pasterz dusz bynajmniej. Jako pasterz owiec i to nie w imię arkadyjskich ideałów czy dziwacznych przyzwyczajzeń, ale z radością, z miłości do ziemi i roślinności, ze szczodrości serca. Miał ciekawe zdolności naśladowcze. Kiedy opowiadał o krowach, kurach, owcach i psach, przeobrażał się, odtwarzał ich spojrzenia, ruchy, odgłosy, stawał się wesoły i wydawał się przeistaczać w zwierzę niby jakiś czarnoksiężnik. Uczył mnie o roślinach i zwierzętach, ale o swojej rodzinie mówił niewiele. Ojciec jego zmarł, kiedy on był jeszcze dzieckiem. Rodzice byli ludźmi prostymi i biednymi, a ponieważ chłopak okazał się bystry, postanowili posłać go do szkół, żeby przynosił do domu pieniądze. On przystał na to z piemoncką powagą, choć bez entuzjazmu. Przeszedł długą drogę gimnazjum i liceum, starając się jak najmniejszym wysiłkiem osiągnąć jak najlepsze wyniki. Nie obchodzili go Katullus ani Kartezjusz, interesowały go promocja do następnej klasy oraz niedziela spędzona na nartach lub na wspinaczce. Wybrał chemię, ponieważ wydawała mu się lepsza niż inne nauki: była zajęciem związanym z rzeczami, które można zobaczyć i których można dotknąć, mniej męczącym niż bycie stolarzem czy rolnikiem.

Zaczęliśmy się razem uczyć fizyki i Sandro dziwił się, kiedy próbowałem wyłożyć mu niektóre z moich idei, jakie w tamtym czasie niejasno kiełkowały w mojej głowie. To, że szlachetność Człowieka, zdobyta poprzez stulecia prób i błędów, polega na opanowaniu materii i że zapisałem się na wydział chemii, ponieważ owej szlachetności chciałem pozostać wierny. To, że pokonać materię znaczy ją zrozumieć, a zrozumienie materii jest niezbędne, by pojąć wszechświat i nas samych. A zatem, że okresowy układ pierwiastków, którego zawikłałości właśnie w tym tygodniu z mozołem próbowaliśmy rozwikłać, był poezją, najwyższą i najwznioślejszą spośród wszystkich wierszy przerobionych w liceum. Jeśli się dobrze zastanowić, są w nim też rymy! I jeśli szukał pomostu, brakującego ogniwa pomiędzy światem na papierze a światem rzeczy, nie musiał szukać daleko: znajdowały się tutaj, w podręczniku Autenrietha, w naszych zadymionych laboratoriach, w naszej przyszłej profesji.

I wreszcie, i przede wszystkim, czyż on, chłopak szczerzy i uczciwy, nie czuł swądu faszystowskich prawd, który zatruchiwał powietrze? Czyż nie odbierał jako hańby tego, że od myślącego człowieka wymagano, by bezmyślnie uwierzył? Czyż nie odczuwał wstępu do wszelkich dogmatów, nieudowodnionych stwierdzeń, wszelkich nakazów? Odczuwał. A zatem jak mógł nie dostrzegać w naszej nauce nowej godności i wzniosłości? Jak mógł nie wiedzieć, że chemia i fizyka, którymi się żywiliśmy, poza tym, że z natury są życiodajną strawą, stanowią owo poszukiwane przez nas antidotum na faszyzm, ponieważ są jasne i wyraźne, i na każdym kroku sprawdzalne, a nie utkane z kłamstw i próżnych słów jak radio czy gazety?

Sandro przysłuchiwał się z ironiczną uwagą, zawsze gotów, by ostudzić mój zapał dwoma grzecznymi, acz szorstkimi zdaniem, kiedy tylko zaczynałem popadać w pustosłowie. Coś jednak w nim dojrzywało (i z pewnością nie tylko dzięki mnie, były to miesiące pełne fatalnych wydarzeń), coś, co go dręczyło, ponieważ było nowe i odwieczne równocześnie. On, który do tej pory nie przeczytał nic więcej jak Salgariego, Londona czy Kiplinga, nagle stał się namiętym czytelnikiem. Pochłaniał i zapamiętywał wszystko i wszystko w nim samorzutnie układało się w porządek życia. Równocześnie zaczął się uczyć i jego średnia

skoczyła z 21 do 29²⁰. W tym samym okresie, z powodu podświadomej wdzięczności, a może żeby się na mnie odegrać, tym razem on zabrał się za moją edukację i dał mi do zrozumienia, że była ona niekompletna. Mógł zresztą mieć rację. Być może Materia była naszą nauczycielką, a także – z braku czegoś lepszego – naszą polityczną szkołą. On jednak znał inną materię, do której mógł mnie zaprowadzić, inną nauczycielkę. Nie proszek z chemii jakościowej, ale ten prawdziwy, autentyczny, ponadczasowy *Urstoff*, skałę i lód pobliskich gór. Bez trudu udowodnił mi, że nie miałem kompetencji, by wypowiadać się na temat materii. Jakie stosunki, jakie obeznanie miałem do tej pory z czterema elementami Empedoklesa? Czy umiałem rozpalić w piecu? Patrzyć na strumień? Czy wiedziałem, czym jest zawieja na wysokości? Kielkowanie nasion? Nie, a zatem także on miał mi coś życiodajnego do przekazania.

Zrodziło się między nami braterstwo, a dla mnie nastał niespokojny okres. Sandro zdawał się zrobiony z żelaza. Był przecież związany z żelazem poprzez odwieczne pokrewieństwo: jego pradziadowie, jak mi opowiedział, byli kotlarzami (*magnin*) i kowalami (*fré*)²¹ w dolinach Canavese, wytapiali gwoździe w piecu węglowym, otaczali koła wozów rozżarzonymi obręczami, kuli blachę tak długo, aż nie ogłuchli. Także jemu samemu, kiedy dostrzegął w skale czerwoną żyłę żelaza, zdawało się, jakby odnajdywał swego przyjaciela. Zimą, kiedy nie mógł już wytrzymać, przywiązywał narty do zardzewiałego roweru, wyruszał bladym świtem i pedałowal aż do zaśnieżonych stoków, bez pieniędzy, z karczochem w jednej kieszeni i z sałatą w drugiej. Wracał wieczorem albo nawet następnego dnia, śpiąc po stodołach. Im więcej zaznał trudów i głodu, tym bardziej był zadowolony i tym lepiej się czuł.

Latem, kiedy wyruszał sam, często zabierał ze sobą psa, żeby dotrzymał mu towarzystwa. Był to żółty kundelek o służalczym wyglądem. Jak opowiedział mi Sandro, obrazowo naśladowując sceny ze zwierzętami, pies jako szczenię miał przygodę z pewną kotką.

Zbliżył się zanadto do miotu świeżo narodzonych kociaków, na co kotka się oburzyła, zaczęła prychać i cała się nadeła. Jednak szczeniak nie znał jeszcze znaczenia tych sygnałów i jak ten głupek nie ruszał się z miejsca. Kotka skoczyła na niego, pogoniła go i dopadła, drapiąc przy tym w nos. W efekcie piesek doznał trwałego urazu. Czuł się okryty hańbą, więc Sandro zrobił dla niego piłkę z gałganów, przekonał go, że to kot, i co rano podtykał mu ją pod nos, aby kundelek zemścił się na niej za doznaną zniewagę i odzyskał swój psi honor. Z tych samych terapeutycznych pobudek Sandro zabierał go w góry, żeby się trochę rozerwał. Przywiązywał go po jednej stronie liny, sam siebie wiązał na jej drugim końcu, ustawiał psa dobrze ułożonego na jakimś niewielkim skalnym tarasie, a potem się wspinał. Kiedy lina się kończyła, delikatnie wciągał go do góry. Pies nauczył się tej sztuczki i szedł z pyskiem wyciągniętym do góry, zapierając się czterema łapami o niemalże pionową ścianę, skamląc przy tym pod nosem jakby przez sen.

Sandro wspinał się po skałach, używając bardziej instynktu niż techniki, zawierając siłę swoich rąk. Na uchwyconym występie skalnym ironicznie pozdrawiał krzem, wapń i magnez, które nauczył się rozpoznawać podczas zajęć z mineralogii. Dzień nie wydawał mu się stracony pod warunkiem, że w jakiś sposób dał ujście swoim zapasom energii. Wtedy nawet jego spojrzenie stawało się bardziej żywe. Wyjaśnił mi, że prowadząc siedzący tryb życia, za oczami tworzą się pokłady szkodliwego tłuszczu: przy wysiłku tłuszcz się spala, oczy cofają się w głąb oczodołów i lepiej widzą.

O swoich przygodach opowiadał niezwykle oszczędnie. Nie należał do tych, którzy robią coś po to, by móc się tym potem pochwalić (jak ja). Nie lubił wielkich słów, w ogóle nie lubił słów. Zdawało się, że tak jak nikt nie nauczył go wspinaczki, tak samo nikt nie pokazał mu, jak mówić. Mówił w sposób, w jaki nikt nie mówi, wyluszczając jedynie sedno sprawy.

²⁰ We włoskich uniwersytetach obowiązuje punktowa skala oceniania od 1 do 30.

²¹ Wyrazy pochodzące z dialektu piemontskiego.

Jeśli było trzeba, niósł ze sobą trzydzieści kilo w plecaku, ale zazwyczaj szedł bez niego. Wystarczyły mu kieszenie, do których, jak już wspomniałem, wkładał warzywa i kawałek chleba, szczyryk, a czasem przewodnik CAI²², cały wyświechtany. Do tego nieodzowny kłębek drutu na wypadek niespodziewanych napraw. Jeśli chodzi o przewodnik, nosił go ze sobą nie dlatego, żeby mu wierzył. Wręcz przeciwnie. Nie akceptował go, ponieważ postrzegał go jako ograniczenie, a nawet więcej – bastarda, odrażające hybrydyczne połączenie papieru ze skałą i śniegiem. Zabierał przewodnik w góry po to, by go poniżyć, szczęśliwy, jeśli mógł go przyłapać na jakimś błędzie, nawet kosztem swoim i towarzyszy wspinaczki. Mógł iść dwa dni, nic nie jedząc, albo zjeść trzy posiłki naraz, a dopiero potem wyruszyć. Dla niego wszystkie pory roku były dobre. Zima, by jeździć na nartach, choć nie w modnych i dobrze wyposażonych kurortach, których istnienie kwitował lakonicznym szyderstwem. Ponieważ byliśmy zbyt biedni, by kupić sobie focze skóry do wspinaczki, pokazał mi, jak zszyć płachty ze zgrzebnego płótna – spartański wynalazek, który nasiąka wodą, a potem zamarza niczym dorsz i schodząc, trzeba go sobie przewiązać wokół pasa. Ciągnął mnie ze sobą na wyczerpujące wyprawy po świeżym śniegu, z dala od jakichkolwiek ludzkich śladów, szlakami, które zdawał się wyczuwać niczym człowiek pierwotny. Latem, by podążając od schroniska do schroniska, upajać się słońcem, zmęczeniem i wiatrem i żeby wycierać sobie skórę opuszków na skale nietkniętej wcześniej ludzką ręką. Jednak nie na znanych szczytach ani w poszukiwaniu pamiętnych przygód. To go zupełnie nie interesowało. Chciał poznać granice własnych możliwości, podjąć wyzwanie i się doskonalić. Gdzieś w głębi duszy odczuwał potrzebę, by przygotować siebie (i mnie) na nadciągające żelazne czasy, z miesiąca na miesiąc coraz bliższe.

Widok Sandra w górach przynosił spokój ducha i sprawiał, że zapominało się o koszarze, jaki zawisł nad Europą. To było jego miejsce, do którego został stworzony, niczym świstaki, których gwizd naśladował, lub niczym gryf. W górach był szczęśliwy, tym swoim szczęściem cichym i zaraźliwym jak rozpalające się światło. Rozbudzał we mnie nieznaną wcześniej poczucie jedności z ziemią i niebem, w którym spotykały się moja potrzeba wolności, pełnia sił i głód zrozumienia tego, co pchnęło mnie w kierunku chemii. Wyruszyliśmy o brzasku, przecierając oczy, ze schroniska Martinotti. I oto pojawiały się wokół nas, ledwie muśnięte słońcem, białe i brunatne góry, nowe, jakby powstałe w ciągu minionej nocy, a równocześnie odwieczne i niezliczone. Stanowiły wyspę, inny świat.

Zresztą nie zawsze trzeba było iść wysoko i daleko. Podczas przejściowych pór roku królestwem Sandra były skalne ścianki. Jest ich wiele, oddalonych od Turynu o dwie czy trzy godziny jazdy rowerem, i ciekaw jestem, czy jeszcze ktoś się po nich wspina. Szczyty Pagliaio z Wieżą Wolkmana, Zęby Cumiana, Roca Pantanüa (co znaczy Naga Skała), Plô, Sbarüa i inne, o skromnych i swojskich nazwach. Zdaje mi się, że ta ostatnia skała, Sbarua, została odkryta przez samego Sandra, albo też przez jego legendarnego brata. Sandro nigdy mi go nie przedstawił, jednak jak wynikało z jego nielicznych napomknięć, brat był dla niego tym, kim on sam był dla reszty śmiertelników. Nazwa „Sbarüa” wywodzi się od czasownika *sbarüe*²³ oznaczającego „przerazić”. Jest to pryzma granitu, która wynurza się na wysokość około stu metrów spośród skromnych wzgórz nasrożonych krzakami jeżyn i zanikającym lasem. Niczym posąg starca kreteńskiego²⁴ od podstawy po sam szczyt jest pęknięta na dwoje. Szczelina stopniowo zwęża się ku górze, aż w końcu zmusza wspinającego się, by wyszedł na ścianę, gdzie ogarnia go przerożenie. W tamtych czasach w skale tkwił jeden jedyny hak, litościwie pozostawiony tam przez brata Sandra.

²² CAI – Club Alpino Italiano (Włoski Klub Alpejski).

²³ W dialekcie piemonckim.

²⁴ Por. Dante Alighieri, *Boska komedia, Piekło*, XIV, 103-120.

Były to właśnie owe ciekawe miejsca uczęszczane przez kilkudziesięciu podobnych nam zapaleńców, zaś Sandro znał ich wszystkich z imienia lub z widzenia. Wspinaliśmy się, nie bez problemów technicznych, pośród uprzykrzonego bzyczenia gzów zwabionych zapachem naszego potu, wdrapując się po ścianach z mocnej, litej skały, przecinanych trawiastymi półkami, na których rosły paprocie i poziomki, a jesienią jeżyny. Nieraz jako punktów zaczepienia używaliśmy pni wątych drzewek zakorzenionych w szczelinach. Po paru godzinach docieraliśmy do szczytu, który szczytem nie był ani trochę i okazywał się raczej sielskim pastwiskiem, z którego krowy spoglądały na nas obojętnym wzrokiem. Potem, żeby zabrać rowery, w parę minut zbiegaliśmy na złamanie karku po ścieżkach usianych starymi i świeżymi krowimi odchodami.

Zdarzały się też trudniejsze wyprawy. Nigdy spokojne wycieczki, ponieważ Sandro uważał, że na podziwianie widoków będziemy mieć czas po czterdziestce. „*Dôma, neh?*”²⁵, powiedział do mnie pewnego lutowego dnia. W jego języku oznaczało to, że w związku z dobrą pogodą wieczorem mogliśmy wyruszyć na planowaną od wielu tygodni wspinaczkę po Zębie M. Przespaliliśmy się w gospodzie i wyszliśmy rano następnego dnia, niezbyt wcześnie, o nieokreślonej bliżej godzinie (Sandro nie przepadał za zegarkami, ich nieustanne, nieme napominanie odczuwał jak nieproszoną ingerencję). Śmiało zanurzyliśmy się we mgłę, z której koło pierwszej wyszliśmy w jasne słońce, na grań jakiegoś szczytu, który jednak nie był tym właściwym.

Wtedy powiedziałem, że moglibyśmy z powrotem zejść kilkaset metrów, przetraversować połowę stoku i wspinać się ponownie następnym wejściem. Albo że nawet lepiej, skoro już tu jesteśmy, byłoby iść dalej i zadowolić się omyłkowo obranym szczytem, który zresztą był czterdzięci metrów niższy od tego właściwego. Sandro, z niezwykłą przebiegłością, w paru zwięzłych słowach oświadczył, że zgadza się na moją drugą propozycję, ale że w gruncie rzeczy „przez prostą północno-zachodnią grań” (był to sarkastyczny cytat ze wspomnianego już przewodnika CAI) w pół godziny równie dobrze zdobędziemy Ząb M, i że nie warto mieć dwudziestu lat, jeśli nie można pozwolić sobie na taki luksus, by zmylić drogę.

Prosta grań zapewne była prosta, a nawet banalna, ale latem. My jednak zastaliśmy na niej niedogodne warunki. Czarna skała na zboczu nasłonecznionym była mokra, a na stoku zacienionym pokryta lodem.

Pomiędzy jednym występem a drugim zalegał lepki śnieg, w który człowiek zapadał się po pas. Dotarliśmy do szczytu o piątej, ja wlekąc się w tyle w godny pożałowania sposób, Sandro przepelniony złowrogą wesołością, która mnie irytowała.

– A jak zejdziemy?

– To się jeszcze zobaczy – odpowiedział. I dodał tajemniczo: – Najgorsze, co może nas spotkać, to spróbować niedźwiedziego mięsa.

Niedźwiedziego mięsa spróbowaliśmy jeszcze tej samej nocy, a miała ona być długa. Zeszliśmy w dwie godziny, ledwie wspomagani przez zamarznąłą linę. Zrobiła się z niej sztywna, złośliwa płatanina, która zahaczała o wszystkie występy i uderzając o skałę, brzęczała niczym lina kolejki górskiej. O siódmej znaleźliśmy się nad brzegiem zamarznętego jeziora. Było ciemno. Zjedliśmy resztki z tego, co nam pozostało. Od strony, z której zawiewało, zbudowaliśmy na sucho niewiele warty murek i ułożyliśmy się do snu na ziemi, przywierając jeden do drugiego. Zdawało się, że czas także zamarznął. Co parę chwil wstawaliśmy, żeby pobudzić krążenie i ciągle była ta sama godzina: ciągle widać było jaśniejący księżyc, ciągle w tym samym punkcie nieba, a przed księżycem płynęła fantastyczna kawalkada poszarpanych chmur, ciągle tych samych. Zdjęliśmy buty, jak zalecano w książkach Lammera, tak drogich Sandrowi, i trzymaliśmy stopy w plecakach. O pierwszym, ponurym brzasku, który zdawał się bić od śniegu, a nie z nieba, wstaliśmy z

²⁵ *Dôma, neh* (d. piemontcki) – Idziemy, co?

zesztywniałymi kończynami i spojrzeniem nieprzytomnym od czuwania, głodu i leżenia na twardym posłaniu. Nasze buty były tak zamrożone, że dzwięczały jak dzwony i żeby. Je założyć, musieliśmy najpierw wysiedzieć je niczym kury.

Jednak do doliny powróciliśmy o własnych siłach. Gospodarzowi, który, śmiejąc się pod wąsem, pytał; jak nam poszło, zerkając przy tym na nasze wytrzeszczone oczy, odparliśmy zuchwale, że wycieczka udała się wyśmienicie. Zapłaciliśmy rachunek i oddaliliśmy się z godnością. To było właśnie owo niedźwiedzie mięso i teraz, kiedy minęło tyle lat, żałuję, że zjadłem go tak niewiele, bo spośród wszystkich dobrych rzeczy, jakie dało mi życie, nic nie przypominało, nawet w najmniejszym stopniu, smaku tego mięsa, który czuje się, kiedy jest się silnym i wolnym, wolnym nawet, by się pomylić, i kiedy jest się panem własnego losu. Dlatego wdzięczny jestem Sandrowi, że świadomie pakował mnie w tarapaty w trakcie tej i innych wypraw, bezsensownych tylko z pozoru. Wiem bez cienia wątpliwości, że później mi się przydały.

Nie przydały się za to jemu, a przynajmniej nie na długo. Sandro był Sandrem Delmastro, pierwszym poległym spośród żołnierzy Piemonckiego Okręgu Wojskowego Partii Akcji. Po paru miesiącach skrajnego napięcia, w kwietniu 1944 roku, pochwycili go faszyci. Nie poddał się jednak i spróbował ucieczki z Domu Faszysty w Cuneo. Został zabity serią z karabinu maszynowego w tył głowy, przez jedno z owych potwornych dzieci-katów, jednego z tych nieszczęsnych piętnastoletnich siepaczy, których Republika Salo zwerbowała w domach poprawczych. Ciało długo leżało opuszczone pośrodku drogi, ponieważ faszyci zakazali miejscowej ludności jego pochówku.

Dziś już wiem, że jest przedsięwzięciem beznadziejnym, by ubrać człowieka w słowa, by wskrzesić go na zapisanych kartach. Zwłaszcza takiego człowieka jak Sandro. Nie był kimś, o kim można opowiadać albo komu można stawiać pomniki, jemu, który śmiał się z pomników. Cała jego osoba zamykała się w działaniu i kiedy to się skończyło, nic po nim nie pozostało. Nic oprócz słów właśnie.

POTAS

W styczniu 1941 roku losy Europy i całego świata wydawały się przesądzone. Tylko ktoś naiwny mógł jeszcze wierzyć w porażkę Niemiec. Nierozsądni Anglicy „nie zdawali sobie sprawy, że przegrali mecz” i z uporem opierali się bombardowaniom, byli jednak osamotnieni i na wszystkich frontach doznawali krwawych porażek. Tylko ktoś z wyboru ślepy i głuchy mógł mieć wątpliwości co do tego, jaki los czekał Żydów w niemieckiej Europie. Wszyscy czytaliśmy przemycone z Francji *Rodzeństwo Oppenheim* Feuchtwangera oraz angielską *Białą Księgę*, która dotarła do nas z Palestyny i w której opisywano „nazistowskie okrucieństwa”. Uwierzyliśmy w połowę z nich i to wystarczało. Mieliśmy okazję rozmawiać z wieloma uchodźcami przybyłymi do Włoch z Polski i Francji. Choć nie znali szczegółów zbrodni, jaka dokonywała się za opuszczoną, monstrualną zasłoną milczenia, to każdy z nich był posłańcem, podobnie jak ci, którzy przybiegali do Hioba, żeby powiedzieć: „ja sam uszedłem, by ci o tym donieść”²⁶.

A jednak, jeśli się chciało żyć, jeśli się chciało w jakiś sposób korzystać z młodości, która płynęła w naszych żyłach, nie było innego wyjścia niż właśnie owa ślepotą z wyboru. Tak jak Anglicy „nie zdawaliśmy sobie sprawy”, spychaliśmy wszystkie groźby do otchłani rzeczy niedostrzeganych lub szybko zapominanych. Można też było, teoretycznie, rzucić wszystko i uciec, zapuścić korzenie w jakimś odległym, mitycznym kraju, wybranym spośród tych, których granice pozostawały otwarte, jak Madagaskar czy brytyjski Honduras. Lecz by tego dokonać, potrzeba było wielkich pieniędzy i niewyobrażalnej determinacji, których ani ja, ani moja rodzina czy przyjaciele nie mieliśmy. Zresztą kiedy człowiek przyjrzał się wszystkiemu dokładnie i z bliska, sytuacja nie wydawała się aż tak tragiczna. Otaczające nas Włochy, a ściślej rzecz biorąc (w czasach, kiedy podróżowało się mało) Piemont i Turyn, nie były nam wrogie. Piemont był naszą prawdziwą ojczyzną, tą, z którą się utożsamialiśmy. Góry wokół Turynu, widoczne w bezchmurne dni i położone w zasięgu wycieczki rowerowej, były nasze, niezastąpione, nauczyły nas wysiłku, wytrzymałości oraz swego rodzaju mądrości. Jednym słowem w Piemoncie i w Turynie znajdowały się nasze korzenie, niezbyt potężne, ale głębokie, rozległe i fantastycznie poplątane.

Ani w nas, ani w ogóle w naszym pokoleniu, nieważne czy „aryjczyków”, czy Żydów, idea, że trzeba i że można przeciwstawić się faszyzmowi, nie utorowała sobie jeszcze drogi. Nasz ówczesny opór był bierny i ograniczał się do odrzucenia, do izolacji, do obrony przed zarażeniem się. Ziarno aktywnej walki nie przetrwało do naszych czasów, kiełkujące pędy zniszczono kilka lat wcześniej wraz z ostatnim pociągnięciem kosa, które skazało na więzienie, zesłanie, wygnanie lub też na milczenie ostatnich turyńskich bohaterów i świadków, takich jak Einaudi, Ginzburg, Monti, Vittorio Foa, Zini, Carlo Levi. Nazwiska te nic nam nie mówiły, niewiele o nich wiedzieliśmy, otaczający nas faszyzm nie miał przeciwników. Trzeba było zacząć od niczego, „wymyślić” nasz własny antyfaszyzm, stworzyć go od zarodka, od korzeni, od naszych korzeni. Szukaliśmy wokół siebie, obieraliśmy drogi, które prowadziły niezbyt daleko. Biblia, Croce, geometria, fizyka wydawały się źródłem pewności.

²⁶ Hi 1,16.

Zbieraliśmy się w sali gimnastycznej „Talmud Tora”, Szkoły Prawa, jak dumnie zwała się żydowska szkoła podstawowa o wiekowej tradycji, i uczyliśmy się wzajemnie, jak odnaleźć w Biblii sprawiedliwość i niesprawiedliwość oraz siłę, która tę niesprawiedliwość niweczy, jak rozpoznać nowych ciemnych w Ahaszweroszu i w Nabuchodonozorze. Gdzież jednak był Ha-Kadosz Baruch Hu, „Święty, niech będzie błogosławiony”, ten, który kruszy łańcuchy niewolników i zatapia wozy egipskie? Ten, który podyktował Prawo Mojżeszowi i oświecił wyzwolicieli, Ezdrasza i Nehemiasza, nikogo już nie oświecał, niebo nad nami było milczące i puste: pozwalał, by w gettach w Polsce dokonywała się Zagłada²⁷. Powoli i niezbyt wyraźnie rodziła się w nas myśl, że byliśmy sami, że ani na ziemi, ani w niebie nie mieliśmy sprzymierzeńców, na których moglibyśmy liczyć, że siłę oporu musieliśmy odnaleźć w sobie. Nie był więc całkowicie bezzasadny impuls, który wtedy popychał nas, by poznawać kres własnych możliwości: przemierzać rowerem setki kilometrów, wspinać się z zacięciem i cierpliwością na niezbyt dobrze znane skalne ściany, dobrowolnie zaznawać głodu, zimna i zmęczenia oraz ćwiczyć się w znoszeniu trudów i podejmowaniu decyzji. Wejdzie hak czy nie wejdzie, lina wytrzyma czy nie wytrzyma? To także były źródła pewności.

Chemia, dla mnie, już do nich nie należała. Prowadziła do serca Materii, a Materia była nam sprzymierzeńcem właśnie dlatego, że Duch, tak bliski faszyzmowi, był naszym wrogiem. Jednak dotarłszy do czwartego roku chemii czystej, nie mogłem już nie wiedzieć, że sama chemia, a przynajmniej ta, którą nas karmiono, nie dawała odpowiedzi na moje pytania. Przygotowanie bromobenzenu lub fioletu metylowego według wskazówek Gattermanna mogło być zajmujące, a nawet zabawne, ale nie różniło się zbyt od gotowania według przepisów kulinarnych Artusiego²⁸. Dlaczego tak, a nie inaczej? Od czasu kiedy w liceum nafaszerowano mnie prawdami objawionymi Doktryny Faszystowskiej, wszelkie prawdy objawione, a nieudowodnione, wydawały mi się nieznośne i podejrzane. Czy istniały teorematy chemii? Nie, dlatego należało pójść dalej, nie zadowalać się samym *ad quia*²⁹, ale cofnąć się do źródeł, do matematyki i fizyki. Początki chemii były nędzne, a przynajmniej podejrzane: nory alchemików, odrażający bezład ich myśli i języka, ich zdeklarowany pociąg do złota i lewantyńskie sztuczki warte magów i szarlatanów. U źródeł fizyki stała natomiast niezachwiana jasność Zachodu, Archimedes i Euklides. Chciałem zostać fizykiem, *ruat coelum*³⁰, choćby nawet bez dyplomu, którego Hitler i Mussolini mi odmawiali.

Krótki kurs ćwiczeń z fizyki stanowił część programu czwartego roku chemii. Były to proste pomiary lepkości, napięcia powierzchniowego, skręcalności właściwej itp. Zajęcia prowadzone były przez młodego asystenta, szczupłego, wysokiego, nieco zgarbionego, miłego i niezwykle nieśmiałego, zachowującego się w sposób, do którego nie przywykliśmy. Pozostali nasi nauczyciele, prawie bez wyjątku, byli przekonani o wadze i o wyższości wykładanego przez siebie przedmiotu. Jedni działali w dobrej wierze, dla innych była to ewidentnie kwestia osobistej dominacji i kontroli własnego terenu łowieckiego. Asystent zaś wyglądał tak, jakby się przed nami tłumaczył, jakby stawał po naszej stronie. Wydawało się, że w jego uśmiechu, nieco zakłopotanym i pełnym dystygowanej ironii, można było wyczytać: „Ja też wiem, że przy tej przestarzałej i zużytej aparaturze niewiele pożytecznego zdziałacie i że są to zresztą jakieś marginalne głupstwa, prawdziwa wiedza mieszka gdzie indziej. Ale to jest zawód, który musicie wykonywać i ja także, dlatego proszę, postarajcie się nie narobić zbyt wielu szkód i nauczyć się, ile tylko zdołacie”. Krótko mówiąc, kochały się w nim wszystkie uczęszczające na zajęcia dziewczęta.

²⁷ Tak w oryginale.

²⁸ Pellegrino Artusi – autor popularnej we Włoszech książki *La scienza in cucina o l'arte di mangiar bene* (*Nauka w kuchni, czyli sztuka dobrego jedzenia*).

²⁹ Por. „Rodzie człowieczy, dość tobie *ad quia!*”, Por. Dante Alighieri, *Boska komedia, Czyściec*, III, 37.

³⁰ *Ruat coelum* (łac.) – choćby niebo miało runąć. Sentencja łacińska: *Fiat luistitia, ruat coelum* – Sprawiedliwości musi się stać zadość, choćby niebo miało runąć.

Podczas tych kilku miesięcy czyniłem desperackie próby, żeby zostać uczniem tego czy innego profesora. Jedni, ze skrzywioną miną, a nawet z wyższością, odpowiadali, że zakazują im tego prawa rasowe. Inni uciekali się do mętnych i niedorzecznych tłumaczeń. Pewnego wieczoru, przyjąwszy z godnością czwartą czy piątą odmowę, wracałem rowerem do domu, przygnieciony prawie że namacalnym ciężarem zniechęcenia i rozgoryczenia. Jechałem zrezygnowany ulicą Valperga Caluso, a od strony parku Valentino doganiały mnie i wyprzedzały mroźne podmuchy mglistego powietrza. Była już noc i światłom latarni, przesłoniętym z powodu obowiązującego zaciemnienia, nie udawało się przebić przez unoszące się opary i ciemności. Nieliczni przechodnie przemykali w pośpiechu i oto jeden z nich przyciągnął moją uwagę. Szedł w moim kierunku wydłużonym, posuwistym krokiem, miał na sobie długi czarny płaszcz i żadnego nakrycia głowy, był nieco pochylony i przypominał Asystenta. To był Asystent. Minąłem go niepewny, jak się zachować. Potem zebrałem się w sobie, zawróciłem, ale po raz kolejny nie odważyłem się go zagadnąć. Cóż o nim wiedziałem? Nic – mógł być kimś obojętnym, hipokrytą, a nawet wrogiem. Potem pomyślałem, że ryzykuję co najwyżej kolejną odmowę i bez ogródek zapytałem, czy byłoby możliwe, żeby przyjął mnie do prac eksperymentalnych w swoim instytucie. Asystent spojrział na mnie zaskoczony. Zamiast długiej przemowy, jakiej mogłem się spodziewać, odparł mi słowami Ewangelii: „Chodź za mną”.

Wnętrze Instytutu Fizyki Eksperymentalnej wypełniały kurz i duchy przeszłości. Stały tam rzędy przeszklonych szaf, zapchanych poźółkłymi i ponadgryzаныmi przez myszy i mole karteczkami. Były to obserwacje zaćmień, zapisy trzęsień ziemi, komunikaty meteorologiczne sięgające daleko w poprzednie stulecie. Pod ścianą w jednym z korytarzy znalazłem niezwykłą trąbę, długą na ponad dziesięć metrów, której pochodzenia, celu i sposobu używania nikt już nie pamiętał. Może miała zapowiedzieć dzień Sądu Ostatecznego, kiedy objawi się wszystko to, co ukryte? Były tam też secesyjna bania i fontanna Herona oraz niezliczona menażeria przestarzałych mechanizmów, od pokoleń używanych w aulach podczas pokazów, owych żalonych i naiwnych przedstawień fizyki pomniejszej, w których bardziej liczy się choreografia niż myśl. Nie są to może sztuka iluzji ani popisy prestidigitatorskie, ale coś bardzo im pokrewnego.

Asystent przyjął mnie w służącej mu za mieszkanie komórce na parterze, pełnej różnorodnych narzędzi, ekscytujących i nieznanych. Niektóre molekuły są nośnikami dipola elektrycznego i, mówiąc w skrócie, w polu elektrycznym zachowują się niczym mała wskazówka kompasu: kierują się w daną stronę, jedne bardziej, drugie mniej leniwie. W zależności od panujących warunków, podporządkowują się z większą lub z mniejszą zgodnością pewnym prawom. Otóż urządzenia te służyły do ustalania okoliczności i przyczyn tego pełnego wyjątków podporządkowania. Czekwały na tego, kto by ich użył. On jednak zajęty był innymi zagadnieniami (z dziedziny astrofizyki, jak mi wyjaśnił. Wiadomość ta dogłębnie mną wstrząsnęła. Miałem zatem przed sobą astrofizyka z krwi i kości!), a poza tym nie miał wprawy w pewnych zabiegach niezbędnych, według niego, do oczyszczenia produktów, które miały być poddane pomiarom. Dlatego potrzebny był mu chemik, a tym mile widzianym chemikiem byłem ja. Z chęcią ustępował mi pola i przekazywał narzędzia. Polem tym były dwa metry kwadratowe stołu oraz biurko. Instrumenty stanowiły niewielką grupkę, z której najważniejsze były waga Westphala i heterodyna. Pierwszą z nich już znałem, z drugą szybko się zaprzyjaźniłem. Był to rodzaj odbiornika radiowego, skonstruowanego tak, by wykrywać najmniejsze różnice częstotliwości. I rzeczywiście, gwałtownie rozstrajał się i szczekał niczym podwórkowy kundel, gdy tylko operator poruszył się na krześle, przesunął rękę, a nawet wtedy, kiedy ktoś wchodził do pokoju. Poza tym o pewnych porach dnia odkrywał cały skomplikowany wszechświat tajemniczych komunikatów, sygnałów wystukiwanych alfabetem Morse'a, modulowanego syczenia oraz

zniekształconych i przerywanych ludzkich głosów, wypowiadających zdania w niezrozumiałych językach albo po włosku, pozbawione sensu, zaszyfrowane. Była to wojenna radiowa wieża Babel, wiadomości śmierci przekazywane ze statków lub samolotów, nie wiadomo przez kogo i nie wiadomo komu, spoza gór i mórz.

Za górami i za morzami, wyjaśnił mi Asystent, żył pewien uczony o imieniu Onsager. Wiedział o nim tylko tyle, że ułożył on równanie, które miało opisywać zachowanie molekuł polarnych we wszystkich sytuacjach pod warunkiem, że znajdowały się one w stanie ciekłym. Równanie sprawdzało się w wypadku roztworów rozcieńczonych. Wydawało się, że nikt się nie pofatygował, by zweryfikować jego zastosowanie w odniesieniu do roztworów stężonych, do czystych cieczy polarnych i do ich mieszanek. To właśnie była praca, jaką mi proponował, a którą ja przyjąłem ze ślepym entuzjazmem: dostałem zadanie przygotowania całej serii mieszanin i sprawdzenia, czy zachowują się zgodnie z równaniem Onsagera. Na początek miałem zrobić to, czego Asystent sam nie był w stanie dokonać. W tamtych czasach niełatwo było znaleźć czyste produkty do analizy i przez parę tygodni miałem oddawać się oczyszczaniu benzenu, chlorobenzenu, chlorofenoli, aminofenoli, toluidyny i innych.

Wystarczyło kilka godzin wspólnego przebywania, żeby postać Asystenta nabrała dla mnie kształtów. Miał trzydzieści lat, był od niedawna żonaty, pochodził z Triestu, ale jego korzenie były greckie, znał cztery języki, kochał muzykę, Huxleya, Ibsena, Conrada i tak drogiego mi Thomasa Manna. Kochał także fizykę, ale z podejrzliwością traktował wszelkie działania nakierowane na jakiś cel. Dlatego też cechowało go szlachetne lenistwo i nie znosił faszyzmu *naturaliter*.

Jego stosunek do fizyki wprawiał mnie w zakłopotanie. Bez wahania rozprawił się z ostatnim z moich hipogryfów³¹, potwierdzając bez ogródek swoją opinię o „marginalnych głupstwach”, które wyczytaliśmy w jego oczach już podczas zajęć w laboratorium. Nie tylko nasze skromne wprawki, ale cała fizyka była marginalna ze swej natury, z powołania, ponieważ stawiała sobie za cel unormowanie wszechświata pozorów. Tymczasem prawda, rzeczywistość, najgłębsza esencja rzeczy i człowieka znajdują się gdzie indziej, skryte za opuszczoną zasłoną, albo nawet za siedmioma zasłonami (nie pamiętam już dokładnie). On był fizykiem, a ściślej rzecz biorąc – astrofizykiem, rzetelnym i skrupulatnym, ale pozbawionym wszelkich iluzji. Prawda była gdzieś poza, nieosiągalna dla naszych teleskopów, dostępna tylko dla wtajemniczonych. To była właśnie ta długa droga, którą kroczył z mozołem, zachwytem i głęboką radością. Fizyka była prozą: elegancką gimnastyką umysłu, lustrem Wszechświata, kluczem do panowania człowieka na tej planecie. Jaka jest jednak wielkość Wszechświata, człowieka i planety? Droga była długa, ledwo co na nią wkroczył, a ja miałem zostać jego uczniem. Czy chciałem za nim podążać?

Była to niepokojąca prośba. Być uczniem Asystenta oznaczało dla mnie radość z każdej minuty, stworzenie relacji, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłem, pozbawionej cieni i tym bardziej intensywnej, że w oczywisty sposób wzajemnej. Ja, Żyd, zepchnięty na margines i nauczony sceptycyzmu po ostatnich wydarzeniach, wróg przemocy, ale jeszcze nie wciągnięty przez wir konieczności, by odpowiedzieć przemocą, musiałem być dla niego idealnym interlokutorem, białą kartką papieru, na której można było odcisnąć każdą naukę.

Nie dosiadłem nowego, gigantycznego hipogryfa podsuwanego mi przez Asystenta. W tych miesiącach Niemcy niszczyli Belgrad, kruszyli grecki opór, atakowali z powietrza Kretę. To była Prawda, to była Rzeczywistość. Nie było drogi ucieczki, przynajmniej nie dla mnie. Lepiej pozostać na Ziemi, z braku lepszych zajęć zabawiać się dipolami, oczyszczać benzen i gotować się na przyszłość, nieznaną, lecz nieuniknioną i nieuchronnie tragiczną. Zresztą oczyszczenie benzenu w warunkach, do jakich wojna i bombardowania doprowadziły

³¹ Hipogryf – fantastyczne stworzenie będące połączeniem konia i gryfa. Jeden z jego najbardziej znanych opisów znajduje się w szesnastowiecznym eposie rycerskim pt. *Orland szalony* Ludovica Ariosta. Por. *Orland szalony*, przeł. P. Kochanowski, Wrocław 1965.

instytut, było nie lada wyzwaniem. Asystent dał mi wolną rękę w każdej sprawie, mogłem szperać we wszystkich zakamarkach, od piwnicy aż po strych, korzystać z dowolnego narzędzia lub substancji, ale nie wolno mi było niczego kupować. Nawet on nie mógł, panował tu reżim autarkii absolutnej.

Znalazłem w suterenie butlę 95-procentowego benzenu technicznego. Lepsze to niż nic, ale podręczniki zalecały jego rektyfikację oraz końcową destylację w obecności sodu, tak by pozbyć się jakichkolwiek śladów wilgoci. Rektyfikować oznacza przeprowadzić destylację frakcyjną, oddzielając frakcje wrzące powyżej i poniżej wyznaczonego poziomu oraz zbierając „środek”, który powinien wrzeć w temperaturze stałej. W niewyczerpanych zasobach piwnicy odnalazłem niezbędne szkło, w tym także kolumny Vigreux, misterne niczym weneckie koronki, dzieło nadludzkiej cierpliwości i zręczności dmuchaczy szkła, ale (niechaj zostanie to między nami) o wątpliwej skuteczności. Podgrzewacz parowy skonstruowałem samodzielnie z aluminiowego garnuszka.

Destylacja jest piękna. Przede wszystkim dlatego, że jest to praca powolna, filozoficzna i cicha, która daje zajęcie, ale także czas na rozmyślanie o innych sprawach, trochę tak jak jazda na rowerze. A także i dlatego, że niesie w sobie przemianę: od cieczy do pary (niewidocznej) i z pary z powrotem do cieczy. W tym podwójnym marszu do góry i w dół dochodzi się do czystości, stanu dwuznacznego i fascynującego, który ma swoje początki w chemii, ale prowadzi o wiele dalej. I w końcu też dlatego, że kiedy przystępuje się do destylacji, ma się świadomość odtwarzania uświęconego przez wieki rytuału, aktu niemalże religijnego, w którym z niedoskonałej materii powstaje esencja, *ousia*, duch, a przede wszystkim alkohol, rozweselający duszę i rozgrzewający serce. Poświęciłem dwa bite dni, żeby otrzymać frakcję o zadowalającej czystości. W tym celu – ponieważ musiałem pracować przy wolnym ogniu – udałem się na dobrowolne zesłanie do pokoiku na pierwszym piętrze, samotnego i opustoszałego, położonego z dala od ludzkości.

Teraz należało przeprowadzić powtórny destylację w obecności sodu. Sód jest metalem zwyrodniałym, więcej, jest metalem tylko w chemicznym tego słowa znaczeniu, z pewnością nie w znaczeniu potocznym. Nie jest ani sztywny, ani giętki, ale miękki jak wosk, nie jest połyskliwy, a raczej wykazuje tę właściwość jedynie wtedy, gdy przechowuje się go z obsesyjną wręcz ostrożnością. W przeciwnym razie po chwili wchodzi w reakcje z powietrzem, pokrywając się szorstką brunatną powłoką. Jeszcze szybciej reaguje z wodą, na której się unosi (metal, który się unosi!), gwałtownie podrygując i wyzwalając wodór. Na próżno przetrząsałem wnętrze instytutu. Niczym Astolf na Księżycu³² znalazłem tuziny opisanych ampułek, setki skomplikowanych związków i innych anonimowych substancji, zdawałoby się nietkniętych przez pokolenia, ale żadnego sodu. Natknąłem się natomiast na flaszeczkę potasu. Potas jest bratem bliźniakiem sodu, dlatego zawłaszczyłem go i powróciłem do mojej pustelni.

W balonie z benzenem umieściłem grudkę potasu „wielkości połowy ziarenka grochu” (jak napisano w podręczniku) i ostrożnie poddałem wszystko destylacji. Po zakończeniu operacji zgasilem płomień, zdemontowałem urządzenie, poczekałem, aż pozostały w balonie płyn nieco ostygnie, a następnie nadziałem na długi, ostro zakończony pręt „pół ziarenka grochu” potasu i wyciągnąłem je.

Potas, jak już mówiłem, jest bliźniaczo podobny do sodu, ale reaguje z powietrzem i z wodą z jeszcze większą energią. Jak wszyscy wiedzą (jak wiedziałem także i ja), w zetknięciu z wodą nie tylko wytwarza wodór, ale też się zapala. Dlatego obchodziłem się z moją połową ziarenka grochu jak ze świętą relikwią. Odłożyłem ją na kawałek suchego filtra papierowego, zrobiłem z niego zawiniątko, zszedłem na podwórze instytutu, wygrzebałem niewielki dołek

³² Astolf – jeden z bohaterów eposu *Orland szalony*. W pieśni XXIV Astolf udaje się na Księżyc, gdzie znajdują się przedmioty, które zaginęły na Ziemi. Pośród licznych ampułek odnajduje także i tę zawierającą utracony przez Orlanda rozum.

w ziemi i tam pochowałem małego demona. Udeptałem porządnie ziemię i wróciłem do pracy.

Wziąłem pusty już szklany balon, umieściłem pod kranem i odkręciłem kurek z wodą. Rozległ się krótki huk, z szyjki balonu, w kierunku okna przy zlewie, wydostał się płomień, a zasłony zajęły się ogniem. W czasie gdy miotałem się w poszukiwaniu czegośkolwiek, co choćby przypominało narzędzie gaśnicze, zaczęły się przypalać deski wewnętrznych okiennic i całe pomieszczenie wypełniło się dymem. Udało mi się przystawić krzesło i zerwać zasłony. Rzuciłem je na ziemię i, na wpół oślepiiony dymem, czując w skroniach gwałtownie pulsującą krew, ze złością deptałem.

Kiedy zamieszanie ustało, a wszystkie żarzące się strzępki materiału zostały ugaszone, stałem tak jeszcze przez parę minut, oniemiały i jakby ogłupiały, na miękkich nogach, kontemplując bezwiednie ślady katastrofy. Gdy tylko złapałem oddech, zszedłem piętro niżej i opowiedziałem o wszystkim Asystentowi. O ile prawdą jest, że nie ma dotkliwszej bolesti, niżli dni szczęścia wspominać w niedoli³³, to prawdą jest też to, że wspomnienie strapienia, gdy stan naszej duszy jest niezmacony, a my siedzimy spokojnie przy biurku, może być źródłem głębokiej satysfakcji.

Asystent wysłuchał mojej relacji z uwagą osoby dobrze wychowanej, ale z zaciekawioną miną. Któż zmuszał mnie do wyruszenia w tę podróż, do podjęcia się destylacji benzenu z taką starannością? W gruncie rzeczy zasłużyłem sobie na taki koniec. Właśnie to przytrafia się profanom, tym, którzy zbyt długo poprzestają na zabawach przed świątynią, zamiast zapuścić się do jej wnętrza. Nic jednak nie odrzekł. Przyjął przy tym (jak zwykle od niechcenia) postawę właściwą dla dzielącego nas hierarchicznego dystansu i zauważył, że pusty balon sam się nie zapala, a więc ten nie mógł być próżny. Musiał zawierać, oczywiście poza powietrzem, które dostało się do środka przez szyjkę naczynia, jeśli nie coś innego, to chociaż opary benzenu. Nigdy jednak nie odnotowano przypadku, by zimny benzen uległ samozapaleniu. Tylko potas mógł zapalić mieszanekę, a potas przecież wyjąłem. Czy aby cały?

Cały, odpowiedziałem, ogarnęły mnie jednak wątpliwości. Wróciłem na miejsce wypadku, gdzie odnalazłem leżące na ziemi skorupy balonu. Na jednej z nich, jeśli się dobrze przyjrzeć, można było zauważyć ledwie dostrzegalną białą plamkę. Wykonałem próbę fenoloftaleiną: była zasadowa, a więc miałem do czynienia z wodorotlenkiem potasu. Winny został odnaleziony. Na szkłe balonu musiała pozostać minimalna ilość potasu i tyle tylko wystarczyło, by wszedł on w reakcję z wodą, którą sam wprowadziłem do środka, i podpalił opary benzenu.

Asystent przyglądał mi się z rozbawionym i z lekka ironicznym wyrazem twarzy. Lepiej już nic nie robić niż robić cokolwiek, lepiej już pograżać się w rozmyślaniach niż działać, lepsza już jego astrofizyka, przedsiónek Niepoznanego, niż moja chemia brudna od smrodów, wybuchów i małych, nic nie znaczących tajemnic. Ja zastanawiałem się nad innym morałem, bardziej przyziemnym i konkretnym, i sądzę, że każdy aktywny na swoim polu chemik będzie mógł się ze mną zgodzić, że nie należy dowierzać temu, co wydaje się prawie takie samo (sód jest prawie taki sam jak potas, ale w przypadku sodu nic by się nie wydarzyło), praktycznie identyczne, niemalże jednakowe, a także wszelkim „lub” oraz innym surogatom i zamiennikom. Nawet niewielkie różnice mogą, jak przestawienie iglic zwrotnicy, prowadzić do diametralnie różnych rezultatów. Praca chemika polega na zachowaniu ostrożności wobec tych różnic, na poznaniu ich z bliska, na przewidywaniu wywołanych przez nie skutków. Zresztą nie tylko ona.

³³ Dante Alighieri, *Boska komedia, Piekło*, V, 121-122.

NIKIEL

Miałem w szufladzie iluminowany pergamin, na którym napisane było eleganckim charakterem pisma, że Primo Levi, rasy żydowskiej, otrzymał tytuł magistra chemii z oceną bardzo dobrą z wyróżnieniem. Był to zatem dokument o ambiwalentnym charakterze, w połowie pochwalny, a w połowie prześmiewczy, w połowie ułaskawiający, a w połowie skazujący. Leżał w tej szufladzie od lipca 1941 roku, teraz zaś skończył się październik. Świat pędził ku katastrofie, a wokół mnie nic się nie działo. Niemcy rozlali się po Polsce, Norwegii, Holandii, Francji i Jugosławii i zagłębiali się w rosyjskie niziny niczym ostrze noża w masło. Stany Zjednoczone nie ruszały na pomoc osamotnionym Anglikom. Ja nie mogłem znaleźć pracy i byłem wyczerpany poszukiwaniem jakiegokolwiek płatnego zajęcia. W pokoju obok mój ojciec, powalony przez nowotwór, dożywał swoich ostatnich dni.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Za drzwiami stał jakiś młodzieniec, wysoki i szczupły, w uniformie Armii Królewskiej. Od razu dostrzegłem w nim posłańca, prowadzącego dusze Merkurego albo, jak kto woli, zwiastującego anioła. Krótko mówiąc kogoś, na kogo czeka każdy, świadomie lub nie, a kto przynosi niebieskie posłanie, które odmieni nasze życie, na lepsze lub na gorsze – nie wiemy tego, póki nie przemówi.

Przemówił. Miał silny toskański akcent i zapytał o magistra Leviego, którym, o dziwo, byłem ja (jeszcze nie zdążyłem się przyzwyczaić do tego tytułu). Przedstawił się uprzejmie i zaproponował mi pracę. Kto go do mnie przysyłał? Jeszcze inny Merkury, Caselli, nieugięty strażnik cudzej sławy. Wyróżnienie na moim dyplomie na coś się jednak przydało.

O tym, że byłem Żydem, Porucznik zdawał się wiedzieć (zresztą moje nazwisko nie pozostawia zbyt wielu wątpliwości), ale wydawało się, że nic go to nie obchodzi. Co więcej, miałem wrażenie, że ta sytuacja przypadła mu do gustu, że w działaniu wbrew prawom segregacji znajdował jakąś cierpką i bliżej nieokreśloną przyjemność, krótko mówiąc, że potajemnie był moim sprzymierzeńcem i szukał sprzymierzeńca we mnie.

Praca, którą mi oferował, była tajemnicza i pociągająca. „W pewnym miejscu” znajdowała się kopalnia, gdzie wydobywano 2 procent czegoś użytecznego (nie powiedział czego) i 98 procent czegoś nieużytecznego, co składowano w sąsiedniej dolinie. W tym czymś drugim był zawarty nikiel, w niewielkiej ilości, ale jego cena była na tyle wysoka, by rozważyć jego odzyskanie. Porucznik miał pewien pomysł, a nawet kilka pomysłów, był jednak na służbie i brakowało mu czasu. Miałem go zastąpić, wypróbować jego pomysły w laboratorium i, jeśli to było możliwe, razem z nim stosować je na skalę przemysłową. Rozumiało się samo przez się, że konieczna będzie moja przeprowadzka w owo „pewne miejsce”, które pobieżnie mi opisał. Odbyłaby się ona z zastosowaniem podwójnych środków ostrożności. Po pierwsze, dla mojego bezpieczeństwa nikt nie powinien poznać mojego nazwiska ani odrażającego pochodzenia, ponieważ „pewne miejsce” pozostawało pod kontrolą dowództwa wojskowego. Po drugie, dla bezpieczeństwa jego pomysłów miałbym przyrzec na własny honor, że nikomu nie piszę o tym ani słowa. Zresztą było oczywiste, że utrzymanie jednego sekretu gwarantowało dochowanie drugiego, a zatem, w jakimś sensie, moja sytuacja osoby spoza kasty była Porucznikowi na rękę.

Jaki był jego pomysł i gdzie znajdowało się owo „pewne miejsce”? Porucznik przeprosił mnie: naturalnie do momentu mojej akceptacji wstępnych warunków nie mógł mi wiele

powiedzieć. W każdym razie pomysł polegał na tym, by przypuścić atak, kiedy materiał znajdzie się w fazie gazowej, a „pewne miejsce” było oddalone od Turynu o kilka godzin jazdy. Naradziłem się szybko z rodzicami. Zgodzili się. Z powodu choroby mojego ojca w domu pilnie potrzebne były pieniądze. Jeśli o mnie chodzi, nie miałem najmniejszych wątpliwości. Zbyt byłem wyczerpany bezczynnością, pewny mojej wiedzy chemicznej i niecierpliwym, by wystawić ją na próbę. Poza tym Porucznik podobał mi się i budził moją ciekawość.

Łatwo było zauważyć, że mundur nosił z odrazą. Wybór mojej osoby nie mógł być podyktowany jedynie względami praktycznymi. O faszyzmie i o wojnie wypowiadał się powściągliwie i z ponurą wesołością, którą bez trudu zinterpretowałem. Była to ironiczna wesołość całej generacji Włochów, wystarczająco inteligentnych i uczciwych, by odrzucić faszyzm, zbyt sceptycznych, by aktywnie mu się przeciwstawić, oraz zbyt młodych, by biernie przyjmować nadciągającą tragedię i zwątpić w przyszłość. Było to pokolenie, do którego sam bym przynależał, gdyby nie zbawienne prawa rasowe, które kazały mi przedwcześnie dojrzeć i ukierunkowały mój wybór.

Porucznik przyjął moją decyzję i nie tracąc czasu, wyznaczył spotkanie na stacji na następny dzień. Przygotowania? Nie trzeba było wiele: dokumenty z pewnością nie (miałem pracować anonimowo albo pod fałszywym nazwiskiem, później się zobaczy), jakieś cieplejsze ubranie, choćby takie, jakie nosi się w góry, kitel, książki, jeśli chciałem. Poza tym nie było żadnych trudności: czekały na mnie ogrzewany pokój, laboratorium, regularne posiłki u rodziny robotników i koledzy, porządni ludzie, z którymi zresztą, z wiadomych powodów, radził mi nie wchodzić w zbyt dużą poufałość.

Wyruszyliśmy w drogę. Wysiedliśmy z pociągu i po pięciu kilometrach wspinaczki przez połyskujący szronem las dotarliśmy do kopalni. Porucznik, człowiek rzeczowy, w oględnych słowach przedstawił mnie Dyrektorowi, młodemu inżynierowi, wysokiemu i energicznemu, który był jeszcze bardziej konkretny od niego i którego najwyraźniej już wcześniej poinformowano o całej sprawie. Zaprowadzono mnie do laboratorium, gdzie zastałem osobliwe stworzenie: na oko osiemnastoletnią dziewczynę o ognistorudych włosach i zielonych, skośnych oczach oraz szelmowskim i ciekawskim spojrzeniem. Dowiedziałem się, że będzie moją asystentką.

W trakcie obiadu, który w drodze wyjątku podano mi w pomieszczeniach biurowych, radio ogłosiło wiadomość o japońskim ataku na Pearl Harbor i o wypowiedzeniu przez Japonię wojny Stanom Zjednoczonym. Moi współbiednicy (kilku urzędników oraz Porucznik) przyjęli tę informację w różnoraki sposób. Niektórzy, wśród nich sam Porucznik, z rezerwą i z ostrożnymi spojrzeniami rzucanymi w moją stronę, inni z niespokojnymi komentarzami. Jeszcze inni walecznie głosili dowiedzioną już wcześniej niezwykłość japońskich i niemieckich wojsk.

„Pewne miejsce” zostało zatem określone w przestrzeni, nic jednak nie tracąc ze swej magii. Wszystkie kopalnie, od zawsze, mają w sobie coś magicznego.

We wnętrzościach ziemi kłębią się gnomy, koboldy (kobalt!), nickle³⁴ (nikiel!), które mogą być hojne i pod ostrzem kilofa pozwolą ci znaleźć skarb albo mogą cię oszukać, oślepić błyszczącym jak złoto ubogim pirytem lub też cynkiem obleczonym w szaty cyny. Rzeczywiście, istnieje wiele minerałów, których nazwy zawierają w sobie rdzeń oznaczający „oszustwo, podstęp, oślepienie”.

Także i ta kopalnia miała w sobie jakąś magię, jakiś dziki urok. W bezdrzewnym masywie doliny, najeżonej uschłymi gałęziami i ostrymi skałami, otwierała się lejąca przepaść o średnicy czterystu metrów. Przypominała ona schematyczne przedstawienia Piekieł z synoptycznych ilustracji *Boskiej komedii*. Wzdłuż kręgow, dzień po dniu, przeprowadzano

³⁴ Nazwa „nikiel” wywodzi się z niemieckiego *kupfernickel*, wyrazu złożonego, w którym *kupfer* oznacza miedź, zaś *Nickel*, zdrobnienie od *Nicolau*, to według górniczych legend imię żyjącego pod ziemią chochlika.

seryjne eksplozje. Nachylenie ścian leja było minimalne, ale na tyle duże, żeby oderwany materiał stoczył się na samo dno, nie nabierając przy tym nadmiernego impetu. Na dnie, zamiast Lucyfera, znajdował się potężny zasuwany przepust. Pod nim kryła się krótka pionowa studnia prowadząca do długiego, poziomego tunelu, który wychodził na zewnątrz z boku wzgórza, powyżej zakładu. W tunelu ruchem wahadłowym poruszał się pancerny pociąg. Mała, acz potężna lokomotywa podstawiała wagony pod przepust, jeden po drugim, żeby mogły się napełnić, a potem ciągnęła je na zewnątrz, by na powrót witać gwiazdy³⁵.

Zakład zbudowany był na kilku poziomach, wzdłuż zbocza wzgórza, pod otworem tunelu. Tam minerał rozdrabniano w gigantycznej kruszarce, którą Dyrektor opisał mi i zaprezentował z dziecięcym wręcz entuzjazmem. Był to odwrócony do góry nogami dzwon, lub jeśli ktoś woli kielich powoju, o średnicy czterech metrów, wykonany z litej stali. W jego centrum, zawieszony od góry i napędzany od dołu, pracowało ogromne serce dzwonu. Jego ruch był minimalny, ledwie dostrzegalny, ale wystarczający, by w mgnieniu oka rozłupać wysypywane z wagonów głązy: kruszyły się, zsuwały niżej, znowu kruszyły i wychodziły dołem w kawałkach nie większych niż ludzka głowa. Operacja odbywała się pośród apokaliptycznego huk i tumanów kurzu widocznych jeszcze z niziny. Na końcu materiał przemielało na żwir, suszono i poddawano selekcji. Od razu zrozumiałem, że ostatecznym celem tej cyklopowej pracy było wydarcie skale marnych dwóch procent uwiecznionego w niej azbestu. Całą resztę, tysiące ton dziennie, zsypanyo bez ładu do doliny.

Rok po roku dolina wypełniała się sunącą powoli lawiną pyłu i żwiru. Pozostały w nich azbest sprawiał, że masa z lekka się obsuwała i stawała się leniwie gąbczasta niczym lodowiec. Ogromny szary język, najeżony czarnymi gładzami, pracowicie i z mozołem wrzynał się w dół, kilkadziesiąt metrów rocznie. Naciskał na ściany doliny tak mocno, że w skale powstawały głębokie, poprzeczne pęknięcia, a także przesunął co roku o kilka centymetrów zbyt nisko położone budynki. W jednym z nich, właśnie ze względu na owo ciche dryfowanie zwanym „łodzią podwodną”, mieszkałem ja.

Azbest był wszędzie, niczym popielaty śnieg. Jeśli na kilka godzin zostawiło się na stole książkę, a potem się ją uniosło, pozostawał po niej ślad przypominający odbicie w negatywie. Dachy pokryte były grubą warstwą pyłu, który w deszczowe dni nasiąkał jak gąbka i zniecka zsuwał się na ziemię błotną lawiną. Kierownik kopalni o imieniu Anteusz był otyłym gigantem o gęstej czarnej brodzie, która zdawała się czerpać swój wigor od samej matki ziemi. Opowiedział mi, że parę lat wcześniej nieustające deszcze wymyły wiele ton azbestu wprost ze ściany kamieniołomu. Azbest gromadził się na dnie stożka nad otwartym zaworem, potajemnie ubijając się w czop. Nikt nie przywiązywał do tego wagi. Padało jednak dalej, stożek działał na zasadzie lejka, na czopie powstało jezioro z dwudziestoma tysiącami metrów sześciennych wody i w dalszym ciągu nikt nie przywiązywał do tego wagi. On, Anteusz, miał złe przecucia i nalegał na ówczesnego dyrektora, żeby w jakiś sposób temu zaradził. Jak przystało na dobrego kierownika kamieniołomu, opowiadał się za porządną miną podwodną i za tym, żeby nie tracąc czasu, wysadzić ją na dnie jeziora. Ale z różnych powodów mogło się to okazać niebezpieczne, można było uszkodzić zawór, należało zasięgnąć opinii zarządu, nikt nie chciał podjąć decyzji, aż w końcu decyzję podjął sam kamieniołom, z właściwą sobie złośliwością.

Podczas gdy mędracy się naradzali, rozległ się głuchy łoskot. Czop ustąpił, woda wdarła się do studni i do tunelu, zmyła pociąg wraz ze wszystkimi wagonami i zrujnowała zakład. Anteusz pokazał mi ślady po powodzi, dobre dwa metry powyżej pochyłości.

Robotnicy i górnicy (w miejscowym żargonie zwani *minori*³⁶) przybywali z pobliskich wsi, wędrując przez około dwie godziny górskimi ścieżkami. Urzędnicy mieszkali na miejscu.

³⁵ Por.: „Tędyśmy na świat wyszli, witać gwiazdy...”, Dante Alighieri, *Boska komedia, Pieńko*, XXXIV, 139.

³⁶ *Minori* (wt.) – mniejsi, tu: zitalianizowana forma piemonckiego wyrazu *minör* – górnik.

Nizina była oddalona zaledwie o pięć kilometrów, ale kopalnia pod każdym względem stanowiła małą, niezależną republikę. W czasach racjonowania produktów i czarnego rynku tu, w górze nie istniały problemy z zaopatrzeniem. Nie wiedzieć jakim sposobem, niczego nie brakowało. Wokół kwadratowego budynku biurowego wielu urzędników prowadziło własne ogródki warzywne, niektórzy mieli nawet kurniki. Nieraz zdarzało się, że kury jednego weszły drugiemu w szkodę, co było przyczyną licznych niesnasek i odwetów, które nie przystawały do tego spokojnego miejsca ani do zdecydowanej natury Dyrektora. Ten przeciął węzeł gordyjski we właściwy sobie sposób: kazał kupić strzelbę Flobert i zawiesił ją na gwoździu we własnym biurze. Ktokolwiek zobaczyłby w swoim ogrodzie grzebiącą kurę, miał prawo wziąć strzelbę i strzelić dwa razy, jednak trzeba było złapać kurę na gorącym uczynku. Jeśli kura skonała na terenie strzelającego, trup należał do niego. Takie było prawo. W pierwszych dniach po wprowadzeniu zarządzenia byliśmy świadkami wielu gonitw po broń i strzelanin, a wszyscy niezainteresowani obstawiali zakłady. Potem jednak wtargnięcia do ogrodów ustały.

Przekazano mi jeszcze inne cudowne opowieści, jak na przykład tę o psie i panu Pistamiglio. Ów pan Pistamiglio zniknął na wiele lat przed moim pojawieniem się w kopalni, ale pamięć o nim była wciąż żywa i, jak to się często zdarza, powoli pokrywała się złotą patyną legendy. A więc pan Pistamiglio był doskonałym szefem wydziału, nie pierwszej młodości kawalerem, roztropnym i przez wszystkich szanowanym, zaś jego pies był przepięknym wilkiem, równie szanowanym i szlachetnym.

Nadeszło Boże Narodzenie i we wsi w dolinie zniknęły cztery najtłustsze indyki. Ciężka sprawa. Podejrzewano złodziei, lisa, a potem sprawa przycichła. Ale nadeszła kolejna zima i tym razem, między listopadem a grudniem, zniknęło siedem indyków. Złożono doniesienie u karabinierów, jednak nikt nigdy nie odkryłby tajemnicy, gdyby samemu panu Pistamiglio pewnego wieczoru, kiedy trochę więcej wypił, nie wymusnęło się o jedno słowo za dużo. Złodziejami byli oni dwaj: on i jego pies. W niedzielę prowadził psa do wsi, krążył od jednego gospodarstwa do drugiego i pokazywał mu najdorodniejsze i najgorzej strzeżone indyki. W każdym przypadku objaśniał mu najlepszą strategię. Potem wracali do kopalni. Nocą puszczał psa wolno, ten zaś szedł niewidoczny, posuwając się wzdłuż murów jak prawdziwy wilk, przesadzał ogrodzenie kurnika lub kopał pod nim tunel, po cichu dusił indyka i zanosił swemu współnikowi. Nie wydaje się, żeby pan Pistamiglio sprzedawał te indyki. Zgodnie z najbardziej wiarygodną wersją obdarowywał nimi swoje liczne kochanki, brzydkie i stare, rozsiane po całych piemontckich Prealpach.

Opowiedziano mi wiele historii. Wydaje się, że ta pięćdziesiątka mieszkańców kopalni wchodziła między sobą w dwójkowe reakcje, zupełnie jak w kombinatoryce. To znaczy każdy ze wszystkimi pozostałymi, a w szczególności każdy mężczyzna ze wszystkimi kobietami, starymi pannami czy mężatkami, i każda kobieta ze wszystkimi mężczyznami. Wystarczyło wybrać dwa przypadkowe nazwiska, najlepiej przeciwnych płci, i zapytać kogoś trzeciego: „Co między nimi zaszło?”. I już przedstawiano mi wspaniałą opowieść, bo każdy znał tu historię każdego. Nie wiadomo, czemu te zdarzenia, poplątane i często intymne, z taką łatwością opowiadano właśnie mnie. Nie mogłem przecież nikomu niczego zdradzić, nawet mojego własnego imienia. Ale chyba taki już mój los (i wcale się na to nie skarzę): jestem osobą, której wiele się opowiada.

Spisałem, w różnych wariantach, pewną zamierzchłą sagę, która miała swoje początki w epoce poprzedzającej jeszcze samego pana Pistamiglio. Był taki czas, kiedy w biurach panowały zwyczaje niczym z Gomory. W tamtych sławetnych czasach każdego wieczoru, kiedy o piątej trzydzieści rozbrzmiewała syrena, żaden z urzędników nie udawał się do domu. Na ten dźwięk spomiędzy biurek wylaniały się nalewki i materace i rozpętywała się orgia, która wciągała w swój wir wszystko i wszystkich, począwszy od nieopierzonych młodych maszynistek i łysawych księgowych, poprzez ówczesnego dyrektora i dalej niżej i niżej, aż po

woźnych, niezmobilizowanych inwalidów. Co wieczór smutne rytuały kopalnianej biurokracji znienacka ustępowały miejsca niekończącemu się, ponadklasowemu, otwartemu i odbywającemu się w różnorodnych kombinacjach nierządowi. Żaden niedobitek nie dotrwał do naszych czasów, żeby dać bezpośrednie świadectwo, ponieważ następujące jedno po drugim niekorzystne sprawozdania finansowe zmusiły mediolański zarząd do drastycznych i oczyszczających działań. Żaden, poza panią Bortolasso, która, jak mnie zapewniano, wszystko wiedziała, wszystko widziała, ale o niczym nie mówiła z powodu swojej nadmiernej wstydlivosti.

Zresztą pani Bortolasso nigdy z nikim nie rozmawiała, jeśli nie była to konieczność natury zawodowej. Zanim przyjęła to nazwisko, nazywała się Gina delle Benne. W wieku dziewiętnastu lat, już jako maszynistka z biura, zakochała się w młodym górniku, cherlawym i o ryżawych włosach, który choć nie do końca miłość tę odwzajemniał, to zdawał się ją akceptować. Jednak jej rodzice byli nieustępliwi. Wydali pieniądze na jej naukę, więc ona powinna okazać wdzięczność, zrobić dobrą partię, a nie schodzić się z pierwszym lepszym. Co więcej, skoro dziewczyna tego nie rozumie, oni pomyślą za nią. Niech już sobie da spokój z tym ryżem albo fora z domu i z kopalni.

Gina zgodziła się zaczekać do dwudziestych pierwszych urodzin (brakowało jej zaledwie dwóch lat), ale ryży nie zaczekał na nią. Pewnej niedzieli widziano go z drugą kobietą, potem jeszcze z trzecią, aż w końcu ożenił się z czwartą. Gina podjęła wtedy okrutną decyzję: skoro nie mogła zatrzymać przy sobie mężczyzny, na którym jej zależało, tego jedyne, w takim razie nie będzie należała do żadnego innego. Zakonnica nie będzie, miała poglądy postępowe, ale na zawsze odmówiła sobie małżeństwa, w sposób wyszukany i okrutny, to znaczy wychodząc za mąż. Już wtedy była urzędniczką wyższego stopnia, w oczach dyrekcji niezastąpioną, ponieważ odznaczała się niespotykaną pamięcią i stereotypową wręcz skrupulatnością. Oznajmiła wszystkim, rodzicom i przełożonym, że zamierza poślubić Bortolassa, idiotę z kopalni.

Ów Bortolasso był robotnikiem w średnim wieku, silnym jak tur i brudnym jak świnia. Nie był zapewne całkowitym idiotą. Przynależał raczej do tego gatunku ludzi, o których w Piemoncie mawia się, że udają pomyłonych, żeby nie płacić za sól. Pod osłoną nietykalności, jakiej udziela się upośledzonym umysłowo, Bortolasso wypełniał z największą niedbałością swoje obowiązki ogrodnika. Z niedbałością graniczącą wręcz ze zwykłym sprytem: niech będzie, świat zaklasyfikował go jako nieodpowiedzialnego, teraz więc musi go takim znosić, a nawet utrzymywać i troszczyć się o niego.

Nasiąknięty deszczem azbest jest trudny do wydobywania, dlatego też w kopalni deszczomierz był urządzeniem bardzo ważnym. Stał pośrodku rabatki i sam Dyrektor odczytywał jego wskazania. Bortolasso, który co rano podlewał rabaty, nabrał zwyczaju, by podlewać także deszczomierz, mocno zawyżając dane wpływające na koszt wydobywania. Dyrektor (nie od razu) zorientował się, co się dzieje, i kazał mu przestać. „A więc lubi, gdy jest suchy”, wykoncypował Bortolasso i po każdym deszczu szedł otworzyć zawór na dnie przyrządu.

W czasie kiedy się pojawiłem, sytuacja była już w miarę unormowana. Gina, teraz już pani Bortolasso, miała około trzydziestu pięciu lat. Jej niezbyt urodziwa twarz zeszytywniała i zastygła w maskę wyrażającą napięcie i ciągłą gotowość oraz nosiła wyraźne piętno przedłużającego się dziewictwa. Bowiem dziewczicą pozostała, wszyscy o tym wiedzieli, gdyż i sam Bortolasso wszystkim to rozpowiadał. Takie postawiła warunki w dniu ślubu. On na nie przystał, choć potem prawie każdej nocy próbował wtargnąć do łóżka kobiety. Gina jednak zaciekle odpierała te ataki: nigdy, przenigdy żadnemu mężczyźnie, a temu już w szczególności, nie będzie wolno jej tknąć.

Te nocne potyczki smutnych małżonków stały się legendą kopalni i jedną z niewielu jej atrakcji. Podczas którejś z pierwszych cieplejszych nocy grupka *aficionados*³⁷ zaprosiła mnie, by razem z nimi sprawdzić, co się będzie działo. Odmówiłem, oni zaś wkrótce potem wrócili rozczarowani: słychać było jedynie trąbę wygrywającą *Facetta Nera*³⁸. Wyjaśniono mi, że czasem tak się zdarzało: Bortolasso był muzycznym tępakiem, ale właśnie w ten sposób się wyżywał.

W mojej pracy zakochałem się już pierwszego dnia, choć na tym jej etapie nie chodziło o nic więcej, jak tylko o analizę ilościową próbek skały: działanie kwasem fluorowodorowym i ciach, żelazo z amoniakiem, ciach, nikiel (Jak niewiele! Tylko szczypta czerwonego osadu) z dimetyloglioksymu, ciach, magnez z fosforanem, zawsze bez zmian, dzień po dniu. Zajęcie to samo w sobie nie było zbyt stymulujące. Jednak stymulujące i nowe było inne odczucie: analizowana próbka nie była już anonimowym, spreparowanym proszkiem, zmaterializowaną zagadką. Była kawałkiem skały, wyrwanymi siłą trzewiami Ziemi, a na podstawie danych z każdego dnia powoli, powoli powstawała mapa – rysunek podziemnych żył. Po raz pierwszy po siedemnastu latach szkolnej kariery, aorystów i wojen peloponeskich, to, czego się nauczyłem, zaczynało mi się w końcu przydawać. Analiza ilościowa, tak uboga w emocje i ciężka jak granit, stawała się żywa, prawdziwa, pożyteczna, stanowiła część poważnego i konkretnego działania, była przydatna, okazała się elementem jakiegoś planu, niczym kostka mozaiki. Metoda analityczna, którą stosowałem, nie była już dłużej książkowym dogmatem. Codziennie przechodziła sprawdzian techniczny, mogła zostać udoskonalona, dostosowana do naszych potrzeb za pomocą zmyślnej gry rozumu, prób i błędów. Pomyłka nie była więc zabawnym wypadkiem, który zakłóca egzamin lub obniża ocenę. To było jak wspinaczka po skałach: pomylić się znaczyło podjąć wyzwanie, zorientować się w sytuacji, osiągnąć jeszcze jeden występ, który czyni człowieka jeszcze bardziej godnym i wartościowym.

Dziewczyna z laboratorium nazywała się Alida. Przyglądała się moim uniesieniom neofity, ale ich nie podzielała. Dziwiły ją raczej i nieco irytowały. Jej obecność nie była nieprzyjemna. Ukończyła liceum, cytowała Pindara i Safonę, była córką jakiegoś miejscowego aparaczyka, całkowicie nieszkodliwego. Okazała się cwana i leniwa i absolutnie nic ją nie obchodziło, a już najmniej analiza skały, którą wykonywała mechanicznie, zgodnie z tym, czego nauczyła się od Porucznika. Także ona, jak wszyscy tu na górze, weszła w reakcje z różnymi osobami. Nie robiła z tego żadnej tajemnicy, a to dzięki mojej naturze spowiednika, o której już wcześniej wspomniałem. Poróżniła się z wieloma kobietami z powodu błahych zawiści, kochała się po trochu we wszystkich mężczyznach i bardzo w jednym, a zaręczyła się z jeszcze innym – porządnym człowiekiem, szarym i skromnym urzędnikiem z biura technicznego, pochodzącym z tego samego co ona miasteczka. Ale o to też nie dbała. Cóż począć? Zbuntować się? Uciec? Nie, była dziewczyną z porządnej rodziny, jej przyszłością miały być dzieci i garnki, Safona i Pindar to przeszłość, a skomplikowany nikiel to tylko etap przejściowy. Podjęła pracę w laboratorium w oczekiwaniu na ten nie do końca wymarzony ślub. Niechętnie płukała osady, ważyła nikiel-dimetyloglioksym i sporo mnie kosztowało przekonanie jej, że nie ma konieczności zawiązania wyników analizy, do czego miała skłonność, a wręcz wyznała mi, że nieraz to robiła, bo – jak się wyraziła – nikogo nic to nie kosztowało, a sprawiało przyjemność mnie, Dyrektorowi i Porucznikowi.

Czymże w końcu była ta chemia, nad którą ja i Porucznik tyle się głowiliśmy? Woda i ogień, nic więcej, zupełnie jak w kuchni. Była to kuchnia mniej smakowita, z gryzącymi i odpychającymi odorami zamiast domowych zapachów. A poza tym tak samo: fartuch, mieszanie, poparzone dłonie, sprzątanie na koniec dnia. Dla Alidy nie było żadnego ratunku. Moich relacji z turyńskiego życia słuchała pozornie zatroskana, z uwagą, a zarazem z

³⁷ *Aficionados* (hiszp.) – liczba mnoga od *aficionado* – zapaleniec, miłośnik, kibic.

³⁸ Piosenka powstała w okresie włoskiej inwazji na Etiopię, bardzo popularna w czasach faszyzmu.

włoskim sceptycyzmem. Były to opowieści mocno ocenzone, ponieważ oboje musieliśmy uczestniczyć w szopce z anonimowością. Niemniej jednak coś dało się z nich wywnioskować, choćby z samej mojej powściągliwości. Po paru tygodniach zorientowałem się, że nie jestem kimś bezimiennym. Byłem magistrem Levim, który nie powinien być tak nazywany ani w drugiej, ani w trzeciej osobie, przez wzgląd na dobre wychowanie i by nie narobić nikomu kłopotów. W plotkarskiej i dobroduszej atmosferze kamieniołomu rozdźwięk pomiędzy moją nieokreśloną pozycją kogoś spoza kasty a skromnością mego zachowania rzucał się w oczy i, jak wyznała mi Alida, był długo komentowany oraz podlegał rozmaitym interpretacjom: mogłem być każdym – od agenta OVRA³⁹ po kogoś poleconego na stanowisko.

Zejście do doliny było niewygodne, a w mojej sytuacji również nieostrożne. Ponieważ nie wolno mi było nikogo odwiedzać, wieczory w kamieniołomie ciągnęły się w nieskończoność. Czasem zostawałem w laboratorium jeszcze po sygnale syreny albo wracałem tam po kolacji, by się uczyć lub medytować nad problemem niklu. Innym razem zamykałem się w moim klasztornym pokoiku w „łodzi podwodnej”, żeby czytać *Historie Jakubowe*. W księżycowe wieczory często udawałem się na długie samotne przechadzki po dzikiej krainie kamieniołomu, w górę aż do obrzeża krateru lub do połowy zbocza, wzdłuż szarego, złamanego grzbietu rumowiska. Przebiegały przez nie tajemnicze drgania i chrzęsty, jak gdyby naprawdę gnieździły się w nim pracowite gnomy. Ciemność wypełniało odległe wycie psów, dochodzące z niewidocznego dna doliny.

Wędrówki te dawały mi wytchnienie od tragicznych rozmyślań o moim ojcu umierającym w Turynie, Amerykanach pokonanych na Bataanie, Niemcach – zwycięzcach na Krymie, jednym słowem od świadomości istnienia całej tej pułapki, która lada chwila miała się zatrzasnąć. W ten sposób zrodziło się we mnie nowe przywiązanie do tamtych ciernistych krzewów i skał, prawdziwsze niż to wyuczone w szkolnych frazesach o naturze. To miejsce było moją wyspą i moją wolnością, wolnością, którą być może miałem wkrótce utracić. Skałę tę darzyłem uczuciem kruchym i niepewnym. Z nią nawiązałem podwójną więź, najpierw podczas wypraw z Sandrem, potem tutaj, badając ją jako chemik, żeby wydrzeć jej skarb.

Z tej kamiennej miłości, z tej azbestowej samotności, podczas jednego z długich wieczorów zrodziły się dwa opowiadania o wyspach i o wolności, pierwsze, jakie przyszło mi napisać po twórczych torturach w liceum. Jedno jest fantazją na temat mojego pradawnego prekursora polującego na ołów, a nie na nikiel. Drugie, wieloznaczne i osnute wokół tematu rtęci, oparłem na wzmiance o wyspie Tristan da Cunha, na którą przypadkowo natrafiłem w tamtym okresie.

Porucznik, który odbywał służbę wojskową w Turynie, przyjeżdżał do kamieniołomu tylko raz w tygodniu. Sprawdzał moją pracę, a także udzielał mi rad i wskazówek na następny tydzień. Okazał się doskonałym chemikiem oraz wytrawnym i wnikliwym badaczem. Po krótkim okresie próbnym, obok rutyny codziennej analizy, zarysowywała się perspektywa bardziej ambitnej pracy.

W skałach kamieniołomu był zatem nikiel, w niewielkich ilościach, z naszych analiz wynikało, że średnia jego zawartość oscylowała w okolicach 0,2 procent. Śmiechu warte w porównaniu z minerałami otrzymywanymi przez moich kolegów rywali z odległej Kanady i Nowej Kaledonii. Może jednak kopalinę dałoby się wzbogacić? Pod kierunkiem Porucznika wypróbowałem wszystkie dostępne metody: separacji magnetycznych, flotacji, sedymentacji, przesiewania, metody ciężkich cieczy, stołu koncentracyjnego. Do niczego nie doszedłem. Nic nie uległo stężeniu, we wszystkich otrzymanych frakcjach procent zawartości niklu uparcie pozostawał ten sam. Natura nam nie pomagała. Ustaliliśmy, że nikiel towarzyszy dwuwartościowemu żelazowi, jest jak jego zastępca, podąża za nim niczym rozmywający się

³⁹ OVRA – Opera di Vigilanza e Repressione Antifascista – policja polityczna faszystowskich Włoch.

cień lub maleńki brat: 0,2 procent niklu, 8 procent żelaza. Wszystkie odczynniki odpowiednie dla niklu należałoby zastosować w dawce czterdzieści razy wyższej, nawet jeśli nie wzięłoby się pod uwagę magnezu. Przedsięwzięcie finansowo beznadziejne. W momentach wyczerpania widziałem otaczające mnie skały, zielony serpentyn prealpejskich szczytów w całej jego kosmicznej nieugiętości, nieprzyjaznej i obcej. W porównaniu z nim drzewa w dolinie, o tej porze już w wiosennej szacie, były jak my, ludzie – nie mówiły, ale odczuwały ciepło i mróz, przyjemność i cierpienie, rodziły się i umierały, rozsiewały pyłek na wietrze, po cichu podążały za ruchem słońca. Skała nie, nie gromadzi w sobie energii, zgaszona od zarania, cała jest nieprzyjaznym trwaniem. Była masywną fortecą, którą musiałem zburzyć bastion po bastionie, żeby schwytać skrytego w niej chochlika, owego kapryśnego nickla-Nicolao, który skacze to tu, to tam, zwinny i złośliwy, z nadstawionymi długimi uszami, zawsze gotów, by uciec przed badawczym uderzeniem kilofa i zostawić człowieka z niczym.

Jednak to nie są już czasy chochlików, nickli i koboldów. Jesteśmy chemikami, a więc myśliwymi. Nasze są „dwa doświadczenia dorosłego życia”, o których mówił Pavese, sukces i porażka, alternatywa: upolować białego wieloryba lub rozbić łódź⁴⁰. Nie wolno się poddać niezrozumiałej materii, nie wolno spocząć. Po to tu jesteśmy, żeby się mylić i poprawiać, żeby przyjmować ciosy i je oddawać. Nigdy nie należy czuć się bezbronnym. Natura jest nieskończona i zawila, ale da się ją przeniknąć za pomocą inteligencji. Musisz krążyć dookoła, kłuć, sondować, szukać wyłomu lub zrobić go samemu. Moje cotygodniowe rozmowy z Porucznikiem były niczym narady wojenne.

Pośród wielu prób, jakie poczyniliśmy, była też i taka, która polegała na poddaniu skały redukcji z użyciem wodoru. Umieściliśmy drobno pokruszony minerał w porcelanowej łódeczce do spalań, a tę w kwarcowej tubie. Przez podgrzewaną od zewnątrz tubę przepuściliśmy strumień wodoru, w nadziei, że wydrze on z niklu przyłączony do niego tlen albo też go zredukuje, czyli ogołoci do stanu metalicznego. Nikiel metaliczny, tak jak żelazo, jest materiałem magnetycznym, a zatem – wychodząc z takiego założenia – powinniśmy bez trudu go oddzielić, samego albo z żelazem, za pomocą magnezu. Mimo to po obróbce na próżno potrząsaliśmy potężnym magnesem w wodnistej zawieszynie. Nie otrzymaliśmy nic więcej poza śladową ilością żelaza. Odpowiedź była jasna i przykra: wodór w takich warunkach niczego nie redukuje. Nikiel, wraz z żelazem, musiał być na trwałe uwięziony w strukturze serpentynu, silnie połączony z krzemionką i z wodą, zadowolony (jeśli można tak powiedzieć) ze swego stanu i niechętny, by przyjąć inny.

A gdyby tak rozerwać tę strukturę? Pomysł zabłysnął w mojej głowie jak zapalona w ciemności lampa, gdy pewnego dnia przypadkowo trafił mi do rąk stary wykres, całkiem zakurzony, dzieło jakiegoś nieznanego mi poprzednika. Przedstawiał spadek wagi azbestu z kamieniołomu pod wpływem temperatury. Azbest tracił nieco wody w temperaturze 150°C, potem pozostawał pozornie niezmienny aż do 800°C. Tu widać było nagły spadek wagi o 12 procent, autor zaś zanotował: „robi się kruchy”. Serpentyn jest ojcem azbestu. Skoro azbest ulega rozkładowi w temperaturze 800°C, to samo powinno się dziać z serpentynem. A ponieważ chemik nie potrafi myśleć, a wręcz żyć, bez wzorów strukturalnych, siedziałem do późna, kreśląc je, przenosząc na papier długie łańcuchy z krzemionki, tlenu, żelaza i odrobiny niklu uwięzionego w okach ich sieci. A potem znów te same łańcuchy, już po ich rozsądzeniu, rozbite na krótkie odcinki wraz z niklem wypłoszonym ze swojej kryjówki i wystawionym na atak. I nie czułem, bym różnił się zbytnio od owego pradawnego myśliwego z Altamiry, który na skalnej ścianie malował antylopę, żeby następnego dnia polowanie było udane.

Ceremonie przygotowawcze nie trwały długo. Porucznika nie było, ale mógł zjawić się lada chwila i obawiałem się, że się nie zgodzi lub że zgodzi się niechętnie na tę moją niezbyt

⁴⁰ Aluzja do powieści *Moby Dick albo Wieloryb* Hermana Melville’a. We Włoszech słynny jest jej przekład autorstwa Cesarego Pavese.

ortodoksyjną wizję pracy. Czułem jednak, jak świerzbiły mnie ręce. Co ma być, to będzie, najlepiej od razu zabrać się do dzieła.

Nie ma niczego bardziej ożywczego niż jakaś wizja. Pod rozbawionym i sceptycznym spojrzeniem Alidy, która, ponieważ było już późne popołudnie, ostentacyjnie zerknęła na zegarek, uwijałem się jak fryga. W jednej chwili aparat był zmontowany, termostat ustawiony na 800°C, reduktor ciśnienia w butli wyregulowany, przepływomierz gotowy do pracy. Przez pół godziny rozgrzewałem materiał, potem zmniejszyłem temperaturę, a przez kolejną godzinę przepuszczałem wodór. Zapadł już zmrok, dziewczyna wyszła, wszystko tonęło w ciszy na tle głuchego brzęczenia oddziały selekcji, który pracował także nocą. Czułem się trochę jak konspirator lub alchemik.

Kiedy minął czas, wyciągnąłem łożeczkę z kwarcowej tuby, pozwoliłem, by ostygła w próżni, po czym wsypałem do wody proszek, który z zielonkawego zrobił się żółtawy, co wydało mi się pomyslną wróżbą. Wziąłem magnes i przystąpiłem do pracy. Za każdym razem, gdy wyjmowałem magnes z wody, ciągnął za sobą piórko brunatnego proszku. Zdejmowałem je delikatnie za pomocą bibułki filtracyjnej i odkładałem na bok, może jeden miligram na raz. Żeby analiza była wiarygodna, potrzeba było przynajmniej jednego grama materiału, a więc wielu godzin pracy. Postanowiłem skończyć około północy: to znaczy przerwałem oddzielanie, ponieważ za żadną cenę nie odłożyłbym na później rozpoczęcia analizy. Obmyśliłem naprędce jej uproszczony wariant, gdyż chodziło o frakcję magnetyczną (a więc zapewne ubogą w krzemiany), a także dlatego, że uległem własnemu pośpiechowi. O trzeciej nad ranem były wyniki: już nie zwykła czerwona chmurka niklu-dimetylogliksymu, ale widoczna spora ilość osadu. Filtracja, płukanie, suszenie, ważenie. Ostateczny rezultat pojawił się przede mną zapisany ognistymi cyframi na suwaku logarytmicznym: 6 procent niklu, reszta żelazo. Wiktoria. Nawet bez kolejnego rozdzielania był to stop nadający się do tego, by w niezmiennym stanie wysłać go do pieca elektrycznego. Wróciłem do „łodzi podwodnej”, kiedy już prawie świtało, walcząc z przemożną chęcią, by natychmiast pójść obudzić Dyrektora, zadzwonić do Porucznika i tarzać się z radości po ciemnej, mokrej od rosy trawie. Myślałem o wielu nierozsądnych rzeczach i nie zastanawiałem się nad żadną tragicznie rozsądną.

Zdawało mi się, że otworzyłem drzwi zaledwie jednym kluczem i że posiadam klucz do wielu drzwi, może nawet do wszystkich. Wierzyłem, że wpadłem na coś, czego jeszcze nikt przede mną nie wymyślił, nawet w Kanadzie ani w Nowej Kaledonii, i czułem się niezwykły i nietykalny, nawet wobec nieodległego wroga, z miesiąca na miesiąc coraz bliższego. Myślałem wreszcie, że wziąłem godny odwet na tych, którzy określali mnie jako biologicznie gorszego.

Nie sądziłem, że metoda wydobycia, którą planowałem, mogłaby znaleźć zastosowanie przemysłowe, a cały otrzymany nikiel skończyłby w opancerzeniach i w pociskach wojsk faszystowskich i hitlerowskich Niemiec. Nie wiedziałem, że w tym samym czasie odkryto w Albanii pokłady minerału zawierającego nikiel, przed którym nasz mózg się schować, a wraz z nim cały projekt mój, Dyrektora i Porucznika. Nie sądziłem, że moja interpretacja podatności niklu na separację magnetyczną była od podstaw niewłaściwa, co udowodnił mi Porucznik w kilka dni po tym, jak poinformowałem go o moich osiągnięciach. Ani też nie przypuszczałem, że Dyrektor, dzieląc przez parę dni mój entuzjazm, ostudzi zapędy moje i swoje własne. Zdał sobie bowiem sprawę, że nie istnieje na rynku żaden separator magnetyczny zdolny rozdzielić materiał w postaci aż tak miękkiego proszku, a w przypadku grubszego proszku moja metoda nie mogłaby być zastosowana.

A jednak ta historia na tym się nie kończy. Pomimo mijających lat, liberalizacji wymiany towarowej i spadku światowych cen niklu wieść o ogromnym bogactwie, jakie spoczywa w tej dolinie w postaci ogólnie dostępnych mineralnych szczątków, u wielu jeszcze rozpala wyobraźnię. Niedaleko od kamieniołomów, w piwnicach, w oborach, na granicy pomiędzy

chemią a białą magią, działają jeszcze ludzie, którzy nocą udają się na rumowisko i wracają z workami szarego żwiru, a potem go mielą, gotują i poddają obróbce z użyciem coraz to innych odczynników. Czar ukrytego skarbu, tych dwóch kilogramów szlachetnego, srebrzystego metalu uwięzionego w tonach jałowego, nieprzydatnego kamienia, ciągle jeszcze nie prysnął.

Nie zniknęły też dwa opowiadania o tematyce mineralnej, które wtedy napisałem. Spotkały je burzliwe losy, zupełnie jak mnie. Przeżyły bombardowania i uciezki, ja zaś już uważałem je za stracone, lecz odnalazły się niedawno przy okazji porządków w zalegających od dziesięcioleci papierach. Nie chciałem ich porzucić. Czytelnik odnajdzie je dalej, wplecione niczym sen więźnia o ucieczce pomiędzy inne historie chemii wojującej.

OŁÓW

Na imię mam Rodmund i pochodzę z daleka. Mój kraj nazywa się Thiuda. Przynajmniej my go tak nazywamy, ale nasi sąsiedzi, a więc nasi nieprzyjaciele, mówią o nas w różny sposób: Saksa, Nemet, Alaman. Mój kraj nie jest taki jak ten: są w nim wielkie lasy i rzeki, długie zimy, bagna, mgły i deszcze. Moi ludzie, to znaczy ci, którzy mówią moim językiem, są pasterzami, myśliwymi i wojownikami. Nie lubią uprawiać ziemi, a wręcz gardzą tymi, którzy się tym zajmują, przepędzają owce na ich pola, grabią ich wsie i biorą w niewolę ich kobiety. Ja nie jestem ani pasterzem, ani wojownikiem. Nie jestem też myśliwym, choć moje zajęcie nie różni się zbytnio od polowania. Jestem związany z ziemią, ale jestem wolny: nie jestem rolnikiem.

Mój ojciec i my wszyscy Rodmundowie po mieczu od zawsze trudnimy się tą samą pracą, która polega na tym, by poznać pewien ciężki kamień, odnaleźć go w dalekich krajach, rozgrzać w jedynie nam znany sposób i wytopić z niego czarny ołów. W okolicach mojej osady znajdowały się jego duże złoża. Mówi się, że odkrył je mój pradziad, zwany Rodmundem Niebieskie Zęby. Jest to osada kowali ołowiu. Wszyscy potrafią przetapiać go i kuć, ale jedynie my, Rodmundowie, wiemy, jak odnaleźć skałę i sprawdzić, czy jest to prawdziwy ołów, a nie jeden z tych ciężkich głazów, jakie Bogowie rozrzucili po górach, by oszukać człowieka. To Oni sprawiają, że pod ziemią ciągną się żyły metali, ale trzymają je w tajemnicy, w ukryciu. Kto je odnajdzie, staje się Im niemalże równy i dlatego Bogowie mu nie sprzyjają i starają się go zmylić. Nie sprzyjają nam, Rodmundom, ale my na to nie zważamy.

Przez pięć czy sześć pokoleń złoża się wyczerpały. Ktoś zaproponował, by ruszyć za nim pod ziemię, drążąc tunele. Nawet sam tego spróbował, ku swojej zgubie. Wreszcie zdanie najprzeznieszych przeważało. Wszyscy mężczyźni wrócili do dawnych zajęć, lecz nie ja: tak jak ołów bez nas nie widzi światła, tak i my bez ołowiu nie możemy żyć. Nasze zajęcie jest rzemiosłem, dzięki któremu można się wzbogacić, ale umiera się młodo. Niektórzy powiadają, że dzieje się tak, ponieważ metal dostaje się do krwi i powoli, powoli ją wyjaławia. Inni – że jest to raczej zemsta Bogów. Jednak my, Rodmundowie, nie dbamy o to, że nasze życie jest krótkie, ponieważ jesteśmy bogaci, szanowani i zwiedzamy cały świat. Rzeczywiście, przypadek owego przodka o niebieskich zębach jest wyjątkowy, ponieważ wyjątkowo bogate było złożo, które odkrył. My, poszukiwacze, zazwyczaj jesteśmy też podróżnikami. Jak mi opowiedziano, mój przodek pochodził z bardzo daleka, z krainy, gdzie słońce jest zimne i nigdy nie zachodzi, ludzie mieszkają w domach z lodu, a w morzu pływają podwodne potwory długie na tysiąc stóp.

I tak jako pierwszy od sześciu pokoleń na nowo podjąłem podróż w poszukiwaniu skały, z której mógłbym wytopić metal lub którą mógłbym dać do przetopienia innym ludom, ucząc je rzemiosła w zamian za złoto. My, Rodmundowie, jesteśmy czarnoksiężnikami, przemieniamy ołów w złoto.

Wyruszyłem samotnie na południe, kiedy byłem jeszcze młody. Podróżowałem przez cztery lata, od jednej krainy do drugiej, niziny omijałem z daleka, przemierzałem doliny, stukając młotkiem, znajdując nic lub niewiele. Latem pracowałem na polach, zimą wypłatałem kosze lub żyłem dzięki złotu, które miałem ze sobą. Jak już mówiłem,

wyruszyłem samotnie. Nam kobiety są potrzebne, by urodzić męskiego potomka, żeby nie wygasł nasz ród, ale nie zabieramy ich ze sobą. Do czegoś mogłyby się przydać? Nie potrafią szukać kamienia, a jeśli go dotkną, kiedy mają swoje krwawienia, zamienia się w piasek i martwy popiół. Lepsze są już napotkane po drodze dziewczyny, dobre na jedną noc lub na miesiąc, z którymi spędza się czas na zabawie, nie myśląc o jutrze, nie tak jak z żoną. Jeśli chodzi o nasze jutro, to lepiej przeżyć je w odosobnieniu. Kiedy ciało wiotczeje i blednie, brzuch zaczyna boleć, włosy i zęby wypadają, a dziąsła szarzeć, wtedy lepiej jest być samemu.

Doszedłem do miejsca, z którego w pogodne dni na południu widać było łańcuch gór. Wiosną wyruszyłem dalej, zdecydowany, by do nich dotrzeć. Miałem już dosyć tej lepkiej i miękkiej ziemi, do niczego nie przydatnej, chyba tylko do tego, by robić z niej gliniane okaryny, pozbawionej wszelkich cnót i tajemnic. W górach jest inaczej. Skały, które są kośćmi ziemi, pozostają odkryte, dźwięczą pod podkutymi butami i łatwo rozróżnić ich gatunki. Niziny są nie dla nas. Pytałem dookoła, gdzie jest najłatwiejsza do przejścia przełęcz. Pytałem też, czy mają ołów, gdzie go kupują i ile za niego płacą. Im drożej za niego płacili, tym dokładniej przeszukiwałem okolice. Czasami nawet nie wiedzieli, co to takiego ołów. Kiedy pokazywałem im płytkę, którą zawsze noszę przy sobie w sakwie, śmiali się, widząc, jaka jest delikatna, i pytali, czy w moim kraju z ołowiu robi się też lemiesz i miecze. Jednak najczęściej nie byłem w stanie ich zrozumieć, ani oni mnie: tylko chleb, mleko, miejsce do spoczynku, dziewczyna, kierunek, jaki mam obrać następnego dnia i tyle.

Ruszyłem przez szeroką przełęcz w środku lata, kiedy w południe słońce stało prawie że prostopadle nad moją głową, a jednak na łąkach zalegały jeszcze połacie śniegu. Nieco niżej widziałem stada, pasterzy i ścieżki, a dno doliny było tak nisko, że zdawała się jeszcze pogrążona w nocy. Zszedłem z gór, napotykając na swojej drodze osady, jedną nawet całkiem sporą, nad brzegiem strumienia, gdzie górale schodzili, żeby wymienić owce, konie, sery, skóry i czerwony napój, który nazywali winem. Pękałem ze śmiechu, słysząc, jak mówili. Ich język był prostackim i niezrozumiałym bełkotem, zwierzęcym warczeniem. Aż dziw brał, kiedy okazywało się, że mieli broń i narzędzia podobne do naszych, niektóre nawet bardziej zmyślne i doskonalsze. Ich kobiety przędły zupełnie jak u nas i budowali domy z kamienia, niezbyt ładne, ale trwałe. Niektóre z nich były drewniane, wisiały kilka stóp nad ziemią, podtrzymywane przez cztery lub sześć drewnianych bali. Nad balami znajdowały się kręgi z gładzonego kamienia. Sądzę, że służyły one do tego, by zagrodzić wejście myszom, co wydało mi się mądrym wynalazkiem. Dachy nie były zrobione ze słomy, ale z płaskich i szerokich kamieni. Piwa nie znali.

Od razu spostrzegłem, że w górze, na ścianach doliny, znajdowały się otwory w kamieniu oraz osuwiska z odłamków skalnych. Był to znak, że także w tych stronach był ktoś, kto szukał. Nie zadawałem jednak żadnych pytań, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Obcy taki jak ja wzbudzał ich już nazbyt wiele. Zszedłem aż do potoku, całkiem wartkiego (pamiętam, że woda w nim była mętna i biaława, jakby ktoś dolał do niej mleka, rzecz w moich stronach niespotykana), i zacząłem cierpliwie przyglądać się kamieniom. To jedna z naszych sztuczek – kamienie w potokach pochodzą z daleka i jasno przemawiają do tego, kto potrafi je zrozumieć. Było tam po trosze wszystkiego: krzemienie, kamienie zielone, skały wapienne, granit, skalne okruchy zawierające żelazo, a nawet kamień zwany przez nas galmeidą – nic, co mogłoby mnie interesować. A jednak w mojej głowie tkwiło przekonanie, że w dolinie takiej jak ta, z charakterystycznymi białymi prążkami widocznymi na czerwonych skałach, z całym tym mnóstwem żelaza dookoła, nie mogło brakować skał z ołowiem.

Podążyłem wzdłuż potoku, trochę po kamieniach, trochę w bród, tam gdzie było to możliwe, niczym pies myśliwski, z oczami utkwionymi w ziemi. Nagle, nieco poniżej dopływu mniejszego strumienia, wśród miliona innych skalnych odłamków, dojrzałem kamień niemalże identyczny jak wszystkie pozostałe, białawy z czarnymi ziarenkami. Zatrzymałem się w napięciu i znieruchomiałem, zupełnie jak gończyk na stojce. Podniosłem

go, był ciężki, a obok niego leżał podobny, ale mniejszy. Rzadko się zdarza, żebyśmy się mylili, ale dla pewności rozłupałem kamień, wziąłem kawałek wielkości orzecha i zabrałem ze sobą, żeby go wypróbować. Dobry poszukiwacz, poważny, który nie chce okłamywać ani innych, ani siebie samego, nie może ufać pozorom, ponieważ kamień, choć zdaje się martwy, bywa przewrotny. Czasem nawet zmienia swój gatunek w momencie, kiedy się go wydobywa, zupełnie jak niektóre węże, które zmieniają kolor, żeby ich nie dostrzec. A zatem dobry poszukiwacz musi mieć ze sobą wszystko: gliniany tygiel, kawałki węgla drzewnego, hubkę, krzemień i jeszcze jeden przyrząd, którego nie mogę wymienić, a który służy właśnie do sprawdzania, czy kamień jest dobry, czy nie.

Wieczorem znalazłem sobie ustronne miejsce. Rozpaliłem ogień, powiesiłem nad nim podzielony na kilka warstw tygiel, przez pół godziny rozgrzewałem kamień, a potem pozostawiłem tygiel, by ostygł. Rozbiłem naczynie i ujrzałem błyszczącą i ciężką tarczę, którą da się naciąć paznokciem i której widok rozwesela człowiekowi serce, a z nóg przepędza zmęczenie po wędrownce. My nazywamy ją „małym królem”.

To jednak nie koniec, w tym momencie większość pracy jest jeszcze przed tobą. Trzeba iść w górę potoku i przy każdym rozwidleniu sprawdzić, czy dobry kamień ciągnie się po prawej, czy po lewej stronie. Długi czas posuwałem się w górę największego strumienia i ciągle znajdowałem w nim kamień, ale wciąż było go niewiele. Potem dolina zwężała się w tak ciasne i strome gardło, że nie było najmniejszej szansy, by je przejść. Zapytałem okolicznych pasterzy. Za pomocą gestów i bełkotu dali mi do zrozumienia, że nie istnieje żaden sposób, żeby tę stromiznę ominąć. Jednak cofając się do dużej doliny, można było znaleźć ścieżkę, niezbyt szeroką, która przecinała przełęcz zwaną przez nich Tringo i schodziła powyżej gardła, w miejscu, gdzie znajdowały się rogate zwierzęta, które ryczały, a zatem (pomyślałem) także pastwiska, pasterze, chleb i mleko. Ruszyłem w drogę, z łatwością odnalazłem ścieżkę i przełęcz Tringo i zszedłem do przepięknej krainy.

Dokładnie naprzeciwko mnie rozciągała się zielona od modrzewi dolina, a w głębi góry, całe białe od śniegu w środku lata. Dolinę zamykała szeroka łąka upstrzona szałasami i trzodą. Odczuwałem zmęczenie, zszedłem więc i zatrzymałem się u pasterzy. Byli nieufni, ale znali (aż nazbyt dobrze) wartość złota i na parę dni dali mi schronienie, nie robiąc mi żadnej krzywdy. Skorzystałem z tego, by nauczyć się paru słów w ich języku. Na góry mówili „pen”, na łąki „tza”, na letni śnieg „roisa”, na owce „fea”, a „bait” a swoje domy, które w dolnej części, gdzie trzymają zwierzęta, zbudowane są z kamienia, a wyżej, gdzie mieszkają sami i gdzie trzymają siano i zapasy, są drewniane i wsparte na głazach, o których już wcześniej mówiłem. Byli to ludzie porywczy, małomówni, ale nie mieli broni i nie obchodzili się ze mną źle.

Kiedy odpocząłem, wznowiłem poszukiwania, dalej posuwając się wzdłuż strumienia. W końcu zapuściłem się w nieckę położoną równoległe do doliny modrzewi, długą, wąską i bezludną, bez pastwisk czy lasu. Strumień, który przez nią przepływał, był bogaty w dobry kamień. Czułem, że byłem blisko celu. Poświęciłem na to trzy dni, śpiąc pod gołym niebem, a nawet nie śpiąc wcale, tak bardzo byłem niespokojny. Spędzałem noce, wpatrując się w niebo, czekając na świt.

Złoże znajdowało się w trudno dostępnym miejscu, w stromej rozpadlinie. Biały kamień wystawał z ubogiej trawy, był na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło wkopać się na parę stóp, żeby odnaleźć czarną skałę, najbogatszą ze wszystkich, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem, ale którą znałem z opowieści mojego ojca. Była to skała jednolita, bez zgorzeliny, w takiej ilości, że wystarczyłoby jej dla stu ludzi przez sto lat. Najdziwniejsze było to, że już wcześniej ktoś musiał tu być. W skale znajdowało się na wpół schowane za dużym głazem (umieszczonym tam z pewnością nieprzypadkowo) wejście do tunelu, który musiał być bardzo stary, ponieważ ze sklepienia zwisały stalaktyty długie jak moje palce. Na ziemi leżały paliki ze spróchniałego drewna oraz kości, nieliczne i połamane. Resztę musiały zabrać lisy.

Rzeczywiście, były tu ślady lisów, a może nawet wilków, ale połówka czaszki wystająca z błota bez wątpienia należała do człowieka. To trudna do wyjaśnienia rzecz, ale zdarzało się nieraz, że ktoś, nie wiadomo kiedy, przybываяc nie wiadomo skąd, w odległych czasach, może nawet jeszcze przed potopem, odnajdywał żyłę, ale nic nikomu nie mówił. Starając się samemu wydobyć kamień, w końcu zostawiał tam swoje kości. A potem mijały stulecia. Mój ojciec opowiadał mi, że w jakimkolwiek tunelu człowiek by nie kopał, zawsze natknie się na kości zmarłych.

Jednym słowem, było to złożo. Przeprowadziłem moje próby. Na zewnątrz, najlepiej jak umiałem, zbudowałem piec, zszedłem niżej i wróciłem z drewnem na opał, wytopiłem taką ilość ołowiu, że bym mógł unieść go na plecach, i wróciłem do doliny. Ludziom z pastwisk o niczym nie powiedziałem. Ponownie obrałem drogę przez Tringo i zszedłem na drugą stronę, do dużej wsi o nazwie Sales. Był dzień targowy i ustawiłem się z moim kawałkiem ołowiu w ręku. Ludzie zaczęli zatrzymywać się, ważyć go w dłoni i zadawać pytania, które rozumiałem tylko w połowie. Było jasne, że chcieli wiedzieć, do czego służy, ile kosztuje, skąd pochodzi. Wreszcie pojawił się jeden taki o bystrym wyglądzie, w wełnianej czapce, z którym dogadywałem się całkiem dobrze. Pokazałem mu, że tę rzecz kuje się młotem, a nawet w tym samym momencie znalazłem młot i krawężnik i pokazałem mu, jak łatwo wykuć z niej płytki i blachę. Potem wyjaśniłem, że z blachy, spawając ją rozpalonym żelazem, można zrobić rury. Powiedziałem, że rury z drewna, jak na przykład rynny we wsi Sales, przeciekają i gniją. Trudno jest zrobić rury z brązu i jeśli używa się ich do wody pitnej, powodują bóle brzucha, natomiast rury z ołowiu trwają w nieskończoność i z łatwością da się je łączyć. Trochę ryzykując, przybrałem uroczysty wyraz twarzy i zastosowałem pewien trik. Wy tłumaczyłem mu, że ołowianą blachą można też wyłożyć trumny, dzięki czemu ciała zmarłych nie wypełniają się robakami, ale wysychają i robią się wiotkie. W ten sposób nie gubi się dusza, co jest nie lada zaletą. Z ołowiu można też wytopić nagrobne figurki, nie tak błyszczące, jak te ze spiżu, ale ciemnawe, przydymione, jak przystoi przedmiotom żałobnym. Ponieważ zauważyłem, że te sprawy bardzo go interesowały, wyłożyłem mu, że jeśli nie sądzić po pozorach, to właśnie ołów jest metalem śmierci, ponieważ przez niego się umiera, a jego ciężar jest przejawem woli upadku, który jest właściwy ciału zmarłego. Kolor ołowiu jest trupioszary, a on sam jest metalem planety Thistona, najwolniejszej spośród wszystkich, a więc planety śmierci. Powiedziałem także, że według mnie ołów jest materią inną niż wszystkie, metalem, w którym czuć zmęczenie, być może zmęczenie własnymi przemianami, i który już nie chce się więcej przeobrażać. Jest popiołem pochodzącym z nie wiadomo jakich żywotnych pierwiastków, które tysiące lat temu spaliły się w swoim własnym Ogniu. Były to moje prawdziwe myśli, nie że bym wymyślił to na poczekaniu, by dobić interesu. Ów człowiek, któremu na imię było Borvio, słuchał z rozdziawionymi ustami. A potem powiedział mi, że musi być tak, jak mówię, bo planeta ta poświęcona jest pewnemu bogowi, który w jego kraju zwie się Saturnem i którego przedstawia się z kosą. Był to dobry moment, żeby przejść do sedna sprawy. Podczas gdy on ciągle jeszcze przetrawiał słowa, którymi zachwalałem towar, zażądałem od niego trzydziestu libr złota w zamian za przekazanie mu złoża, technologii wytopu i dokładnych instrukcji na temat podstawowych zastosowań metalu. Zaproponował mi spiżowe monety z dzikiem, o nieznanym pochodzeniu, ale ja wykonałem gest, jakbym na nie splotwał: złoto i nie ma gadania. Zresztą trzydzieści libr to za dużo dla kogoś, kto podróżuje piechotą, wszyscy to wiedzą i ja też wiedziałem, że Borvio to wie. I tak stanęło na dwudziestu librach. Kazał zaprowadzić się do złoża. Kiedy wróciliśmy do doliny, dał mi złoto. Sprawdziłem wszystkie dwadzieścia shtabek, były czyste i słusznej wagi. Razem spoiłiśmy się winem, żeby uczcić umowę.

Było to także pijaństwo pożegnalne. Nie chodziło o to, że ten kraj mi się nie spodobał, ale było wiele powodów, które popychały mnie do dalszej wędrówki. Po pierwsze, chciałem zobaczyć ciepłe kraje, gdzie, jak mówią, rosną drzewa oliwne i cytrynowe. Po drugie,

chciałem zobaczyć morze, ale nie to burzliwe, nad którym urodził się mój przodek o niebieskich zębach, ale morze ciepłe, skąd bierze się sól. Po trzecie, na nic zdaje się złoto, jeśli trzeba dźwigać je na plecach z nieustanną obawą, że nocą albo podczas pijaństwa ktoś ci je odbierze. Czwarły i ostatni powód był taki, że chciałem wydać złoto na morską podróż, aby poznać morze i marynarzy, ponieważ marynarze potrzebują ołowiu, choć sami o tym nie wiedzą.

I tak odszedłem. Wędrowałem przez dwa miesiące, schodząc przez wielką, smutną dolinę, aż ta otworzyła się na nizinę. Były tam łąki i pola pszenicy, i kwaśny zapach palonych gałęzi, który rozbudził we mnie tęsknotę za moim krajem. Jesień we wszystkich krajach świata ma ten sam zapach obumarłych liści, odpoczywającej ziemi, palonych gałęzi, jednym słowem rzeczy, które się kończą, a ty myślisz: „To już na zawsze”. U zbiegu dwóch rzek natknąłem się na pewne obronne miasto, wielkie, jakich u nas się nie spotyka. Był tam targ niewolników, z mięsem, winem, brudnymi dziewczętami, mocno zbudowanymi i rozczochranymi, a także gospoda z porządnym ogniem. Tu przezimowałem. Śnieg padał jak u nas. W marcu wyruszyłem ponownie w drogę i po miesiącu wędrówki dotarłem do morza, które nie było błękitne, ale szare, ryczało jak żubr i rzucało się na ziemię, jakby chciało ją pożreć. Na myśl, że nigdy nie zazna ono spoczynku i, odkąd powstał świat, nigdy go nie zaznało, poczułem, że zaczyna brakować mi odwagi. Jednak i tak obrałem drogę na wschód, wzdłuż plaży, ponieważ morze mnie oczarowało i nie mogłem się już od niego uwolnić.

Napotkałem kolejne miasto i zatrzymałem się w nim także dlatego, że moje złoto było na wykończeniu. Byli tam rybacy i dziwni ludzie, którzy przybywali statkami z różnych odległych krajów, kupowali i sprzedawali. Nocami bili się o kobiety i walczyli na noże w zaułkach, więc także i ja kupiłem sobie nóż z brązu, potężny, ze skórzaną pochwą, żeby nosić go przy pasie pod ubraniem. Ludzie ci znali szkło, ale lustra były im obce. To znaczy mieli zwierciadła z polerowanego brązu, które nie są warte funta kłaków, z tych, co zaraz się rysują i przeinaczają kolory. Jeśli ma się ołów, nietrudno zrobić lustro ze szkła, ja jednak sprawiłem, że sekret ten spadł na nich niczym objawienie. Powiedziałem, że jest to sztuka, którą tylko my, Rodmundowie, znamy, a nauczyła nas jej bogini zwana Frigg, i opowiedziałem im też inne głupstwa, w które uwierzyli bez zająknięcia.

Potrzebowałem pieniędzy. Rozejrzałem się dookoła i nieopodal portu znalazłem szklarza, który wyglądał na całkiem rozgarniętego, i wszedłem z nim w spółkę.

Nauczyłem się od niego wielu rzeczy, przede wszystkim zaś tego, że szkło da się wydmuchać. Tak mi się ta sztuka spodobała, że poprosiłem, by mnie jej nauczył. Pewnego dnia spróbuję wydmuchać roztopiony ołów lub brąz (są jednak zbyt ciekłe, raczej mi się to nie uda). Ja za to pokazałem mu, że na tafli jeszcze ciepłego szkła można rozlać roztopiony ołów i wychodzą z tego lustra, może niezbyt duże, ale lśniące, bez skaz i bardzo trwałe. Był to zresztą niezły szklarz, znał sekret, jak robić kolorowe szkło, i odlewał różnobarwne, pięknie wyglądające szybki. Zapaliłem się do tej współpracy. Wymyśliłem, żeby robić lustra z wydmuchanych szklanych czarek, wylewając do środka ołów albo rozprawdzając go po wierzchu: przeglądając się w ich wnętrzu, człowiek wydaje się sobie bardzo duży albo zupełnie malutki, albo też cały pokrzywiony. Takie lustra nie podobają się kobietom, za to wszystkie dzieci chcą, żeby im je kupić. Przez całe lato i jesień sprzedawaliśmy zwierciadła kupcom, a ci dobrze nam za nie płacili. W tym czasie dużo z nimi rozmawiałem i starałem się zebrać jak najwięcej informacji o pewnej ziemi, którą znało wielu z nich.

Było zadziwiające, że ci ludzie, którzy przecież spędzili na morzu połowę życia, mieli tak mętne pojęcie na temat kierunków świata i odległości. W sumie jednak zgadzali się co do jednego, to znaczy, że płynąc na południe, według jednych tysiąc mil, a według innych dziesięć razy dalej, można było dotrzeć do pewnej ziemi spalonej słońcem na pył, pełnej niespotykanych drzew i roślin, którą zamieszkiwali dzicy ludzie o czarnej skórze. Wielu

mówiło z przekonaniem, że w połowie drogi spotyka się ogromną wyspę zwaną Icnusa⁴¹, która jest wyspą metali. O tej wyspie opowiadano najdziwniejsze historie. Mówiono, że zamieszkują ją wielkoludy, ale konie, woły, a nawet króliki i kurczaki są malusieńkie. Rządzą tam kobiety i to one prowadzą wojny, podczas gdy mężczyźni doglądają zwierząt i przędą wełnę. Wielkoludy te pożerają ludzi, a zwłaszcza obcych, i jest to ziemia rozwiązanych obyczajów, gdzie mężczyźni wymieniają się kobietami, a zwierzęta parzą się jak popadnie, wilki z kotkami, niedźwiedzie z krowami. Ponoć ciąża u kobiet trwa tam tylko trzy dni, a matka po porodzie mówi do dziecka: „No, dalej, przynieśże nożyczki i poświeć tu trochę, żebym mogła odciąć pępowinę”. Inni jeszcze opowiadali, że wzdłuż brzegów wyspy znajdują się kamienne fortece, wielkie niczym góry, a wszystko na niej zrobione jest ze skały: ostrza lancy, koła wozów, także grzebienie kobiet i igły do szycia, nawet garnki do gotowania. Na dodatek mają kamienie, które się palą i którymi rozpalają pod garnkami, a na ich drogach rozstajów pilnują kamienne potwory o przerażającym wyglądem. Opowieści tych słuchałem z udawanym skupieniem, ale w głębi duszy śmiałem się z nich do rozpuku, ponieważ zwiedziłem już kawał świata i wiem, że wszędzie jest tak samo. Zresztą ja także, kiedy skądś powracam i opowiadam o krajach, w których byłem, dla zabawy wymyślam różne dziwy. Tutaj też opowiadają sobie różne bajki o moim kraju. Na przykład, że u nas żubry nie mają kolan i aby je upolować, wystarczy podpiłować u podstawy drzewa, o które opierają się nocą, żeby odpocząć. Pod wpływem ich ciężaru drzewo się łamie, a zwierzęta zwalają się na ziemię i nie mogą się z powrotem podnieść.

Jednak co do metali wszyscy byli zgodni. Wielu morskich kupców i kapitanów przywiozło kiedyś z wyspy na kontynent ładunki metalu, surowego albo przerobionego, ale ponieważ byli ludźmi prostymi, z ich opowieści trudno było zrozumieć, o jakie metale chodziło. Także dlatego, że nie wszyscy mówili tym samym językiem, a żaden z nich nie mówił w moim i powstało ogromne zamieszanie w nazwach. Mówili na przykład „kalibe” i zupełnie nie mogłem zrozumieć, czy chodzi im o żelazo, o srebro czy o brąz. Inni nazywali „sider” zarówno żelazo, jak i lód, i byli takimi głupcami, że uważali, iż lód z gór, wraz z upływem czasu i pod ciężarem skały, twardnieje i przemienia się najpierw w kryształ górski, a potem w rudę żelaza.

Jednym słowem, miałem już dosyć babskich zajęć i chciałem popłynąć na ową Icnusę. Odsprzedam szklarzowi moje udziały w interesie. Za te pieniądze, a także za sumę, którą zarobiłem na lustrach, kupiłem miejsce na pokładzie statku towarowego. Zimą jednak się nie wypływa, wieje bowiem tramontana, mistral, wiatr południowy lub południowo-wschodni. Zdaje się, że żaden wiatr nie jest dobry i do kwietnia najlepsze, co można zrobić, to siedzieć na łodzi, upijać się, przegrywać w kości ostatnią koszulę i zapładniać dziewczyny z portu.

Wyruszyliśmy w kwietniu. Statek był załadowany amforami z winem. Poza właścicielem byli tam jeszcze nadzorca niewolników, czterech marynarzy i dwudziestu galerników przykutych do ławek. Nadzorca niewolników pochodził z Kriti⁴² i był potwornym łgarzem. Opowiadał o pewnym kraju, gdzie żyli ludzie zwani Uszatymi, którzy mieli uszy tak wielkie, że zimą zawijali się w nie do snu, oraz o zwierzętach z ogonem z przodu, które nazywają się Alfil i rozumieją ludzką mowę.

Muszę przyznać, że z dużym trudem przywykłem do życia na statku: cały pokład tańczy pod stopami, przechyla się trochę w prawo, trochę w lewo, niełatwo jest jeść ani spać i z braku miejsca wszyscy depczą sobie po nogach. Poza tym zakuci w kajdany wioślarze spoglądają tak dzikim wzrokiem, że człowiekowi się wydaje, iż jeśli tylko nie byłiby przykuci, w jednej chwili rozerwaliby go na strzępy. Właściciel powiedział mi, że czasem rzeczywiście tak się zdarza. Z drugiej strony, kiedy wiatr jest pomyślny, żagiel się nadyma, a wioślarze podnoszą

⁴¹ Prawidłowy zapis: Ichnusa. Tak nazywali Sycylię starożytni Grecy.

⁴² Kriti (gr.) – Kreta.

wiosła, wydaje się, jakby łódź szybowała w zakłętej ciszy. Widać, jak delfiny skaczą ponad wodą, a marynarze utrzymują nawet, że z wyrazu ich pyska można odczytać, jaka będzie jutro pogoda. Statek był porządnie wysmarowany smołą, ale i tak widać było, że podwodna część kadłuba jest cała podziurawiona. To przez świdraki, jak mi wytłumaczono. Także w porcie zauważyłem, że wszystkie łodzie na kotwiczowisku były ponadgryzane. Nic nie można na to poradzić, wyjaśnił właściciel, który był także kapitanem. Kiedy jakiś okręt jest już stary, rozbiera się go i pali. Ja jednak miałem własny pomysł, tak samo jak w kwestii kotwicy. To głupie, że robi się ją z żelaza. Wżera się w nią rdza i wystarcza ona co najwyżej na dwa lata. A rybackie sieci? Kiedy wiał dobry wiatr, marynarze zarzucali sieć, której pływaki były zrobione z drewna, a balast z kamienia. Z kamienia! Gdyby były z ołowiu, mogłyby zajmować cztery razy mniej miejsca. Oczywiście nie wspomniałem o tym nikomu ani słowa, ale, jak pewnie sami już odgadliście, myślałem o ołowiu, który miałem wydobyć z wnętrza Icnusy, i już dzieliłem skórę na niedźwiedziu.

Po jedenastu dniach na morzu dopłynęliśmy do miejsca, skąd widać było wyspę. Wiosłując, wpłynęliśmy do portu. Wokół znajdowały się usypiska granitu, z którego niewolnicy wycinali kolumny. Nie byli wielkoludami i nie sypiali we własnych uszach. Byli tacy jak my i całkiem nieźle dogadywali się z marynarzami, ale ich nadzorcy nie pozwalali im się odzywać. Była to ziemia skały i wiatru, która od razu przypadła mi do gustu. Powietrze wypełniały zapachy ziół, gorzkie i dzikie, ludzie zaś wydawali się prości i silni.

Kraina metali była oddalona od portu o dwa dni drogi. Wypożyczyłem osła wraz z woźnicą. I rzeczywiście prawdą jest to, że są to osły małe (lecz nie tak jak koty, jak mówiono na kontynencie), ale wytrzymałe i silne. Krótko mówiąc, w pogłoskach może tkwić nieco prawdy, choć ukrytej pod zasłoną słów, niczym w zagadce. Na przykład przekonałem się, że zgadzała się także historia z kamiennymi fortecami. Nie są może tak wielkie jak góry, ale solidne, o regularnym kształcie, z precyzyjnie ułożonej ciosanej skały. Ciekawe jest to, że wszyscy twierdzą, iż „są tu one od zawsze”, i nikt nie wie, przez kogo, jak, dlaczego i kiedy zostały wybudowane. Natomiast jest wielkim kłamstwem, jakoby mieszkańcy wyspy pożerali obcych. Zaprowadzili mnie do kopalni, nie robiąc przy tym żadnych kłopotów ani tajemnic, jak gdyby ich ziemia należała do każdego.

Kraina metali wprowadziła mnie w stan upojenia, niczym psa gończego, który wchodzi do lasu pełnego zwierzyny i skacze od tropu do tropu, cały drży i jest zupełnie zdezorientowany. Położona jest blisko morza, na paśmie wzgórz, które na wysokości przechodzą w urwiska. W pobliżu i w oddali, aż po horyzont, widać pióropusze dymu z odlewni, a dookoła pracujących ludzi, wolnych i niewolników. Także historia o palącym się kamieniu jest prawdziwa, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Potrzebuje trochę czasu, zanim się rozpali, ale potem daje dużo ciepła i wystarcza na długo. Przynosili go nie wiem skąd, w koszach zawieszonych na oślim grzbiecie. Jest czarny, tłusty, kruchy i niezbyt ciężki.

Jak już mówiłem, są tam wspaniałe kamienie, z pewnością pełne nieznanymi jeszcze metalami, które kwitną kolorami bieli, fioleto i błękitu. Pod ziemią musi znajdować się bajeczny splot żył. Z chęcią zatraciłbym się w poszukiwaniach, uderzając, kopiąc i próbując, ale jestem Rodmundem i moim kamieniem jest ołów. Od razu zabrałem się do pracy.

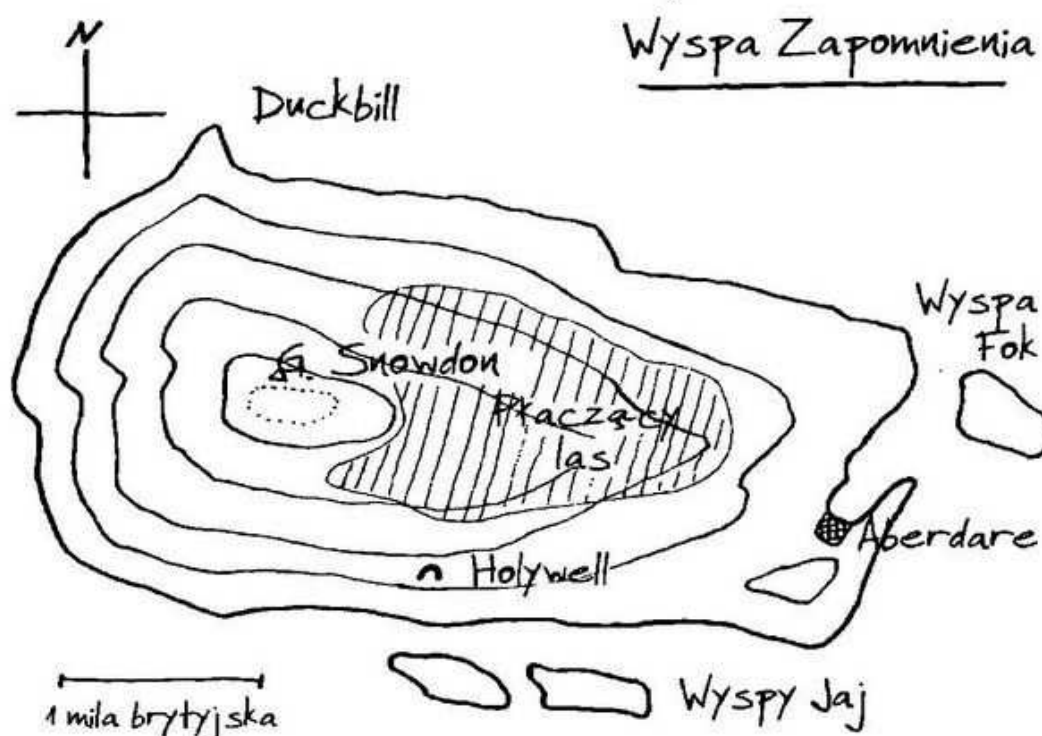
Znalazłem złożę na zachodnim krańcu krainy, gdzie, jak mi się zdaje, nikt nigdy wcześniej nie szukał. Rzeczywiście, nie było tam ani studni, ani tuneli, ani zwałów skały, ani nawet widocznych śladów na powierzchni ziemi. Kamienie, które wystawały, były takie same jak wszystkie inne. Jednak niewiele głębiej znajdował się ołów. Często myślałem o tym, że my, poszukiwacze, wierzymy, iż odnajdujemy metal dzięki naszym oczom, doświadczeniu i sprytowi, ale w rzeczywistości to, co nas prowadzi, jest czymś głębszym, jakąś siłą, podobną do tej, która wiedzie łososie w górę rzeki, a jaskółki z powrotem do gniazda. Może z nami jest tak jak z różdżkarzami, którzy nie wiedzą, co takiego ciągnie ich do wody, ale coś jednakich prowadzi i wygina różdżkę między ich palcami.

Nie wiem, skąd to wiedziałem, ale właśnie tam był ołów. Czuję, jak leżał pod moimi stopami, mętny, trujący i ciężki, przez całe dwie mile wzdłuż strumienia, w lesie, gdzie w powalonych przez piorun pniach drzew gnieździły się dzikie pszczoły. W krótkim czasie zakupiłem niewolników, żeby dla mnie kopali, a kiedy tylko odłożyłem nieco grosza, kupiłem sobie także kobietę. Nie po to, żeby razem wyprawiać jakieś harce. Wybrałem ją uważnie, nie bacząc na jej urodę, ale na to, by była zdrowa, szeroka w biodrach, młoda i wesoła. Chciałem, żeby dała mi Rodmunda, żeby nasze rzemiosło nie zginęło. I nie traciłem czasu, ponieważ moje dłonie i kolana zaczęły już się trząść, a zęby chwieją się w dziąsłach i zrobiły się niebieskie, jak zęby owego przodka, który przybył z nad morza. Ten Rodmund narodził się z końcem nadchodzącej zimy, na tej ziemi, gdzie rosną palmy i zagęszcza się sól, a nocą słychać dzikie psy ujadające na tropie niedźwiedzia, w tej osadzie, którą sam założyłem w pobliżu Strumienia Dzikich Pszczół i której chciałbym nadać nazwę w moim języku, którego powoli zapominam: Bak der Binnen, co oznacza właśnie Rzeka Pszczół. Jednak tutejsi ludzie przyjęli tę nazwę tylko po części i między sobą, w ich języku, który teraz jest też i moim, zwa ją Bacu Abis.

RTEĆ

Ja, niżej podpisany, kapral Abrahams mieszkam na tej wyspie wraz z moją żoną Maggie już od czternastu lat. Przysłali mnie tu na posterunek. Zdaje się, że na pobliskiej wyspie (to znaczy na najbliższej – znajduje się ona na północny wschód od naszej, w odległości co najmniej 1200 mil, i nazywa się Wyspa Świętej Heleny) osadzili jakąś ważną i niebezpieczną osobę i bali się, by zwolennicy nie dopomogli jej w ucieczce i by nie schroniła się właśnie tutaj. Nigdy nie uwierzyłem w tę historię. Moja wyspa nazywa się Wyspą Zapomnienia i chyba jeszcze nie zdarzyło się, żeby nazwa miejsca została lepiej dobrana, dlatego nigdy nie rozumiałem, czego miałyby tutaj szukać osoba tak ważna jak ta.

Krążyły plotki, że był to jakiś renegat, cudzołożnik, papista, podżegacz ludów i pyszałek. Dopóki żył, było tu z nami jeszcze dwunastu innych żołnierzy, ludzi młodych i wesołych, z Walii i z Surrey. Byli oni także dobrymi rolnikami i pomagali nam w pracy. Potem podżegacz zmarł i wtedy przyплыł statek, żeby odstawić wszystkich do domów. Ale Maggie i ja pomyśleliśmy o pewnych starych długach i woleliśmy zostać tutaj i doglądać naszych świń. Kształt naszej wyspy przedstawia niniejszy rysunek.



To najbardziej samotna wyspa na świecie. Odkrywano ją niejednokrotnie, raz byli to Portugalczycy, raz Holendrzy, a jeszcze wcześniej dzicy ludzie, którzy wykuli znaki i obrazy bożków w skałach góry Snowdon. Jednak nikt nigdy tu się nie zatrzymał, ponieważ przez połowę roku pada deszcz, a ziemia dobra jest tylko pod sorgo i ziemniaki. A jednak kto się tym zadowoli, z pewnością z głodu nie umrze, ponieważ na południowym wybrzeżu przez

pięć miesięcy w roku pełno jest fok, a dwie wysepki na południu zaścielają mewie gniazda. Wystarczy tylko wziąć łódkę i można znaleźć tam tyle jajek, ile tylko dusza zapragnie. Cuchną rybą, ale są pożywne i sycące. Zresztą wszystko tutaj cuchnie rybą, nawet ziemniaki, a także świnię, które je jedzą.

Na zboczach góry Snowdon rosną ostrolistne dęby i inne rośliny, których nazwy nie znam. Jesienią pokrywają się mięsistymi niebieskimi kwiatami o zapachu spoconych ludzi, zimą zaś twardymi jagodami, kwaśnymi i niezdatnymi do jedzenia. Są to dziwne rośliny: ciągną wodę z głębi ziemi i wyrzucają ją przez czubki gałęzi w postaci drobnego deszczu. Nawet w suche dni podłoże w tym lesie jest wilgotne. Woda, która spływa z gałęzi, nadaje się do picia, a nawet dobrze robi na żołądek, choć pachnie mchem. Zbieramy ją za pomocą systemu rynien i płytkich kadzi. Las ten, który jest zresztą jedynym na wyspie, nazwaliśmy „Płaczącym Lasem”.

My mieszkamy w Aberdare. Nie jest to miasto, a jedynie cztery drewniane baraki, z których dwa się rozsypują. Jednak jeden z Walijszyków, który pochodził właśnie z Aberdare, nalegał, by tak je nazwać. Duckbill to najdalej wysunięty punkt na północ. Żołnierz Cochrane, dręczony nostalgią, często się tam udawał i spędzał całe dni pośród słonej mgły i wiatru, i dzięki temu zdawało mu się, że jest bliżej Anglii. Nawet zbudował tam latarnię morską, której nikt nigdy nie zapalał. Cypel nazywa się Duckbill, ponieważ widziany od wschodu ma kształt dokładnie kaczego dziobu.

Wyspa Fok jest płaska i piaszczysta. Zimą przyplływają na nią foki, by urodzić małe. Jaskinia Holywell, co znaczy „święte źródło”, została tak nazwana przez moją żonę, która nie wiem, co też takiego w niej widzi. W niektórych okresach, kiedy byliśmy sami, udawała się tam prawie każdego wieczoru, z pochodnią w rękę, a od Aberdare dzielą jaskinię prawie dwie mile. Siadywała w niej, żeby prząść wełnę albo robić na drutach, wyczekując nie wiadomo czego. Nieraz ją o to pytałem. Odpowiadała mi w pokrętny sposób, że słyszała w jaskini głosy i widziała cienie, i że tam w dole, gdzie nie dociera nawet huk morza, czuła się mniej samotna i bardziej bezpieczna. Ja natomiast obawiałem się, że Maggie ma bałwochwalcze skłonności. W grocie znajdowały się głazy, które przypominały ludzkie postaci i zwierzęta. Jeden z nich, na samym końcu, miał kształt rogatej czaszki. Z pewnością figury te nie były dziełem ludzkiej ręki. A zatem czyim? Ja osobiście wolałem się trzymać od nich z daleka. Także dlatego, że czasem w jaskini słyhać było głuche pomruki, jak gdyby kolkę w trzewiach ziemi, skała pod stopami była ciepła, a z pęknięć w głębi ulatniały się podmuchy o zapachu siarki. Jednym słowem, ja tę grocie nazwałbym zupełnie inaczej, ale Maggie twierdziła, że ów głos, który jakoby słyszała, miał kiedyś przepowiedzieć przyszłość naszą, wyspy i całej ludzkości.

Maggie i ja przez wiele lat żyliśmy na wyspie sami. Co roku na Wielkanoc przyplwiał wielorybnik Burtona, żeby przywieźć nam wiadomości ze świata i żywność oraz załadować tę niewielką ilość wędzonej słoniny, którą wytwarzaliśmy. Potem jednak wszystko się zmieniło. Trzy lata temu Burton wysadził tutaj dwóch Holendrów. Willem był jeszcze prawie dzieckiem, nieśmiały, o blond włosach i rumianej twarzy. Miał na czole srebrne znamię, które wyglądało jak objaw trądu, i żaden statek nie chciał go na swoim pokładzie. Hendrik był starszy, szczupły, o szarych włosach i pomarszczonym czole. Opowiedział nam niezbyt jasną historię o pewnej bójce, w której ponoć roztrzaskał głowę swojemu sternikowi, za co w Holandii czekałby go jedynie stryżek. Jednak nie mówił jak marynarz i dłonie miał jak pan, a nie ktoś, kto roztrzaskuje innym głowy. W kilka miesięcy później dostrzegliśmy dym unoszący się z jednej z Wysp Jaj. Wsiadłem do łódki i popłynąłem zobaczyć, co się dzieje. Znalazłem tam dwóch włoskich rozbitków, Gaetana z Amalfi i Andree z Noli. Ich statek rozbił się o Bronowe Skały, a oni uratowali się, płynąc wplaw. Nie wiedząc, że duża wyspa była zamieszkała, rozpalili ogień z gałęzi krzaków i z ptasich odchodów, żeby się osuszyć. Powiedziałem im, że w przeciągu paru miesięcy przyplynie ponownie Burton i

mógłby odstawić ich do Europy, ale oni, przerażeni, odmówili. Po tym, co zobaczyli tej nocy, już nigdy więcej nie postawią stopy na żadnym okręcie. Musiałem się sporo namęczyć, zanim przekonałem ich, by weszli na moją łódkę i pokonali te sto sążni morza, jakie dzieliło nas od Wyspy Zapomnienia. Gdyby to od nich zależało, zostaliby na tych marnych skałkach, żywiąc się jajami mew, aż do śmierci.

Nie to, żeby na wyspie brakowało miejsca. Ulokowałem wszystkich czterech w opuszczonych barakach Walijczyków i było im tam całkiem wygodnie, także dlatego, że ich bagaż był raczej skromny. Jedynie Hendrik posiadał zamknięty na kłódkę drewniany kufer. Znamię Willema nie było trądem. W przeciągu paru tygodni Maggie wyleczyła je za pomocą okładów z pewnego znanego jej ziela. Nie jest to właściwie rzeżucha, lecz grubolistna roślina rosnąca na obrzeżach lasu, która nadaje się także do jedzenia, chociaż ma się po niej dziwne sny, ale my i tak nazywamy ją rzeżuchą. Prawdę powiedziawszy, wyleczyła go nie tylko dzięki okładom. Zamykała się razem z nim w izbie i śpiewała jakby jakieś kołysanki, robiąc przy tym przerwy, które mnie zdawały się nazbyt długie. Byłem zadowolony, a nawet stałem się spokojniejszy, kiedy Wiłem wyzdrowiał, ale zaraz potem zaczęła się kolejna irytująca historia z Hendrikiem. On i Maggie chodzili razem na długie przechadzki i słyszałem, jak rozmawiali o siedmiu kluczach, Hermesie Trismegistosie, jedności przeciwieństw i o innych niezbyt jasnych sprawach. Hendrik wybudował sobie solidną chatę bez okien, przeniósł tam kufer i przesiadywał w niej całymi dniami, często razem z Maggie. Widać było tylko unoszący się z komina dym. Chodzili też razem do jaskini i wracali z niej z kolorowymi kamieniami, które Hendrik nazywał „cynobrami”.

Dwaj Włosi przysparzali mi mniej zmartwień. Oni także spoglądali na Maggie błyszczącymi oczami, ale nie znali angielskiego i nie mogli z nią rozmawiać. Poza tym byli zazdrośni jeden o drugiego i spędzali dnie, wzajemnie się nadzorując. Andrea był pobożny i w krótkim czasie całą wyspę zappełnił figurami świętych z drewna i palonej gliny. Jedną glinianą Madonnę podarował także Maggie, ona jednak nie wiedziała, co z nią zrobić, i postawiła ją w kącie kuchni. Jednym słowem, było jasne, że tym czterem mężczyznom potrzeba było czterech kobiet. Pewnego dnia zwołałem ich i bez ogródek oświadczyłem, że jeśli któryś z nich dotknie Maggie, wyląduje w piekle, ponieważ nie wolno pożądać żony bliźniego. I że do piekła posłę go ja osobiście, nawet jeśli sam miałbym tam skończyć. Kiedy przypłynął Burton z ładownią wypełnioną tranem, wszyscy zgodnie i uroczyście zleciliśmy mu, żeby znalazł dla nich cztery żony, ale on zaśmiał się nam w twarz. Cóż sobie wyobrażamy? Czy wydaje nam się, że łatwo jest znaleźć kobiety gotowe zamieszkać pośród fok, na tej zapomnianej przez Boga wyspie, i poślubić czterech nieudaczników? Może gdybyśmy za nie zapłacili, ale czym? Z pewnością nie naszymi kielbasami w połowie z foki, a w połowie z wieprza, które śmierdziały rybą bardziej niż jego wielorybnik. Oddalił się i od razu odpłynął.

Tego samego wieczoru, tuż przed nadejściem nocy, usłyszeliśmy przerażający huk, jakby sama wyspa zatrzęsła się u swoich podstaw. W parę minut niebo pociemniało, a czarną chmurę, która je przesłoniła, podświetlał od dołu jakby jakiś ogień. Zobaczyliśmy, jak ze szczytu góry Snowdon wystrzeliły najpierw czerwone, sięgające nieba błyski, a potem wypłynął szeroki i powolny strumień rozpalonej lawy. Nie spływała w naszym kierunku, ale na południe, tocząc się od jednego urwiska do drugiego wśród gwizdów i trzaskania ognia. Po godzinie dotarła do morza, gdzie gasła, rycząc i wypuszczając słupy pary. Nikt z nas nigdy nie pomyślał, że Snowdon jest wulkanem, chociaż kształt jego szczytu, wraz z okrągłą kotliną, głęboką na co najmniej dwieście stóp, mógł nasuwać takie przypuszczenia.

Widowisko trwało przez całą noc, co jakiś czas uciszając się, a następnie odzyskując impet wraz z kolejną serią wybuchów. Zdawało się, że nigdy się to nie skończy. A jednak tuż przed nastaniem świtu nadciągnął ciepły wiatr ze wschodu, niebo się przejaśniło, a huk stopniowo

robił się coraz mniej potężny, aż wreszcie przeszedł w pomruk, a na końcu w ciszę. Pokrywa lawy z żółtej i świecącej zrobiła się czerwona jak żar, a wraz z nastaniem dnia wygasła.

Martwiłem się o świnię. Powiedziałem Maggie, żeby położyła się spać, a pozostałej czwórce, żeby poszli ze mną. Chciałem zobaczyć, co zmieniło się na wyspie.

Świniom nic się nie stało, ale wybiegły nam naprzeciw niczym nasi bracia (nie znoszę ludzi, którzy źle wyrażają się o świniach. Są to rozumne zwierzęta i jest mi ich żal, gdy muszę je zarżnąć). Na północno-zachodnim zboczu pootwierały się liczne szczeliny, dwie tak duże, że nie widać było ich dna. Południowo-zachodnią połąć Płaczącego Lasu pogrzebał wypływ lawy, a przylegający do niej pas wysechł i zajął się ogniem. Ziemia była pewnie cieplejsza niż niebo, ponieważ ogień strawił pnie aż do wnętrza korzeni, wyzerając w ich miejsce podziemne korytarze. Pokrywa lawy cała była upstrzona pękniętymi bańkami o brzegach ostrych jak odłamki szkła i wyglądała jak gigantyczna tarka do sera. Wychodziła z południowego brzegu krateru, który się zawałił, a północna krawędź, stanowiąca wierzchołek góry, miała teraz zaokrąglony grzbiet i wydawała się o wiele wyższa niż przedtem.

Kiedy stanęliśmy przed jaskinią Świętego Źródła, skamienieliśmy ze zdziwienia. To była inna grotta, całkiem odmieniona, jakby ktoś przetasował talię kart – wąska tam, gdzie wcześniej była szeroka, niska tam, gdzie wcześniej była wysoka. W jednym miejscu strop się załamał i stalaktyty zamiast do dołu, sterczały z boku, niczym bocianie dzioby. W głębi, gdzie wcześniej była Czaszka Diabła, teraz znajdowała się ogromna komnata, niczym kopuła jakiegoś kościoła, jeszcze pełna dymu i trzasków, tak że Andrea i Gaetano chcieli za wszelką cenę zawracać. Posłałem ich po Maggie, żeby także i ona przyszła obejrzeć swoją pieczarę i, jak przewidywałem, zaraz przybiegła, dysząc ze zmęczenia i z emocji. Tamci dwaj zostali na zewnątrz, prawdopodobnie żeby modlić się do swoich świętych i klepać litanie. W jaskini Maggie biegła w tę i z powrotem niczym pies myśliwski, jak gdyby wzywały ją te głosy, które ponoć słyszała. W pewnej chwili wydała z siebie taki ryk, że wszystkim nam włosy stanęły dęba. W sklepieniu kopuły było pęknięcie, z niego zaś kapały krople, ale nie wody. Była to połyskliwa i ciężka ciecz, która spadała na skalne podłoże i wybuchała tysiącem kropelek, te zaś toczyły się daleko. Nieco niżej uformowała się kałuża i wtedy zrozumieliśmy, że to rtęć. Najpierw dotknął jej Hendrik, a potem także i ja. Była to materia zimna i żywa, poruszająca się małymi, jakby gniewnymi i niespokojnymi falami.

Hendrik wydawał się odmieniony. Wymieniał z Maggie szybkie spojrzenia, których znaczenia nie pojmowałem, i mówił nam rzeczy mroczne i pokrętne, które ona zdawała się rozumieć: że oto nadszedł czas, by rozpocząć Wielkie Dzieło, że tak jak niebo, tak i ziemia ma swoją rosę, a grotta pełna jest spiritus mundi. Potem otwarcie zwrócił się do Maggie i powiedział: „Przyjdź tu dziś wieczorem, zrobimy zwierza o dwóch grzbietach”⁴³. Zdjął z szyi łańcuszek z krzyżykiem z brązu i pokazał go nam. Do krzyża przybity był wąż. Hendrik rzucił krzyżyk w kałużę rtęci, a on unosił się na jej powierzchni.

Kiedy rozejrzeliśmy się dookoła, zobaczyliśmy, że rtęć wycieka ze wszystkich szczelin nowej jaskini, zupełnie jak piwo z nowych kadzi. Wyteżając słuch, można było usłyszeć jakby głuchy pomruk tysiąca metalicznych kropli, które odrywały się od sklepienia, żeby następnie rozbić się o ziemię, a także odgłos strumyków, które spływały, drgając niczym stopione srebro, i pogrążały się w szczelinach podłoża.

Prawdę powiedziawszy, Hendrik nigdy mi się nie podobał. Spośród całej czwórki był tym, który najmniej przypadł mi do gustu. Jednak w tej chwili budził we mnie także strach, złość i odrazę. W jego oczach czaił się złowrogi i migotliwy poblask, jak ten w samej rtęci. Zdawało się, jakby rtęć płynęła mu w żyłach i przenikała do oczu. Chodził po jaskini jak jakiś chochlik, ciągnąc Maggie za przegub ręki, zanurzał dłonie w kałużach rtęci, spryskiwał się

⁴³ Termin „zwierz o dwóch grzbietach” autor zapożyczył zapewne z utworu Franciszka Rabelais’go *Gargantua i Pantagruel*. Jak wynika z opowiadania *Fosfor*, książka ta była jedną z ważniejszych lektur młodego Primo Leviego.

nią i polewał sobie głowę, tak jak spragniony robiłby to z wodą. Niewiele brakowało, a byłby się jej napił. Maggie podążała za nim jak zaczarowana. Przez chwilę wytrzymałem, ale potem otworzyłem nóż, chwyciłem Hendrika za pierś i przycisnąłem do skalnej ściany. Jestem od niego o wiele silniejszy, więc pod moim naciskiem zrobił się wiotki jak żagle, kiedy opada wiatr. Chciałem wiedzieć, kim był, czego chciał od nas i od wyspy, a także o co chodziło z tą historią o zwierzu o dwóch grzbietach.

Wyglądał jakby zbudził się ze snu i nie kazał się długo prosić. Wyznał, że historia o zabitym sterniku była kłamstwem, ale nie było nim to, że w Holandii czeka go stryczek. Zaproponował Stanom Generalnym, że przemieni w złoto piasek z wydm, otrzymał zapłatę w wysokości stu tysięcy guldenów, z których nieco wydał na eksperymenty, a resztę na hulanki. Potem zaś poproszono go, żeby wykonał przed mężami zaufania coś, co on sam nazywał *experimentum crucis*. Jednak z tysiąca funtów piachu nie udało mu się wycisnąć więcej niż dwa okruchy złota. Wskoczył więc przez okno, ukrył się w domu swojej kochanki, a potem po kryjomu wślizgnął się na pokład pierwszego lepszego statku, który odpływał w kierunku przylądka. W kufrze miał cały swój sprzęt alchemika. Jeśli zaś chodzi o zwierza, to powiedział mi, że nie jest to coś, co można wytłumaczyć w dwóch słowach. Rtęć byłaby niezbędna dla ich pracy, ponieważ jest lotnym duchem pod stałą postacią, a więc pierwiastkiem żeńskim, który w połączeniu z siarką, czyli gorącą, męską ziemią, pozwala otrzymać jajo filozoficzne. To jest właśnie ów zwierz o dwóch grzbietach, ponieważ to w nim są połączeni i zmieszani mężczyzna i kobieta. Niezła gadka, prawda? Doprawdy jasna i prosta mowa godna alchemika i oczywiście nie uwierzyłem w ani jedno słowo. To oni dwoje byli bestią o dwóch grzbietach, on i Maggie. On szary i włochaty, ona biała i gładka, w jaskini lub Bóg wie gdzie, może nawet w naszym łóżku, kiedy ja doglądałem świń. Śpieszno im było, by ją stworzyć, pijanym tą swoją rtęcią, o ile już wcześniej tego nie zrobili.

Może i mnie krążyła już rtęć w żyłach, ponieważ w tym momencie widziałem wszystko na czerwono. Maggie, po dwudziestu latach małżeństwa, nie obchodziła mnie znowu tak bardzo, ale w tej chwili paliło mnie pożądanie i byłem gotów urządzić rzeź. A jednak opanowałem się. Co więcej, trzymałem jeszcze Hendrika mocno przypartego do muru, kiedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Zapytałem go, ile jest warta rtęć. On, przy swoim zawodzie, powinien był to wiedzieć.

– Dwanaście funtów za szesnaście uncji – odpowiedział mi jednym tchem.

– Przysięgnij!

– Przysięgam! – odpowiedział, podnosząc dwa kciuki i spluwając przez nie na ziemię. Może był to ich sposób składania przysięgi, tych zaklinaczy metali, miał jednak mój nóż tak blisko gardła, że z pewnością mówił prawdę. Puściłem go, a on, ciągle jeszcze przestraszony, wytłumaczył mi, że surowa rtęć, taka jak nasza, jest niewiele warta, ale że można ją oczyścić poprzez destylację, zupełnie jak whisky. Robi się to w żeliwnej lub glinianej retorcie, następnie rozłupuje retortę i w tym, co pozostanie, można znaleźć ołów, często srebro, a czasem i złoto. Był to ich sekret, ale on robi to dla mnie, jeśli obiecuję, że włos mu z głowy nie spadnie.

Niczego mu nie obiecałem, ale za to powiedziałem, że rtęcią zamierzam zapłacić za cztery żony. Wykonanie retorty i naczyń z gliny musi być prostsze niż przemienienie w złoto holenderskiego piachu. Więc niech zabiera się do roboty, zbliżała się bowiem Wielkanoc i wizyta Burtona. Na Wielkanoc chciałem mieć gotowych czterdzieści słoików, po pół kwarty czystej rtęci każdy, wszystkie miały być identyczne, z piękną nakrętką, gładkie i okrągłe, ponieważ także oku coś się należy. Niech weźmie sobie do pomocy pozostałych i ja sam też mu pomogę. Jeśli chodzi o wypalanie retort i słoików, niech się nie martwi: mieliśmy piec, w którym Andrea wypiekał swoich świętych.

Destylacji nauczyłem się od razu i w ciągu dziesięciu dni słoje były gotowe. Miały tylko pół kwarty objętości, ale mieściło się w nich siedemnaście pełnych funtów, tak że z trudem

dawało się je unieść na wyprostowanym ramieniu, a kiedy się nimi potrząsało, wydawało się, jakby w środku miotał się jakiś żywy zwierz. Jeśli zaś chodzi o surową rtęć, niewiele było potrzeba. W jaskini można się było w niej pławić, kąpała na głowy i ramiona, a po powrocie do domu znajdowaliśmy ją w kieszeniach, w butach, a nawet w łóżku, i wszystkim po trochu uderzała do głowy. Do tego stopnia, że zaczynało nam się wydawać zupełnie naturalne, że mieliśmy wymienić ją na kobiety. To doprawdy dziwna substancja. Jest zimna i ruchliwa, zawsze niespokojna, ale kiedy zastyga, można się w niej przejrzeć lepiej niż w lustrze. Jeśli zamieszać ją w misce, dalej kręci się już sama przez prawie pół godziny. Unosi się na niej nie tylko świętokradczy krzyżyk Hendrika, ale też kamienie, a nawet ołów.

Złoto nie. Maggie spróbowała ze swoją obrączką, ale od razu zatonała i kiedy ją wyłowiliśmy, zrobiła się jak z cyny. Jednym słowem była to materia, która mi się nie podobała i śpieszyłem się, by zakończyć interes i się od niej uwolnić.

Na Wielkanoc przyplłynął Burton, odebrał czterdzieści słoje porządnie opieczętowanych woskiem i gliną, po czym odpłynął, nie czyniąc żadnych obietnic. Pewnego wieczoru, gdzieś tak pod koniec jesieni, dostrzegliśmy jego żagiel, który zarysował się pośród deszczu, po czym urósł, a na końcu zniknął w szarym powietrzu i w ciemnościach. Myśleliśmy, że Burton czeka na nadejście dnia, żeby przycumować, jak to zwykle robił. Ale rankiem nie było śladu ani po nim, ani po jego wielorybniku. Za to na plaży stały, przemoknięte i zmarznięte, cztery kobiety i jeszcze do tego dwoje dzieci, z zimna i z onieśmienia ściśnięte razem w trzódkę. Jedna z nich bez słowa podała mi list od Burtona. Było tego kilka linijek. Pisał, że aby znaleźć cztery kobiety dla czterech nieznanymi mężczyzn na opuszczonej wyspie, musiał oddać całą rtęć i nic mu nie zostało na opłatę za pośrednictwo, więc zwrócimy mu ją, w rtęci albo w słoninie, w wysokości 10 procent, podczas jego kolejnej wizyty. Nie były to kobiety pierwszego sortu, ale nie znalazł nic lepszego i wołał szybko je wysadzić i wrócić do swoich wielorybów, żeby nie brać udziału w niesmacznych kłótniach. I chociaż nie był ani rajfurem, ani stręczycielem, ani nawet księdzem, żeby udzielić nam ślubu, mimo wszystko radził nam, byśmy udzieliłi go sobie sami, najlepiej jak potrafimy, dla zbawienia naszych dusz, których los i tak wydawał mu się niemalże przesądzony.

Zawołałem na zewnątrz pozostałą czwórkę i chciałem zaproponować im, żeby ciągnęli losy, ale od razu spostrzegłem, że nie było takiej potrzeby. Jedna z kobiet – tłustawa mulatka w średnim wieku, z blizną na czole, natarczywie przyglądała się Willemowi, a Willem przypatrywał się jej z zaciekawieniem. Kobieta mogłaby być jego matką. Powiedziałem do Willema: „Chcesz ją? Więc bierz!”, a on ją złapał. Ja zaś naprędce udzieliłem im ślubu, to znaczy zapytałem ją, czy chce jego, a jego, czy chce ją, ale nie pamiętałem dokładnie formuły „w bogactwie i biedzie, w zdrowiu i chorobie”, więc wymyśliłem ją sobie ad hoc, kończąc słowami: „aż śmierć nie nadejdzie”, co – jak mi się wydawało – zabrzmiało całkiem niezłe. Właśnie kończyłem z tą dwójką, kiedy zorientowałem się, że Gaetano wybrał sobie krzywooką dziewczynę, a może to ona wybrała jego, i oddalali się biegiem pośród deszczu, trzymając się za ręce, tak że musiałem ruszyć za nimi w pogoń i udzielić im ślubu z daleka. Spośród dwóch, które pozostały, Andrea wybrał sobie czarnulkę, około trzydziestoletnią, ładniutką, a nawet elegancką, w kapeluszu z piór i w przemoczonym strusim boa, ale o dość podejrzanym wyglądzie. Udzieliłem ślubu także i im, chociaż miałem jeszcze urywany oddech po wcześniejszym pościgu.

Pozostał Hendrik i niska, szczupła dziewczyna, która była matką owych dwojga dzieci. Miała szare oczy i rozglądała się dookoła, jakby ta scena w ogóle jej nie dotyczyła, ale ją bawiła. Nie patrzyła na Hendrika, tylko na mnie. Hendrik patrzył na Maggie, która dopiero co wyszła z baraku i jeszcze nie zdjęła lokówek. Maggie zaś patrzyła na Hendrika. Wtedy przyszło mi do głowy, że dwoje dzieci mogłoby mi pomagać w doglądaniu świń, a Maggie z pewnością nie da mi już potomstwa, że Hendrikowi i Maggie byłoby razem dobrze, i mogliby robić tego swojego zwierza o dwóch grzbietach i swoje destylacje. Szarooka dziewczyna nie

wydawała się zła, chociaż była ode mnie sporo młodsza, a nawet wzbudzała we mnie uczucie wesołości i lekkości, jakby łaskotania, i sprawiała, że miałem ochotę schwytać ją w locie niczym motyla. Tak więc zapytałem, jak się nazywa, po czym zapytałem siebie na głos, w obecności świadków: „Czy ty, kapralu Danielu K. Abrahams, chcesz pojąć za żonę tę oto Rebeckę Johnson?”. Odpowiedziałem sobie, że tak, a ponieważ dziewczyna nie miała nic przeciwko, zostaliśmy mężem i żoną.

FOSFOR

W czerwcu 1942 roku rozmówiłem się otwarcie z Porucznikiem i Dyrektorem. Zdawałem sobie sprawę, że moje działania stają się bezużyteczne. Oni także to rozumieli i poradzili, żebym rozejrzał się za inną pracą, w jednej z niewielu niszy, do jakich jeszcze dopuszczają mnie prawo.

Prowadziłem bezowocne poszukiwania, kiedy pewnego ranka, rzecz niezwykle rzadka, zawołano mnie do telefonu w kamieniołomach. Po drugiej stronie kabla jakiś mediolański głos, który wydał mi się szorstki i energiczny i twierdził, że należy do doktora Martiniego, wzywał mnie na spotkanie w najbliższą niedzielę do Hotelu Suisse w Turynie, nie zaszczycając mnie przy tym żadną bliższą informacją. Powiedział jednak Hotel Suisse, a nie Hotel Szwajcarski, jak zrobiłby to prawomyślny obywatel. W tamtej epoce, czyli w czasach Staracego, człowiek stawał się bardzo wyczulony na podobne detale, uszy zaś były nawykłe, by wylapywać pewne brzmienia.

W holu (o, przepraszam: w westybulu) Hotelu Suisse, anachronicznej oazie aksamitów, półcieni i kotar, oczekiwał mnie doktor Martini, który – jak chwilę wcześniej dowiedziałem się od portiera – znany był przede wszystkim jako Komandor⁴⁴. Był to człowiek krępy, pod sześćdziesiątkę, średniego wzrostu, śniady, niemalże łyśy. Rysy jego twarzy były toporne, jednak oczy miał małe i sprytne, usta zaś, trochę wykrzywione w lewo jakby w pogardliwym grymasie, wąskie niczym cięcie. Podobnie jak Porucznik i Dyrektor również Komandor już od pierwszych słów okazał się typem zwięzłym. Zrozumiałem wtedy, że ów dziwny pośpiech wielu Włochów – Aryjczyków w kontaktach z Żydami nie był przypadkowy. Czy był intuicyjny, czy też wyrachowany, miał tylko jedną przyczynę: wobec Żyda, w czasach obrony rasy, można było być miłym, można mu było nawet pomóc, a nawet (ostrożnie) chwalić się, że mu się pomogło. Było jednak lepiej nie utrzymywać z nim ludzkich kontaktów, do końca się nie odsłaniać, żeby potem nie być zmuszonym do okazania zrozumienia lub współczucia.

Komandor zadał mi niewiele pytań, wymijająco odpowiedział na moje liczne wątpliwości i okazał się człowiekiem konkretnym w dwóch fundamentalnych kwestiach. Proponowane przez niego początkowe wynagrodzenie zamykało się w kwocie, której ja sam nie śmiałybym zażądać i wobec której oniemiałem. Po drugie, jego przedsiębiorstwo było szwajcarskie, co więcej, on sam był Szwajcarem (wymawiał „Szwajsarem”), tak więc jeśli chodziło o moje ewentualne zatrudnienie, nie było żadnych problemów. Ta jego szwajcarskość, zadeklarowana z tak natarczywym akcentem mediolańskim, wydała mi się dziwna i, mówiąc szczerze, zabawna. Natomiast jego nadmierną powściągliwość uznałem za uzasadnioną.

Fabryka, której był właścicielem i dyrektorem, znajdowała się w okolicach Mediolanu i właśnie do Mediolanu miałbym się przeprowadzić. Produkowano w niej ekstrakty hormonalne, ja jednak zajmowałbym się konkretnym problemem, to znaczy poszukiwaniem skutecznego doustnego lekarstwa na cukrzycę. Czy wiedziałem coś o cukrzycy? Niewiele, odpowiedziałem, ale mój dziadek ze strony matki zmarł na cukrzycę, a także od strony ojca wielu moich wujów, legendarnych pożeraczy makaronu, na starość przejawiało jej symptomy. Słyszac to, Komandor zrobił się uważniejszy, a jego oczy jeszcze mniejsze. Później

⁴⁴ Komandor (wł. *Commendatore*) – we Włoszech tytuł honorowy nadawany wraz z orderem obywatelom za wybitne zasługi.

zrozumiałem, że ponieważ skłonności do cukrzycy są dziedziczne, było mu na rękę mieć do dyspozycji autentycznego cukrzyka rasy ludzkiej z grubsza rzecz biorąc, na którym mógłby wypróbować pewne swoje pomysły i preparaty. Powiedział, że oferowana mi pensja szybko wzrośnie, laboratorium jest nowoczesne, dobrze wyposażone i przestronne, a w fabryce znajduje się biblioteka z ponad dziesięcioma tysiącami pozycji. Na końcu, zupełnie niczym magik wyciągający z cylindra królika, dodał, że może tego nie wiem (i rzeczywiście nie wiedziałem), ale w jego laboratorium, nad tym samym zagadnieniem, pracuje już pewna dobrze znana mi osoba, moja koleżanka ze studiów, moja znajoma, która właśnie mu o mnie powiedziała: Giulia Vineis. Miałem więc podjąć decyzję na spokojnie. Mogłem zastać go w Hotelu Suisse w niedzielę za dwa tygodnie.

Już następnego dnia zwolniłem się z kamieniołomów i przeprowadziłem do Mediolanu, zabierając parę przedmiotów, które uważałem za niezbędne: rower, Rabelais'go, *Macaroneae*⁴⁵, *Moby Dicka* w tłumaczeniu Pavese'go i kilka innych książek, czekan, linę wspinaczkową, suwak logarytmiczny oraz flet podłużny.

Wygląd laboratorium Komandora ani trochę nie odbiegał od jego opisu. Było niczym dwór królewski w porównaniu z laboratorium kamieniołomów. Zostałem, przygotowane już na moje przyjście, blat, wyciąg, biurko, szafkę ze szkłem oraz nieludzką ciszę i porządek. „Moje” szkła były oznaczone kropką niebieskiej farby, żebym nie pomylił ich ze szklami z pozostałych szafek, a także dlatego, że „u nas za szkła stłuczone się płaci”. Było to zresztą jedno z wielu zaleceń, jakie Komandor przekazał mi na wejściu. Z kamienną twarzą przedstawił je jako „szwajcarską precyzję”, ducha laboratorium i całej fabryki, mnie jednak wydawały się stekiem idiotycznych utrudnień na pograniczu manii prześladowczej.

Komandor wytłumaczył mi, że działalność fabryki, a szczególnie to, czego dotyczyło zadanie, jakie miał zamiar mi powierzyć, musiały być chronione przed ewentualnymi szpiegami przemysłowymi. Tymi szpiegami mogli być obcy, a także urzędnicy i robotnicy samego zakładu, pomimo środków ostrożności, jakie stosował przy ich zatrudnieniu. Dlatego miałem z nikim nie rozmawiać na temat zleconej mi pracy ani o tym, co mogło z niej wyniknąć. Nawet z moimi kolegami, co więcej, z nimi w szczególności. Z tego powodu każdy pracownik miał swoje indywidualne godziny pracy, które korespondowały z porą kursowania miejskiego tramwaju: A wchodził o 8.00, B o 8.04, C o 8.08 i tak dalej, i analogicznie przy wyjściu, tak żeby nigdy dwóch kolegów nie miało okazji podróżować tym samym składem. Za spóźnione wejścia i za przedwczesne wyjścia groziły dotkliwe kary.

Ostatnia godzina pracy, choćby nie wiem, co się działo, miała być przeznaczona na demontaż, mycie i odstawienie na miejsce szkła w taki sposób, aby nikt wchodzący po godzinach nie był w stanie wydedukować, jakie czynności wykonywano w ciągu dnia. Co wieczór należało sporządzić dzienną relację i dostarczyć ją w zaklejonej kopercie Komandorowi do rąk własnych albo pannie Loredanie, która była jego sekretarką.

Obiad mogłem jeść, gdzie chciałem, Nie było jego zamiarem zamykać pracowników w fabryce podczas popołudniowej przerwy. Niemniej jednak, jak sam powiedział (i tu usta wygięły mu się bardziej niż zwykle i do tego zrobiły się jeszcze węższe), w okolicy nie było dobrych lokali. Radził mi, bym wyposażył się w sprzęt potrzebny, by jadać obiady w laboratorium, i żebym przynosił sobie z domu produkty, a jakaś robotnica zajmie się gotowaniem.

Jeśli chodzi o bibliotekę, to zasady korzystania z niej były niezwykle surowe. Pod żadnym pozorem nie wolno było wynosić książek poza teren fabryki, można było przeglądać je tylko za pozwoleniem bibliotekarki, panny Paglietty. Podkreślenie choćby jednego wyrazu, a nawet postawienie znaku piórem lub ołówkiem, było poważnym wykroczeniem. Panna Paglietta miała obowiązek skontrolować tom w momencie jego zwrotu, strona po stronie, a jeśli

⁴⁵ Dzieło szesnastowiecznego pisarza włoskiego Teofila Folenga zawierające pisma makaroniczne.

znalazłaby jakiś znak, egzemplarz miał być zniszczony i wymieniony na koszt winowajcy. Zakazane było także zostawianie między stronami zakładki, czy też zaginanie rogów kartek. „Ktoś” mógłby odczytać z nich wskazówki dotyczące celów badawczych i działalności fabryki, jednym słowem, złamać jej tajemnicę. Było logiczne, że w ramach tego systemu klucze miały fundamentalne znaczenie. Wieczorem wszystko musiało zostać zamknięte na klucz, nawet waga analityczna, klucze zaś złożone u portiera. Komandor miał klucz, który otwierał wszystkie zamki.

Te zabezpieczenia w postaci nakazów i zakazów uczyniłyby mnie trwale nieszczęśliwym, gdybym wchodząc do laboratorium, nie zastał w nim Giulii Vineis, która zupełnie spokojnie siedziała przy swoim blacie. Nie była zajęta pracą, tylko cerowaniem skarpet i wyglądała, jakby na mnie czekała. Przyjęła mnie z życzliwą poufałością i pełnym dwuznacznym półuśmiechem.

Na uniwersytecie przez cztery lata byliśmy kolegami i razem uczęszczaliśmy na wszystkie ćwiczenia w laboratorium, niezwykle sprzyjające kojarzeniu związków, nigdy jednak nie połączyła nas tego typu relacja. Giulia była brunetką, drobną i energiczną. Miała brwi wygięte w elegancki łuk, gładką i szpiczastą twarz, żwawe, ale precyzyjne ruchy. Była bardziej otwarta na praktykę niż teorię, miała w sobie dużo ludzkiego ciepła, była katoliczką, ale nie dewotką, osobą hojną oraz bałaganiarą. Mówiła zachrypniętym i znużonym głosem, jakby była już ostatecznie zmęczona życiem, co nie było prawdą. Przebywała tutaj już prawie od roku i to ona wspomniała o mnie Komandorowi. Wiedziała coś niecoś na temat mojej niepewnej sytuacji w kamieniołomach, sądziła, że nadawałbym się do tej pracy, a poza tym, dlaczego by tego nie przyznać, miała już dosyć siedzenia w samotności. Ale żebym nie robił sobie nadziei. Była zaręczona, zaręczona na poważnie, taka skomplikowana i burzliwa historia, którą kiedyś mi wyjaśni. A ja? Nic? Żadnych dziewczyn? To niedobrze. Już ona zadba, by mi w tym dopomóc, prawa rasowe czy nie prawa rasowe. Takie tam gadanie, jakież mogły mieć znaczenie?

Przykazała mi, bym nie brał za bardzo do siebie fanaberii Komandora. Giulia była jedną z tych osób, które pozornie nie zadając pytań i bez zbytej fatygi, od razu wiedzą wszystko o wszystkich, co mnie, nie wiedząc czemu, się nie zdarza. Dlatego była doskonałą przewodniczką i tłumaczką. W ciągu jednego tylko posiedzenia nauczyła mnie podstawowych rzeczy, zasad działania maszyny kryjącej się za scenografią fabryki oraz ról pierwszoplanowych postaci. Komandor był właścicielem, chociaż podległym innym tajemniczym właścicielom z Bazylei. Jednak osobą, która naprawdę dowodziła, była Loredana (i wskazała mi ją z okna na podwórzu: wysoką brunetkę o obfitych kształtach, nieco wulgarną i przywiedłą), jego sekretarka i kochanka. Mieli willę nad jeziorem, a on, który był „stary, ale jary”, woził ją żaglówką. W biurach dyrekcji znajdowały się zdjęcia, czy ich nie zauważyłem? Również pan Grasso z działu personalnego kręcił się koło Loredany, ale na tę chwilę jej, Giulii, nie udało się ustalić, czy już poszli ze sobą do łóżka, czy jeszcze nie. Będzie informowała mnie na bieżąco. Życie w tej fabryce nie było trudne. Trudno było w niej pracować z powodu owych komplikacji. Wyjście było proste – wystarczyło nie pracować. Ona od razu zorientowała się w sytuacji i w ciągu roku, odłożyła na bok skromność, nie zrobiła prawie nic, jedynie montowała rano aparaturę, ot tak, żeby oko mogło się nacieszyć, a wieczorem składała ją zgodnie z zaleceniami. Dzielne sprawozdania sporządzała według fantazji. Oprócz tego szykowała sobie wyprawę, wysypiała się do woli, pisywała sążniste listy do narzeczonego i wbrew zaleceniom nawiązywała rozmowę z każdym, kto tylko się natoczył: z Abrogim, półgłupkiem, który opiekował się królikami doświadczalnymi, z Michelą, która trzymała klucze i prawdopodobnie była wtyczką Partii Faszystowskiej, z Varisco, robotnicą, która według słów Komandora miała gotować mi obiady, z Maiocchim, legionistą hiszpańskim, wypomadowanym kobieciarzem oraz, na równi ze wszystkimi, z

bladym i galaretowatym Moiolim, który miał dziewięcioro dzieci, przynależał do Partii Ludowej, a faszyci przetrącili mu kijem kręgosłup.

Varisco, uściśliła, była jej beniaminkiem. Była do niej przywiązana i jej oddana, robiła, co tylko Giulia kazała, wliczając w to wyprawy do działu produkcji organoterapii (osobom nieupoważnionym wstęp wzbroniony), z których wracała z wątrobami, mózdkami, nadnerczami i innymi drogocennymi podrobami. Varisco także była zaręczona i pomiędzy nimi dwiema panowały głęboka solidarność i intensywna wymiana osobistych zwierzeń. Od Varisco, która jako sprzątaczką miała dostęp do wszystkich oddziałów, Giulia dowiedziała się, że także produkcję szczelnie okuto antyszpiegowską zbroją. Wszystkie rury z wodą, parą, gazem, naftą i tak dalej biegły w szybach lub były zamurowane i pozostawiono jedynie dostęp do zaworów. Maszyny były przykryte zmyślnymi pokrywami i zamykane na klucz. Wskaźniki termometrów i manometrów nie miały podziałek, a jedynie kolorowe, umowne oznaczenia.

Oczywiście, jeżeli ja miałem ochotę pracować, jeśli interesowały mnie badania nad cukrzycą, to proszę bardzo, i tak będziemy żyli w zgodzie. Żeby jednak nie liczył na jej współpracę, bo miała inne sprawy na głowie. Mogłem za to liczyć na nią i na Varisco, jeśli chodzi o gotowanie. Obydwie musiały się wprawiać w związku z perspektywą małżeństwa i miały przygotowywać mi potrawy, dzięki którym zapomnę o kartkach i racjonowaniu żywności. Przyrządzanie skomplikowanych dań w laboratorium nie wydawało mi się zbytnio zgodne z przepisami. Jednak Giulia powiedziała, że do tego laboratorium – oprócz pewnego tajemniczego eksperta z Bazylei, który wyglądał jak zabalsamowany i przyjeżdżał raz w miesiącu (poprzedzany zresztą głośnymi zapowiedziami), rozglądał się dookoła, jakby znalazł się w muzeum, po czym wychodził, nie wypowiedziawszy nawet jednego słowa – nie zaglądała żadna żywa dusza. Można było robić, co tylko się chciało, byleby nie zostawiać po sobie śladów. Odkąd sięgała pamięcią, Komandor nigdy nie postawił tu swojej stopy.

W kilka dni po moim przyjęciu Komandor wezwał mnie do biura dyrekcji i przy tej okazji zauważyłem, że owe zdjęcia z żaglówką, zresztą całkiem stosowne, faktycznie tam się znajdowały. Oświadczył, że nadszedł czas, by przejść do sedna sprawy. Pierwszą rzeczą, jaką miałem zrobić, to udać się do biblioteki i poprosić pannę Pagliettę o rozprawę o cukrzycy Kerna. Znałem niemiecki, czyż nie? Dobrze, a zatem będę mógł przeczytać ją w oryginale, a nie w okropnym przekładzie francuskim, który zamówili ci z Bazylei. On sam, przyznawał, przeczytał tylko przekład, nie rozumiejąc z tego zbyt wiele, ale wynosząc przekonanie, że doktor Kern zna się na rzeczy. Byłoby pięknie, gdybyśmy to my jako pierwsi zastosowali jego idee w praktyce. Zapewne Kern pisał w sposób nieco pokrętny. Jednak tym z Bazylei, a szczególnie zabalsamowanemu ekspertowi, na owym doustnym lekarstwie na cukrzycę wyjątkowo zależało. Zatem miałem wziąć Kerna i uważnie przeczytać, a potem razem o tym pomówimy. Teraz zaś, żeby nie tracić czasu, mogłem zabierać się do pracy. Jego liczne obowiązki nie pozwoliły mu poświęcić tekstowi należytej uwagi, jednak wyłuskał z niego dwie fundamentalne teorie, które można by wypróbować w praktyce.

Pierwsza teoria dotyczyła antocyjanów. Antocyjany, jak powszechnie wiadomo, są pigmentami kwiatów czerwonych i niebieskich. To substancje łatwo podlegające oksydacji i dezoksydacji, tak samo jak glukoza, a cukrzyca to nic innego jak zaburzenia w utlenianiu glukozy. A zatem za pomocą antocyjanów można było spróbować przywrócić właściwą oksydację glukozy. Płatki chabrów są bogate w antocyjany. Do naszych celów kazał wysiać całe pole chabrów, zebrać ich płatki i wysuszyć na słońcu. Miałem spróbować otrzymać z nich ekstrakty, podać je królikom i zbadać poziom cukru w ich krwi.

Druga teoria była równie niejasna, uproszczona i zawiła jednocześnie. Według doktora Kerna, w lombardzkiej interpretacji Komandora, kwas fosforowy miał fundamentalne znaczenie w wymianie węglowodanów i w tej kwestii nie można było się z nim nie zgodzić. Mniej przekonująca była hipoteza wysnuta przez samego Komandora, a oparta na mglistych

podstawach Kernowskich, jakoby wystarczyło podać cukrzykowi odrobinę fosforu pochodzenia roślinnego, żeby uregulować jego zbuntowany metabolizm. W tamtych czasach byłem jeszcze na tyle młody, by sądzić, że opinie przełożonego można zmienić. Dlatego wysunąłem jedną czy dwie obiekcje, ale od razu spostrzegłem, że pod ich wpływem Komandor twardniał niczym miedziana blacha pod uderzeniem młotka. Uciał dyskusję i tym swoim autorytarnym tonem, który każdą propozycję przemieniał w rozkaz, poradził mi, bym przebadał większą ilość roślin, wybrał te najbogatsze w fosfor organiczny i po prostu zrobił z nich ekstrakt, a potem, też po prostu, podał go królikom. Miłej pracy i miłego dnia.

Kiedy zdałem Giulii sprawozdanie z rozmowy, jej reakcja była natychmiastowa i pełna zarzutów. Stary zwariował, ale to ja go sprowokowałem, zapuszczając się na jego terytorium i od samego początku pokazując, że biorę go całkiem poważnie. Dobrze mi tak, teraz muszę sobie z tym poradzić, razem z moimi chabrami, fosforem i królikami. Według niej kupczyłem własną pracą pod wpływem starczych mrzonek Komandora, a cała ta mania pracy brała się stąd, że nie miałem dziewczyny. Gdybym miał dziewczynę, myślałbym o niej, a nie o antocyjanach. Doprawdy szkoda, że ona, Giulia, nie była wolna, ponieważ zdawała sobie sprawę, jakim jestem typem – jednym z tych, którzy nie wykazują inicjatywy, a wręcz umykają i trzeba ich prowadzić za rączkę, rozplątując jeden supełek po drugim. No cóż, w Mediolanie mieszkała jej kuzynka, także nieco nieśmiała. Już jakoś to urządzi, żebyśmy się poznali. Ale ja też, do diaska, musiałem się postarać. Serce jej pękało, kiedy widziała, jak ktoś taki jak ja poświęca królikom najlepsze lata swojej młodości. Ta Giulia była trochę czarownicą, czytała z ręki, chodziła do wróżek i miewała prorocze sny. Wielokrotnie ośmielałem się przypuszczać, że ten jej pośpiech, by uwolnić mnie od odwiecznego strapienia i by jak najszybciej dostarczyć mi choćby skromnej porcji radości, brał się z jej mrocznego przecucia co do tego, jaką przyszłość szykowało mi moje przeznaczenie i że podświadomie starała się pchnąć je na inne tory.

Poszliśmy razem zobaczyć *Ludzi we mgle*, którzy wydali nam się wspaniali. Wyznaliśmy sobie wzajemnie, że oboje odnaleźliśmy się w bohaterach filmu: szczupła i czarna Giulia w eterycznej Michele Morgan o zimnym jak lód spojrzeniu, ja, łagodny i uległy, w Jeanie Gabinie, dezenterze, uwodzicielskim i zuchwałym, który zostaje zamordowany. Bez sensu, a poza tym tamtych dwoje się kochało, a my nie, prawda?

Kiedy film dobiegał końca, Giulia oświadczyła, że odprowadzę ją do domu. Miałem iść do dentysty, ale Giulia powiedziała: „Jeśli mnie nie odprowadzisz, zawołam «Precz z łapami, ty Świnio!»». Próbowałem się sprzeciwić, ale Giulia nabrała powietrza i w ciemności sali zaczęła: „Precz z...”. Więc zatelefonowałem do dentysty i odprowadziłem ją pod sam dom.

Giulia była niczym lwica, zdolna podróżować dziesięć godzin na stojąco pociągiem z uciekającą ludnością po to, żeby spędzić dwie godziny razem ze swoim mężczyzną. Promieniała szczęściem, jeśli udało jej się wejść w zacięty pojedynek słowny z Komandorem albo Loredaną. Bała się jednak owadów i piorunów. Wołała mnie, bym wyrzucił pajęczka z błatu, przy którym pracowała (nie wolno mi go było jednak zabić, musiałem umieścić go w naczynku wagowym i wynieść na zewnątrz, na trawnik). Dzięki temu wydawałem się sobie męski i silny jak Herkules zmagający się z Hydrą lernejską, a równocześnie wodzony na pokuszenie, ponieważ wyczuwałem kobiecy ładunek owej prośby. Nadciągnęła gwałtowna burza, Giulia wytrzymała przy dwóch piorunach, ale po trzecim przybiegła do mnie szukać schronienia. Czuję ciepło jej ciała wspartego o moje, przyprawiające o zawrót głowy, nowe, znane jedynie ze snów, ale nie odwzajemniłem uścisku. Może gdybym to zrobił, nasze przeznaczenia z hukiem wypadłyby ze swoich torów i potoczyły się w stronę zupełnie nieprzewidywalnej, wspólnej przyszłości?

Bibliotekarka, której nigdy wcześniej nie widziałem, stała na straży zbiorów niczym pies podwórkowy, jeden z tych, które celowo doprowadza się do złości głodem i więzieniem na łańcuchu. Albo jeszcze lepiej jak stara, bezzębna kobra, wyblakła przez stulecia spędzone w

ciemnościach, strzegąca skarbu króla w *Księdze dżungli*. Panna Paglietta, biedaczka, wyglądała niemalże jak *Lusus naturae*⁴⁶: była niska, pozbawiona biustu oraz bioder, woskowo blada, smutna i przerażająco krótkowzroczna. Nosła soczewki tak grube i wklęsłe, że gdy patrzyło się na nią od przodu, jej jasnoniebieskie, niemalże białe oczy wydawały się przyklejone do dna czaszki. Wyglądała, jakby nigdy nie była młoda, choć z pewnością nie miała więcej niż trzydzieści lat, i jakby urodziła się właśnie tu, w mroku, pośród nieokreślonego zapachu pleśni i stęchlizny. Nikt niczego na jej temat nie wiedział. Sam Komandor wypowiadał się o niej często z pełną złości bezwzględnością, a Giulia przyznawała, że nienawidzi jej instynktownie, bez powodu i bez litości, tak jak lis nienawidzi psa. Mówiła, że cuchnie naftaliną i ma twarz osoby cierpiącej na zatwardzenie. Panna Paglietta zapytała mnie, czemu proszę właśnie o Kerrna, chciała zobaczyć mój dowód osobisty, przyjrzała mu się nieprzychylnym spojrzeniem, kazała podpisać rejestr i z niechęcią powierzyła mi wolumin.

Była to dziwna książka. Wydawało się prawie niemożliwe, żeby mogła powstać albo zostać opublikowana gdzieś indziej niż w Trzeciej Rzeszy. Autor niekoniecznie był ignorantem, ale z każdej strony uderzała w oczy arogancja kogoś, kto wie, że jego twierdzenia nie zostaną podane w wątpliwość. Pisał, a raczej perorował, niczym nawiedzony wieszcz, jak gdyby metabolizm glukozy u diabetyka i u człowieka zdrowego został mu objawiony przez Jehowę na górze Synaj, albo raczej przez Odyna w zamku Walhalli. Może z przekory od razu poczułem w stosunku do teorii Kerrna zawziętą nieufność, jednak nic mi o tym nie wiadomo, żeby te trzydzieści lat, które upłynęły od tego czasu, doprowadziły do ich rehabilitacji.

Przygoda z antocyjanami wkrótce dobiegła końca. Rozpoczęła się fantazyjną inwazją chabrow, niezliczonymi workami delikatnych błękitnych płatków, suchych i kruchych niczym małe chipsy. Otrzymywało się z nich ekstrakty o zmiennych kolorach, malownicze jak same kwiaty, lecz wyjątkowo nietrwałe. Po paru dniach prób, zanim jeszcze zająłem się królikami, otrzymałem od Komandora pozwolenie, żeby sprawę umorzyć. Ciągłe wydawało mi się dziwne, że ten mężczyzna, Szwajcar mocno stąpający po ziemi, dał się przekabacić jakiemuś fanatycznemu wizjonerowi. Przy okazji ostrożnie napomknąłem mu o mojej opinii, odpowiedział jednak szorstko, że nie było moim zadaniem krytykować profesorów. Dał też do zrozumienia, że nie płacono mi za nic, i zachęcił, bym nie tracił czasu i natychmiast rozpoczął prace z fosforem. Był pewien, że fosfor zaprowadzi nas do olśniewających rezultatów. Więc do roboty z tym fosforem!

Zabrałem się do pracy bez zbytniego przekonania, pewny natomiast, że Komandor, a może nawet i sam Kern, ulegli niewiele wartemu urokowi nazw i przesądów. Rzeczywiście, nazwa „fosfor” jest bardzo piękna (oznacza „niosący światło”), on sam jest fosforyzujący, występuje w mózgu, a nawet w rybach i dla tego jedzenie ryb wpływa na inteligencję. Bez fosforu nie rosną rośliny. Fosfatynę i glicerofosfat podawano anemicznym dzieciom sto lat temu. Fosfor zawierają także główki od zapalek, które nieszczęśliwie zakochane dziewczęta zjadały, by popełnić samobójstwo. Występuje również w błędnych ognikach, owych gnilnych płomykach igrających przed przechodniem⁴⁷. Nie, nie jest to pierwiastek emocjonalnie neutralny. Było czymś zrozumiałym, że jakiś profesor Kerrn, na wpół biochemik, a na wpół czarnoksiężnik, w otoczeniu nazistowskiego dworu przesiąkniętego czarną magią nadał mu rangę medykamentu.

Nocą nieznanne ręce zostawiały mi na blacie niekończące się ilości roślin, jeden gatunek dziennie. Były to, o dziwo, gatunki pospolite i nie wiem, w jaki sposób je dobierano: cebula, czosnek, marchew, łopian, jagody, krwawnik, wierzba, szałwia, rozmaryn, dzika róża, jałowiec. Dzień po dniu określałem w nich zawartość fosforu nieorganicznego oraz fosforu w ogóle i czułem się jak osioł zaprzęgnięty do kieratu. Tak jak popadałem w uniesienie przy

⁴⁶ *Lusus naturae* (tac.) – dziw natury.

⁴⁷ Por. G. Carducci, *Davanti San Guido*.

analizie niklu w skale w moim poprzednim wcieleniu, tak teraz upokarzała mnie codzienna dawka fosforu, ponieważ praca, w którą się nie wierzy, staje się udręką. Ledwie rozweselała mnie obecność Giulii w pokoju obok, która śpiewała przyciszonym głosem: „już wiosna, obudźcie się dziewczeczki”⁴⁸ i gotowała, mieszając termometrem w balonach ze szkła Pyrex. Od czasu do czasu, prowokująca i szydercza, przychodziła, by obserwować moją pracę.

Zorientowaliśmy się, Giulia i ja, że owe nieznanne ręce pod naszą nieobecność pozostawiały w laboratorium ledwie zauważalne ślady. Szafka, wieczorem zamknięta na klucz, rankiem była otwarta. Jakiś statyw zmienił swoje położenie. Wyciąg, który zostawiliśmy otwarty, teraz był opuszczony. Pewnego deszczowego ranka, jak Robinson, odnaleźliśmy na podłodze odcisk gumowej podeszwy. „Przychodzi nocą kochać się z Loredaną”, zawyrokowała Giulia. Ja natomiast uważałem, że laboratorium, tak obsesyjnie porządkowane, musi służyć jeszcze jakimś innym, nieokreślonym i tajemniczym, szwajcarskim praktykom. Regularnie wtykaliśmy patyki po wewnętrznej stronie zamkniętych na klucz drzwi, prowadzących z produkcji do laboratorium. Rankiem patyki zawsze leżały na podłodze.

Po dwóch miesiącach dysponowałem około czterdziestoma wynikami badań. Roślinami z najwyższą zawartością fosforu były szaflwia, jaskółcze ziele i pietruszka. Wydawało mi się, że na tym etapie należałoby określić, w jaki sposób wiązał się w nich fosfor, i spróbować oddzielić komponent fosforowy. Jednak Komandor zadzwonił do Bazylei, po czym oświadczył, że nie ma czasu na takie drobiazgi. Miałem dalej produkować ekstrakty, wytwarzane naprędce za pomocą gorącej wody i praski, a potem, już skoncentrowane próżniowo, wprowadzać je do przełyku królików i kontrolować poziom cukru we krwi zwierząt.

Króliki nie są miłymi zwierzętami. Są jednymi z najmniej spokrewnionych z człowiekiem ssaków i może dlatego ich cechy charakteru odpowiadają cechom ludzi poniżonych i wykluczonych: są nieśmiałe, ciche i płochliwe, znają tylko jedzenie i seks. Jeśli nie liczyć paru wiejskich kotów poznanych w dzieciństwie, nigdy wcześniej nie dotykałem zwierzęcia i w stosunku do królików czułem obrzydzenie. Tak samo Giulia. Na szczęście Varisco, w przeciwieństwie do nas, żyła blisko zarówno z królikami, jak i z Ambrogiem, który się nimi zajmował. Pokazała nam, spoczywający w jednej z szuflad, niewielki asortyment przydatnych instrumentów. Była tam między innymi wąska i wysoka skrzynka bez przykrywki. Varisco wytłumaczyła, że króliki lubią się chować w norach i że jeśli weźmie się je za uszy (które są w ich przypadku naturalnym uchwytem) i wsadzi do skrzynki, czują się bezpieczniejsze i nie ruszają się z miejsca. W szufladzie znajdowały się też gumowa sonda i małe drewniane wrzeciono z poprzecznym otworem: należało wcisnąć je pomiędzy zęby zwierzęcia, a potem, poprzez otwór, bez pardonowo wsunąć sondę do gardła, popychając w dół, dopóki nie poczuje się, że dotknęła dna żołądka. Jeżeli nie włoży się drewnianka, królik przetnie sondę zębami, połknie ją i zdechnie. Dzięki sondzie można bez trudu podawać ekstrakty do żołądka za pomocą zwykłej strzykawki.

Następnie należy zmierzyć im poziom cukru we krwi. Tym, czym u myszy jest ogon, u królików są znowu uszy: mają grube i wystające żyły, które nabrzmiewają, gdy tylko się je potrze. Z nakłutej igłą żyły pobiera się kroplę krwi i nie zadając sobie pytań o celowość tylu zabiegów, przeprowadza się badanie metodą Creceliusa-Seiferta. Króliki albo mają stoicką naturę, albo są niezbyt czułe na ból. Żaden z tych gwałtów nie wydawał się sprawiać im cierpienia i zaraz po wpuszczeniu do klatki zabierały się z powrotem do skubania siana, a przy następnym zabiegu nie okazywały żadnego strachu. Po miesiącu byłem zdolny wykonywać pomiary z zamkniętymi oczami, ale nie wydawało się, żeby działanie naszego fosforu przyniosło jakiegokolwiek efekty. Tylko jeden z królików reagował na ekstrakt z jaskółczego zielea obniżeniem poziomu cukru we krwi, ale po paru tygodniach zrobił mu się

⁴⁸ Fragment popularnej piosenki włoskiej *Mattinata fiorentina*.

duży nowotwór na szyi. Komandor kazał mi operować, więc przeprowadziłem operację z gorzkim poczuciem winy i niemałym obrzydzeniem, królik zaś zdechł.

Króliki, zgodnie z zarządzeniem Komandora, żyły każdy w swojej klatce, samce i samice, w ścisłym celibacie. Zdarzyło się jednak nocne bombardowanie, które, nie wyrządziwszy poza tym wielu szkód, zniszczyło wszystkie klatki. Rankiem zastaliśmy króliki zajęte systematyczną i powszechną kampanią kopulacyjną. Bomby ani trochę ich nie przstraszyły. Kiedy tylko wydostały się na wolność, od razu wykopały w trawnikach podziemne korytarze, *cuniculos*, od których wywodzi się ich nazwa, gdzie chowały się przy najmniejszych oznakach niebezpieczeństwa, przerywając w połowie swoje gody. Ambrogio musiał się nieźle namęczyć, żeby zebrać je i pozamykać w nowych klatkach. Pomiary poziomu cukru musiały zostać przerwane, ponieważ oznaczone były jedynie klatki, a nie zwierzęta, i po ich ucieczce identyfikacja okazała się niemożliwa.

Pomiędzy jednym królikiem a drugim zjawiała się Giulia i oznajmiała niespodziewanie, że mnie potrzebuje. Przyjechałem do fabryki rowerem, czyż nie? No więc ona, jeszcze tego samego wieczora, musiała dostać się aż do Porta Genova, to aż trzy przesiadki, a jej się śpieszyło, to była ważna sprawa. Czy nie mógłbym jej zawieźć na ramie, dobrze? Zgodnie z maniackalnym, rozchwianym rozkładem godzin pracy Komandora wychodziłem dwanaście minut wcześniej, czekałem więc na nią za zakrętem. Wsadziłem ją na ramę roweru i ruszyliśmy.

Jeżdżenie rowerem po Mediolanie nie było wtedy zadaniem dla śmiałków, a wiezienie pasażera na ramie w czasach bombardowań i wysiedleń wydawało się czymś niemalże zwyczajnym. Nieraz, szczególnie nocą, zdarzało się, że obcy ludzie prosili kogoś o tę przysługę i za transport z jednego końca miasta na drugi płacili cztery czy pięć lirów. Giulia, z natury już dosyć niespokojna, tego wieczoru narażała na utratę równowagi całą załogę. Kurczowo trzymała się kierownicy, utrudniając prowadzenie. Zmienacka zmieniała pozycję, a swoje wypowiedzi ilustrowała gwałtownymi ruchami rąk i głowy, które w nieprzewidywalny sposób przesuwwały nasz wspólny środek ciężkości. Jej opowieść była z początku dość oględna, jednak Giulia nie należała do tych osób, które zachowują sekret dla siebie, aż się nim zatrują. W połowie via Imbonati wychodziła już poza ogólniki, a przy Porta Volta mówiła bez żadnych ogródek. Była wściekła, ponieważ jego rodzice się nie zgodzili i teraz pędziła do kontraktaku.

– Dlaczego tak powiedzieli? Dla nich nie jestem dostatecznie ładna, rozumiesz? – zawarczała, potrząsając ze złością kierownicą.

– Co za idioci. Mnie wydajesz się dostatecznie ładna – powiedziałem ze spokojem.

– Gadaj zdrów. Nie wiesz, co mówisz.

– Chciałem tylko powiedzieć ci jakiś komplement. A poza tym naprawdę tak uważam.

– To nie jest odpowiednia chwila. Jeśli zamierzasz mnie teraz podrywać, zrzuć cię na ziemię.

– Ty też spadniesz.

– Głupi jesteś. No dalej, pedału, bo robi się późno.

Na Largo Cairoli wiedziałem już wszystko, a raczej znałem wszystkie elementy tej historii, ale były one tak chaotyczne, a ich kolejność tak przemieszana, że z trudem układałem je w całość.

Przede wszystkim nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie wystarczała wola jej ukochanego, żeby przeciąć ten węzeł – to było coś niepojętego, skandal. Giulia opisała mi tego mężczyznę jako hojnego, odpowiedzialnego, zakochanego i poważnego. Miał na własność tę oto dziewczynę, rozczochraną i wspaniałą w swoim gniewie, która szamotała się pomiędzy moimi zajętymi prowadzeniem ramionami. I zamiast ruszyć na Mediolan, by wyłożyć swoje racje, siedział zaszyty w jakichś przygranicznych koszarach, żeby bronić ojczyzny. Ponieważ

będąc gojem, odbywał służbę wojskową, naturalnie. I podczas gdy tak rozmyślałem, a Giulia nieustannie kłóciła się ze mną, jakbym to ja był jej Don Rodrygiem, poczułem, jak ogarnia mnie absurdałna nienawiść dla tego nieznanego mi rywala. Jest gojem, ona też jest gojką, zgodnie z atawistyczną terminologią, i będą mogli się pobrać. Czułem, jak narasta we mnie, może po raz pierwszy w życiu, dławiące poczucie pustki. A zatem to znaczy być innym, to jest cena za bycie solą tej ziemi. Wieźć na ramie dziewczynę, której się pragnie, i nie móc się w niej nawet zakochać, wieźć ją na ramie przez Viale Gorizia, żeby pomóc jej odzyskać innego i zniknąć z mojego życia.

Naprzeciwko numeru 40 na Viale Gorizia znajdowała się ławka. Giulia powiedziała, żebym na nią poczekał, i jak burza wpadła do bramy. Usiadłem i czekałem, puszczając wolno moje myśli, rozbity i przygnębiony. Myślałem, że powinienem być mniej dżentelmeński, a raczej mniej nieśmiały i głupi, i że przez całe życie będę żałował, że z nią związanych pozostało mi tylko parę wspomnień z czasów nauki i pracy. Może nie było jeszcze za późno, może ta odmowa dwojga operetkowych rodziców okaże się nieodwracalna i Giulia zejdzie na dół zalana łzami, a ja będę mógł ją pocieszyć. Były to nadzieje haniebne, ohydne żerowanie na nieszczęściu innych. W końcu, niczym rozbitek, który zmęczony wymachiwaniem ramion idzie na dno, powracałem do myśli, która nie opuszczała mnie w tamtych latach: że istniejący narzeczony, że segregacja rasowa nie są niczym innym jak głupimi wymówkami, a moja niezdolność, by zbliżyć się do jakiegokolwiek kobiety, jest moim nieodwołalnym przeznaczeniem, które będzie mi towarzyszyć aż do śmierci, skazując na puste i bezcelowe życie, zatrute zawiścią i abstrakcyjnymi pragnieniami.

Po dwóch godzinach Giulia wyszła, a raczej wystrzeliła z bramy niczym pocisk z haubicy. Nie trzeba było żadnych pytań, żeby wiedzieć, jak jej poszło:

– Zrobili się tacy malutcy – powiedziała, jeszcze dysząc, cała czerwona na twarzy.

Wysiliłem się, jak tylko mogłem, żeby powinszować jej w wiarygodny sposób, ale Giulii nie można wmówić tego, czego się nie myśli, ani ukryć przed nią tego, co się myśli. Teraz, kiedy zrzuciła z siebie swój ciężar i napawała się zwycięstwem, spojrzała mi w oczy, a dostrzegłszy w nich chmurę, zapytała:

– O czym myślałeś?

– O fosforze – odpowiedziałem.

Giulia wyszła za mąż parę miesięcy później i pożegnała się ze mną, pociągając nosem i wydając Varisco drobiazgowo zalecenia żywieniowe. Doznała w życiu wielu trudów i miała wiele dzieci. Zostaliśmy przyjaciółmi i od czasu do czasu widzimy się w Mediolanie i rozmawiamy o chemii i o mądrych rzeczach. Nie jesteśmy niezadowoleni z naszych wyborów ani z tego, co przyniosło nam życie. Ale za każdym razem, kiedy się spotykamy, oboje odnosimy dziwne i nieprzyjemne wrażenie (wiele razy wzajemnie je sobie opisaliśmy), że jakaś niewidoczna siła, jakiś podmuch wiatru, jakiś rzut kośćmi pchnął nas na rozstajne drogi, które nie były nam przeznaczone.

ZŁOTO

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że Turynczycy, którzy przenieśli się do Mediolanu, nie zapuszczają korzeni albo zapuszczają je bardzo płytko. Jesienią 1942 roku było nas w Mediolanie siedmioro przyjaciół z Turynu, chłopców i dziewcząt, z różnych powodów przybyłych do tego wielkiego miasta, które wojna uczyniła niegościnnym. Ci z naszych rodziców, których jeszcze nie straciliśmy, ewakuowali się na wieś, żeby schronić się przed bombardowaniami, a my wiedliśmy bardzo zwyczajne życie. Euge był architektem, chciał przebudować Mediolan i mawiał, że najlepszym urbanistą był Fryderyk Barbarossa. Silvio był magistrem prawa, ale pisał traktat filozoficzny na skrawkach przebitki i pracował w firmie transportowo-przesyłkowej. Ettore był inżynierem w Olivetti. Lina miała romans z Euge i okazjonalnie zajmowała się galerią sztuki. Vanda była jak ja chemikiem, ale nie mogła znaleźć pracy i jako feministka była tym faktem nieustająco poirytowana. Ada była moją kuzynką i pracowała w wydawnictwie Corbaccio. Silvio nazywał ją bimagistrem, ponieważ miała dwa dyplomy, Euge zaś wołał na nią „kuzymo”, co miało oznaczać „kuzynka Primo”, na co Ada trochę się gniewała. Ja po ślubie Giulii zostałem sam z moimi królikami i czułem się jak wdowiec i sierota. Snułem plany, by napisać sagę o atomie węgla, żeby pomóc ludzkości zrozumieć doniosłą, znaną tylko chemikom, poezję syntezy chlorofilu – i rzeczywiście w końcu ją napisałem, choć wiele lat później, i jest to historia, którą ta książka się kończy.

Jeśli się nie mylę, wszyscy pisywaliśmy wiersze, z wyjątkiem Ettore, który twierdził, że inżynierowi to nie przystoi. Pisanie smutnych wierszy w stylu dekadencjonalnym⁴⁹, do tego niezbyt udanych, podczas gdy świat stoi w płomieniach, nie wydawało nam się niczym dziwnym ani niestosownym. Uważaliśmy się za wrogów faszyzmu, ale w gruncie rzeczy faszyzm odcisnął na nas swoje piętno, tak samo jak odcisnął je na prawie wszystkich Włochach. Sprawił, że staliśmy się wyobcowani, powierzchowni, bierni i cyniczni.

Ze złośliwą wesołością znosiliśmy racjonowanie żywności i zimno w domach pozbawionych węgla, beztrudno przyjmowaliśmy nocne naloty Anglików. Nie były wymierzone w nas, były brutalną oznaką siły naszych odległych sprzymierzeńców, niech więc bombardują. Myśleliśmy tak, jak myśleli wtedy wszyscy upokorzeni Włosi: że Niemcy i Japończycy byli niezwyciężeni, tak samo jak Amerykanie, i wojna będzie trwała przez kolejne dwa czy trzy dziesięciolecia – krwawy niekończący się pat. Sytuacja była nam znana jedynie z zafałszowanych komunikatów wojennych, a czasami, w niektórych rodzinach moich rówieśników, dzięki ponurym urzędowym listom, w których było napisane: „bohatersko, spełniając swoją powinność”. Taniec śmierci, w górę i w dół wzdłuż wybrzeży libijskich, do przodu i do tyłu na ukraińskim stepie, miał nie skończyć się nigdy.

Każde z nas wykonywało swoją pracę, dzień po dniu, niemrawo, bez wiary, jak dzieje się to w przypadku kogoś, kto wie, że nie pracuje na własną przyszłość. Chodziliśmy do teatru i na koncerty, które nieraz w połowie przerywano, gdy zaczynały wyć syreny przeciwlotnicze. Wydawało nam się to absurdalne, ale dawało poczucie satysfakcji – alianci byli panami nieba,

⁴⁹ Levi mówi o poezji „w stylu zmierzchowców” (wł. *crepuscolari*). Chodzi o poetów włoskich tworzących na początku XX wieku, związanych z dwoma miastami: Rzymem i Turynem, w których poezji dominuje melancholia, a zarazem ironiczny i nostalgiczny stosunek do przeszłości.

może więc w końcu wygrać i skończy się faszyzm. Ale to były ich sprawy, oni byli bogaci i silni, mieli lotniskowce i Liberatory. My nie, określili nas jako tych „innych” i inni pozostaniemy. Byliśmy po ich stronie, ale trzymaliśmy się z daleka od głupich i okrutnych gierek Aryjczyków, dyskutując o dramatach O’Neilla lub Thorntona Wildera, wspinając się po stokach Grigne, zakochując się po trochu w sobie nawzajem, wymyślając intelektualne zabawy i śpiewając przepiękne piosenki, których Silvio nauczył się od pewnych swoich przyjaciół waldensów. O tym wszystkim, co w tamtych miesiącach działo się w całej okupowanej przez Niemców Europie, w domu Anny Frank w Amsterdamie, w dole Babiego Jaru pod Kijowem, w warszawskim getcie, w Salonikach, w Paryżu, w Lidicach, o tej zarazie, która miała nas pogrążyć, nie docierały do nas żadne bliższe informacje. Były to zaledwie jakieś mgliste i złowieszcze wzmianki przynieszone przez żołnierzy powracających z Grecji albo z tyłów frontu rosyjskiego, które my woleliśmy cenzurować. Nasza niewiedza pozwalała nam przeżyć, podobnie jak podczas wspinaczki, gdy lina jest wytarta i zaraz się przerwie, ale człowiek o tym nie wie i idzie dalej bez obawy.

Jednak w listopadzie nadeszło lądowanie aliantów w Południowej Afryce, przyszedł opór, a potem zwycięstwo Rosjan pod Stalingradem i zrozumieliśmy, że zbliża się wojna i historia na nowo podjęła swój marsz. W przeciągu paru tygodni każdy z nas dojrzał bardziej niż przez dwadzieścia wcześniejszych lat. Z cienia wyszli ludzie, których faszyzm nie ugiął: adwokaci, profesorowie i robotnicy, i rozpoznaliśmy w nich naszych mistrzów. Tego, co głosili, na próżno szukaliśmy dotychczas w Biblii, w chemii i w górach. Faszyzm przez dwadzieścia lat zmuszał ich do milczenia i wytłumaczyli nam, że polegał nie tylko na złych rządach, błazeńskich i nieobliczalnych, ale także, że był zaprzeczeniem sprawiedliwości. Nie tylko wciągnął Włochy w niesłuszną i zgubną wojnę, ale powstał i ustanowił się jako strażnik ohydnych praw i porządku, opartych na wyzysku ludzi pracy, na niekontrolowanym bogaceniu się tych, którzy ich pracę wykorzystują, na milczeniu narzuconym tym, którzy myślą i nie chcą być służalcami, na systematycznym i wyrachowanym kłamstwie. Powiedzieli, że nasza drwiąca niezgoda to za mało. Powinna przemienić się w gniew, a gniew w organiczną i gwałtowną rewoltę. Nie nauczyli nas jednak, jak się robi bomby ani strzela z karabinu.

Mówili nam o nieznanym postaciach: o Gramscim, Salveminim, Gobettim, Rossellich. Kim oni byli? Czy istniała zatem druga historia, równoległa do tej, jaką karmiono nas w liceum? W ciągu tych paru frenetycznych miesięcy na próżno staraliśmy się ją zrekonstruować, na powrót zaludnić historyczną pustkę ostatniego dwudziestolecia. Tyle że te nowe postaci pozostawały „bohaterami”, tak jak Garibaldi i Nazario Sauro, były pozbawione głębi i ludzkiego wymiaru. Nie mieliśmy jednak czasu, żeby się gruntownie przygotować. W marcu nadeszły strajki w Turynie zapowiadające zbliżający się kryzys, nadeszła, wraz z 25 lipca, wewnętrzna zapaść faszyzmu, place wypełnione bratającym się tłumem, a kraj, któremu wolność darowano w wyniku przewrotu pałacowego, opanowała żywołowa i krótkotrwała radość. I nadszedł wreszcie 8 września, szarozielony wąż nazistowskich oddziałów na ulicach Mediolanu i Turynu i brutalne przebudzenie: komedia dobiegła końca, Włochy były krajem okupowanym, tak jak Polska, Jugosławia, Norwegia.

W ten sposób, po długim upajaniu się słowami, pewni słuszności swojego wyboru i zupełnie niepewni naszych środków, z sercem przepełnionym w większej mierze desperacją niż nadzieją, ze zrujnowanym i podzielonym krajem w tle, wyszliśmy na plac boju, by się zmierzyć. Rozdzieliliśmy się, żeby podążać za własnym przeznaczeniem, każdy do innej doliny.

Cierpieliśmy zimno i głód, byliśmy najgorzej uzbrojonymi partyzantami w Piemontie i, prawdopodobnie, najmniej przygotowanymi. Wierzyliśmy, że jesteśmy bezpieczni, ponieważ nie ruszyliśmy się jeszcze z naszej kryjówki przysypanej metrowym śniegiem. Ktoś jednak

nas zdradził i o świcie 13 grudnia 1943 roku obudziliśmy się otoczeni przez republikę. Ich było trzystu, a nas jedenastu, z jednym karabinem maszynowym bez naboju i kilkoma pistoletami. Ośmiu udało się umknąć i rozbiec po górach. Nam się nie udało. Milicjanci pojмали nas trzech, Aida, Guida i mnie, jeszcze całkiem rozespanych. Podczas gdy tamci wchodzili, udało mi się ukryć pod popiołem w piecu rewolwer, który trzymałem pod poduszką. Zresztą nie miałem pewności, czy umiałbym się nim posłużyć. Był malusieńki, cały intarsjowany masą perłową, z rodzaju tych, jakich w filmach używają zdesperowane kobiety, żeby popełnić samobójstwo. Aldo, który był lekarzem, podniósł się, ze stoickim spokojem zapalił papierosa i powiedział: „Przykro mi ze względu na moje chromosomy”.

Trochę nas poprzetręcali, ostrzegali, żebyśmy „nie robili głupstw”, obiecali, że przesłuchają nas później, w pewien ich przekonujący sposób, i rozstrzelają zaraz potem. Z wielką pompą rozstawili się wokół nas i ruszyliśmy w drogę w stronę przełęczy. Podczas kilkugodzinnego marszu udało mi się pozbyć dwóch rzeczy, które nie dawały mi spokoju: zjadłem, kawałek po kawałku, nazbyt fałszywy dowód tożsamości, który miałem w portfelu (zdjęcie było wyjątkowo okropne), oraz udając, że się potykam, wsunąłem pod śnieg wypełniony adresami notatnik, który nosiłem w kieszeni. Milicjanci śpiewali dumne piosenki żołnierskie, strzelali z karabinów maszynowych do zajęcy, wrzucali granaty do strumieni, żeby zabić pstrągi. Na dole czekało na nas kilka autobusów. Kazali nam wskakiwać i siadać oddzielnie. Wszędzie wokół siebie miałem siedzących albo stojących żołnierzy, którzy nie zwracali na nas uwagi i nie przestawali śpiewać. Jeden z nich, który znajdował się dokładnie przede mną, był odwrócony do mnie plecami, a z paska zwisał mu granat, jeden z tych niemieckich, z drewnianą rączką, co wybuchają z opóźnieniem. Mogłem spokojnie go odbezpieczyć, oderwać zawleczkę i skończyć ze sobą oraz z wieloma spośród nich, jednak zabrakło mi odwagi. Zawieźli nas do koszar położonych na przedmieściach Aosty. Ich komendant nazywał się Fossa i jest w tym coś dziwnego, absurdalnego i posępnie komicznego, jeśli weźmie się pod uwagę ówczesną sytuację, że oto on od dziesięcioleci spoczywa na jakimś zagubionym cmentarzu wojennym, a ja tutaj, żywy i nie odniósłszy, w gruncie rzeczy najmniejszego szwanku, opisuję tę historię. Fossa był legalistą i zakrzętnął się, żeby jak najszybciej zorganizować dla nas zgodny z przepisami system więzienny. Umieścił nas w piwnicach koszar, po jednym w celi, z łóżkiem polowym i kubłem w środku. Ustalił wydawanie jedzenia na jedenastą, porę wyjścia na powietrze oraz zakaz porozumiewania się między sobą. Ten zakaz był dotkliwy, ponieważ nam wszystkim, w naszych sumieniach, ciążyła pewna straszna tajemnica. Była to ta sama tajemnica, która doprowadziła do naszego schwytania, a parę dni wcześniej zdusiła w nas jakąkolwiek chęć oporu, a nawet życia. Sumienie zmusiło nas do wykonania pewnego wyroku. Wykonaliśmy go, ale wyszliśmy z tego zdruzgotani, z poczuciem, że jesteśmy zwolnieni z dalszej służby. Pragnęliśmy, aby to wszystko się skończyło i sami chcieliśmy z tym skończyć. Mieliśmy potrzebę, żeby się widywać, rozmawiać ze sobą, wzajemnie sobie pomagać, żeby odczynić urok tych tak jeszcze nieodległych wspomnień. Teraz nadszedł nasz koniec i zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Znajdowaliśmy się w pułapce, każdy w swojej, i nie było z niej innego wyjścia, jak tylko nogami do przodu. Szybko się o tym przekonałem, badając centymetr po centymetrze moją celę, pamiętny cudownych ucieczek, których pełne były powieści, pochłaniane przeze mnie lata wcześniej. Jednak tutaj mury były grube na pół metra, drzwi masywne i strzeżone od zewnątrz, okienko zabezpieczone prętami. Miałem pilnik do paznokci, mogłem przepiłować jeden z nich, być może nawet wszystkie. Byłem tak chudy, że pewnie dałbym radę wyjść, jednak odkryłem, że naprzeciwko okienka wznosił się potężny blok cementu, który miał stanowić osłonę przed odłamkami podczas nalotów.

Co jakiś czas przychodzili, żeby wezwać nas na przesłuchanie. Kiedy przesłuchiwał Fossa, nie było najgorzej. Fossa stanowił przykład człowieka, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie spotkałem. Był podręcznikowym faszystą, głupim i odważnym, który swój żołnierski fach

(walczył w Afryce i w Hiszpanii, czym się przed nami przechwalał) wspierał na ignorancji i tępotcie, ale nie był ani zepsuty, ani nieludzki. Przez całe życie wierzył i wykonywał rozkazy, i był święcie przekonany, że winnych katastrofy było tylko dwóch: król i Galeazzo Ciano, którego właśnie w tych dniach rozstrzelano w Weronie. Badoglio nie, on także był żołnierzem, przysięgał królowi i swojej przysiędze musiał pozostać wierny. Gdyby nie król i Ciano, którzy od samego początku sabotowali wojnę, wszystko potoczyłoby się dobrze i Włochy by zwyciężyły. Uważał mnie za lekkoducha zdeprawowanego przez złe towarzystwo. W głębi duszy, zgodnie ze swoimi klasowymi poglądami, był przekonany, że ktoś, kto posiada tytuł magistra, nie może naprawdę być „wywrotowcem”. Przesłuchiwał z nudów, żeby mnie indoktrynować i żeby poczuć się ważnym, bez żadnych szczególnych zamiarów inkwizytorskich: był żołnierzem, a nie policjantem. Nigdy nie zadawał mi krępujących pytań, ani nawet nie chciał wiedzieć, czy jestem Żydem.

Groźne natomiast były przesłuchania Cagniego. Cagni był szpiclem, przez którego zostaliśmy aresztowani, szpiclem całym sobą, w każdym centymetrze swojego ciała, szpiclem bardziej z natury i z inklinacji niż z powodu faszystowskich przekonań czy z wyrachowania. Był szpiclem po to, żeby szkodzić, sadystą dla sportu, jak ktoś, kto na polowaniu zabija dziką zwierzynę. Jako człowiek sprytny dostał się z polecenia do stacjonującego obok nas oddziału partyzanckiego. Przechwalał się, że zna ważne niemieckie tajemnice wojskowe, a kiedy je zdradził, okazały się fałszywe i przebiegle spreparowane przez gestapo. Odpowiedzialny za przygotowanie oddziałów obrony, kazał przeprowadzić dokładne szkolenia z użyciem ognia (podczas których udało mu się doprowadzić do tego, że wyczerpano znaczną część amunicji). Potem uciekł na niziny i zjawiał się ponownie na czele faszystowskich centurii wyznaczonych do przeczesywania terenu. Miał około trzydziestu lat oraz bladą i obwisłą skórę. Przesłuchania rozpoczynał, kładąc na biurku, w dobrze widocznym miejscu, swojego lugera. Prowadził je godzinami, bez wytchnienia.

Chciał wiedzieć wszystko. Nieustannie groził torturami i rozstrzelaniem, ale na moje szczęście prawie nic nie wiedziałem, a te niewiele nazwisk, które znałem, zatrzymałem dla siebie. Momenty udawanej dobroduszości przeplatał wybuchami równie udawanego gniewu. Powiedział (prawdopodobnie blefując), że wie, iż jestem Żydem, ale że to tym lepiej dla mnie: byłem albo Żydem, albo partyzantem. Jeśli partyzantem, pójdę pod mur. Jeśli Żydem, to dobrze, w Carpi znajdował się obóz dla internowanych, nie było tam krwiożerców, doczekałbym w nim aż do ostatecznego zwycięstwa. Przyznałem, że jestem Żydem. Po części ze zmęczenia, po części nieracjonalnie unosząc się honorem, ale ani trochę nie wierzyłem w jego słowa. Czyż nie powiedział, że w ciągu paru dni dowództwo nad tymi koszarami miało przejść w ręce SS?

W mojej celi świeciła tylko jedna słaba żarówka, która pozostawała zapalona także w nocy. Ledwie co wystarczała, żeby czytać, ale i tak czytałem dużo, ponieważ myślałem, że nie zostało mi wiele czasu. Czwartego dnia, podczas spaceru, ukradkiem wsunąłem do kieszeni spory kamień, ponieważ planowałem porozumieć się z Guidem i Aldem, którzy znajdowali się w celach obok. Udało mi się, ale była to wyczerpująca praca. Potrzeba było godziny, żeby przekazać jedno zdanie, wybijając uderzenia na ścianie działowej, zupełnie jak górnicy z *Germinal* zasypani w kopalni. Kiedy nasłuchiwałem przy ścianie, żeby uchwycić odpowiedź, dochodziły mnie radosne i donośne śpiewy milicjantów siedzących w kantine ponad naszymi głowami: „Wizja Dantego” lub „Karabinu nie zostawię”, albo też najbardziej rzewna spośród wszystkich: „Chodź, w lesie jest droga”⁵⁰.

⁵⁰ Pierwszy fragment pochodzi z oficjalnego hymnu faszystowskiego pt. *Giovinezza*. Kolejny to strofa z żołnierskiej piosenki z okresu faszyzmu powstałej podczas inwazji na Etiopię, Ostatni pochodzi z popularnej wówczas piosenki.

Razem ze mną w celi była także mysz. Dotrzymywała mi towarzystwa, ale nocą podgryzała chleb. Stały tam też dwa łóżka polowe. Jedno z nich rozłożyłem na kawałki, wyjąłem z niego podłużnicę, długą i gładką. Na noc ustawiałem ją na sztorc, a na jej czubek nadziewałem bochenek, jednak parę okruchów zostawiałem na ziemi dla myszy. Czułem się jak mysz w pułapce bardziej niż ona sama. Myślałem o leśnych drogach, o śniegu na zewnątrz, o niewzruszonych górach, o setkach wspaniałych rzeczy, które mógłbym zrobić, gdybym odzyskał wolność, i coś chwyciło mnie za gardło, jakby zaciskał się na nim węzeł.

Było bardzo zimno. Walilem w drzwi, dopóki nie przyszedł milicjant, który pełnił funkcję strażnika, i poprosiłem, żeby zgłosił mnie do raportu u Fossy. Był to ni mniej, ni więcej tylko ten sam żołnierz, który bił mnie w chwili aresztowania, za co przeprosił, kiedy dowiedział się, że jestem „magistrem”. Włochy to dziwny kraj. Nie zgłosił mnie do raportu, ale zdobył dla nas wszystkich po jednym kocu, a także uzyskał pozwolenie, żebyśmy co wieczór mogli przez pół godziny ogrzać się w pobliżu kotła od kaloryfera.

Nowy porządek zaprowadzono jeszcze tego samego wieczoru. Przyszedł milicjant, żeby mnie zabrać, ale nie był sam: stał przy nim jakiś inny więzień, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Szkoda – wolałbym, żeby był to Guido albo Aldo. Ale mimo wszystko miałem przed sobą jakąś istotę ludzką, z którą można było zamienić dwa słowa. Zaprowadził nas do pomieszczenia z kotłem, pociemniałego od sadzy, przygniecionego niskim sufitem, ale ciepłego. Co za ulga. Kazał nam usiąść na ławie, a sam zajął miejsce na krześle w drzwiach tak, aby je zagrozić. Trzymał karabin maszynowy pionowo między kolanami, lecz już po kilku minutach drzemał i przestał się nami interesować.

Więzień przyglądał mi się z zaciekawieniem.

– To wy jesteście tymi buntownikami? – zapytał.

Liczył sobie może ze trzydzieści pięć lat, był szczupły i przygarbiony, miał kręcone włosy, całe w nieładzie, niedokładnie ogoloną brodę, duży szpiczasty nos, wąskie usta i umykające spojrzenie. Jego dłonie były nieproporcjonalnie duże, kościste, jakby wypalone słońcem i wiatrem. Nigdy nie trzymał ich nieruchomo: to się drapał, to pocierał jedną o drugą, jakby je mył, to znowu bębnił nimi o ławę albo o udo. Zauważyłem, że z lekka mu drżały. Jego oddech zalatywał winem, z czego wywnioskowałem, że aresztowano go niedawno. Miał akcent ludzi z doliny, ale nie wyglądał na rolnika. Odpowiedziałem mu w ogólnikowy sposób, on jednak się nie zrażał:

– Ten tutaj i tak śpi, możesz mówić, jeśli chcesz. Mogę wynieść wiadomości na zewnątrz. Poza tym może niedługo wyjdę.

Nie wydawał mi się typem godnym zaufania.

– Dlaczego tu się znalazłeś? – zapytałem.

– Kontrabanda. Nie chciałem się z nimi podzielić, w tym sęk. Skończy się tak, że się dogadamy, a tymczasem trzymają mnie tutaj. To niedobrze w przypadku mojej pracy.

– To niedobrze w przypadku każdej pracy!

– Ale ja mam wyjątkową pracę. Kontrabandą zajmuję się tylko zimą, kiedy Dora zamarza. Jednym słowem, imam się wielu prac, ale w żadnej nie mam nad sobą pana. My jesteśmy ludźmi wolnymi: tak było z moim ojcem, moim dziadkiem i wszystkimi pradziadami od zarania dziejów, od kiedy nastali Rzymianie.

Nie zrozumiałem wzmianki o zamrożonej Dorze i poprosiłem o wyjaśnienia. Czy był może rybakiem?

– Wiesz, czemu nazywa się Dora⁵¹? – odpowiedział. – Bo jest ze złota. Nie cała, ma się rozumieć, ale niesie złoto, a kiedy zamarza, nie da rady go wydobywać.

– Jest złoto na dnie?

⁵¹ Istnieje podobieństwo fonetyczne pomiędzy nazwą rzeki Dora a włoskim wyrażeniem *d'oro* – ze złota.

– Tak, w piachu, nie wszędzie, tylko na niektórych odcinkach. To woda niesie je ze sobą z gór i składa według własnego kaprysu, w jednym zakolu tak, a w drugim nie. Nasze zakole, które przekazujemy sobie z ojca na syna, jest najbogatsze ze wszystkich. Jest dobrze ukryte, położone na uboczu, ale i tak lepiej chodzić tam nocą, żeby nie przyszedł za tobą nikt ciekawski. Kiedy rzeka porządnie zamarza, tak jak na przykład w zeszłym roku, nie da się pracować, bo gdy tylko przebijesz lód, woda zaraz znowu zamarza, a poza tym ręce nie wytrzymują. Gdybym to ja był na twoim miejscu, a ty na moim, słowo honoru, że wytłumaczyłbym ci, gdzie znajduje się to nasze miejsce.

Poczułem się urażony tym zdaniem. Dobrze wiedziałem, jak wygląda moja sytuacja, ale nie podobało mi się, kiedy ktoś obcy mi ją wypominał. Ten, zorientowawszy się, że popełnił gafę, niezdarnie starał się ją załagodzić:

– To znaczy miałem na myśli, że są to sprawy poufne, o których nie mówi się nawet przyjaciółom. Z tego żyję i nie mam nic innego na świecie, ale nie zamieniłbym się nawet z bankierem. Widzisz, nie to, żeby złota było aż tak wiele. Jest go nawet bardzo mało, płucze się przez całą noc i wyciąga jeden lub dwa gramy, ale ono nigdy się nie kończy. Wracasz, kiedy chcesz, następnej nocy albo po miesiącu, jak ci się podoba, a złoto się odradza. I tak od zawsze i na zawsze, tak jak trawa odrasta na łąkach. Nie ma ludzi bardziej wolnych niż my. To dlatego wydaje mi się, że zwariuję, kiedy tutaj siedzę. Poza tym, musisz zrozumieć, że nie wszyscy potrafią płukać piasek, i to daje mi pewną satysfakcję. Mnie nauczył tego mój ojciec – tylko mnie, bo byłem najbystrzejszy. Pozostali bracia pracowali w fabryce. I tylko mnie pozostawił miskę. – W tym momencie ogromną prawą dłońią, lekko wygiętą na kształt niecki wykonał okrężny, fachowy ruch. – Nie wszystkie dni są odpowiednie – idzie lepiej, kiedy dopisuje pogoda i jest ostatnia kwadra. Nie umiem powiedzieć dlaczego, ale właśnie tak się dzieje, gdyby przyszło ci do głowy spróbować.

Milcząco doceniłem to życzenie. Pewnie, że bym spróbował: czegoż bym nie spróbował? W owych dniach, kiedy niemalże bez strachu czekałem na śmierć, czułem w sobie przemożną chęć spróbowania wszystkiego, poznania wszelkich możliwych ludzkich doświadczeń. Przeklinałem moje poprzednie życie, które, jak mi się zdawało, wykorzystałem niewystarczająco albo nie tak, jak trzeba. Czułem, że czas przecieka mi między palcami, że umyka z mojego ciała minuta po minucie, niczym niemożliwy do zatamowania krwotok. Pewnie, że szukałbym złota. Nie po to, żeby się wzbogacić, ale aby spróbować nowego rzemiosła, jeszcze raz zobaczyć ziemię, powietrze i wodę, od których rozdzielała mnie przepaść, z każdym dniem coraz większa. I żeby odnaleźć mój zawód chemika w jego podstawowej i pierwotnej formie, ową *Scheidekunst*, sztukę oddzielania metalu od skały płonnej.

– Nie sprzedaję bynajmniej wszystkiego – mówił dalej – zbyt się do niego przywiązuję. Trochę odkładam dla siebie, topię je dwa razy do roku i kuję. Nie jestem artystą, ale lubię trzymać je w dłoni, uderzać młotkiem, nacinać, rytować. Nie myślę o tym, żeby się wzbogacić. Dla mnie ważne jest, żeby być wolnym, nie mieć łańcucha na szyi jak jakiś pies, pracować, kiedy się chce, bez kogoś, kto mówiłby: „No, dalej”. Dlatego cierpię, siedząc tutaj. No i poza tym tracę dniówkę.

Milicjant zapadł w głęboki sen i karabin, który trzymał między kolanami, z hukiem upadł na ziemię. Nieznajomy i ja wymieniliśmy szybkie spojrzenie, w lot się zrozumieliśmy i błyskawicznie zerwaliśmy się z ławy. Jednak nie zdążyliśmy zrobić nawet jednego kroku, a już strażnik podnosił swoją broń. Doszedł do siebie, spojrzał na zegarek, zaklął po wenecku i oświadczył nam szorstko, że nadszedł czas wracać do celi. W korytarzu minęliśmy Guida i Aida, którzy prowadzeni przez innego strażnika, szli zająć nasze miejsca w parnym i zakurzonej powietrzu kotłowni. Pozdrowili mnie skinieniem głowy.

W celi znów przywitały mnie samotność, mroźny i czysty oddech gór bijący od okienka oraz niepewność jutra. Wytężając słuch, w ciszy zaciemnienia można było usłyszeć szmer

Dory, utraconej przyjaciółki: i wszyscy przyjaciele byli utraceni, i młodość, i radość, a może nawet życie. Płynęła bliska, lecz obojętna, tocząc złoto w swoich wnętrznościach z topniejącego lodu. Przygniatała mnie dotkliwa zazdrość wobec mojego wątpliwego towarzysza, który wkrótce miał powrócić do swego życia, niepewnego, lecz jakże wolnego, do złotego strumienia, do ciągu niekończących się dni.

CER

O tym, że ja, chemik, który ma zamiar opisać tu swoje doświadczenia, przeżyłem niezwykle okres w moim życiu, opowiedziałem już w innym miejscu⁵².

Z perspektywy trzydziestu lat z trudem przychodzi mi odtworzyć obraz człowieka, który odpowiadał, w listopadzie 1944 roku, mojemu imieniu, a raczej mojemu numerowi 174517. Musiałem przewyciężyć najcięższy kryzys, ten związany z przystosowaniem się do obozowego porządku, a także wytworzyć swego rodzaju zgrubiały naskórek, skoro potrafiłem wtedy nie tylko przeżyć, ale także myśleć, odbierać otaczający mnie świat, a nawet wykonywać pewną dość delikatną pracę w otoczeniu przesiąkniętym codzienną obecnością śmierci i niepokojem z powodu zbliżających się Rosjan wybawicieli, którzy dotarli na odległość osiemdziesięciu kilometrów od nas. Rozpacz i nadzieja przeplatały się w rytmie, który w ciągu godziny powaliłby każdego normalnego człowieka.

My nie byliśmy normalni, ponieważ byliśmy głodni. Nasz głód nie miał nic wspólnego z owym dobrze znanym (i nie do końca nieprzyjemnym) odczuciem kogoś, kto nie zjadł jednego posiłku i jest pewien, że nie ominie go posiłek następny. To była potrzeba, niedosyt, *yearning*⁵³, który towarzyszył nam już od roku, zapuścił w nas głębokie i trwałe korzenie, gnieździł się we wszystkich naszych komórkach i determinował nasze zachowanie. Jeść, znaleźć coś do jedzenia było impulsem numer jeden, za którym, w znacznej odległości, postępowały wszystkie inne problemy związane z przetrwaniem, a jeszcze dalej wspomnienia domu i sam strach przed śmiercią.

Pracowałem jako chemik w pewnym zakładzie, w laboratorium chemicznym (to również zostało już opowiedziane) i kradłem, żeby mieć co jeść. Jeśli nie zacznie się w dzieciństwie, nie jest łatwo nauczyć się kraść. Potrzebowałem wielu miesięcy, żeby zdusić w sobie nakazy moralne oraz wypracować niezbędną technikę. W pewnym momencie zorientowałem się (z rozbawieniem i odrobiną zaspokojonej ambicji), że oto ja, porządny pan magister, przeżywam inwolucję-ewolucję słynnego dobrego psa, psa wiktoriańskiego i psa darwinowskiego, który zostaje deportowany i staje się złodziejem, żeby żyć w swoim „lagrze” Klondike, niczym wielki Buck w powieści *Zew krwi*. Kradłem jak on i jak lisy: przy każdej sposobności, lecz z przebiegłym sprytem i nie wystawiając się na niebezpieczeństwo. Kradłem wszystko z wyjątkiem chleba moich współtowarzyszy.

Właśnie pod względem substancji, które można by ukraść, laboratorium stanowiło teren dziewiczy, czekający na odkrycie. Znajdowały się tam benzyna i spirytus, zdobycze banalne i niewygodne. Wielu kradło je w najróżniejszych miejscach zakładu, podaż była duża i duże było ryzyko, ponieważ transport płynów wymaga naczyń. Jest to wielki problem opakowania, znany każdemu doświadczonemu chemikowi, nieobcy również Odwiecznemu Ojcu, który, jak to on, rozwiązał go w sposób genialny, za pomocą błony komórkowej, skorupki jajek, wielowarstwowej skórki pomarańczy i naszej skóry, bo w gruncie rzeczy płynami jesteśmy także i my. W tamtych czasach nie istniał jeszcze polietylen, który ułatwiłby mi życie, ponieważ jest elastyczny, lekki i doskonale przezroczysty. Nazbyt jednak

⁵² Chodzi o dwie wcześniejsze książki Primo Leviego: *Czy to jest człowiek* (Kraków 1978) oraz *Rozejm* (Kraków 2009).

⁵³ *Yearning* (ang.) – pragnienie, tęsknota.

opiera się rozkładowi i nie bez powodu sam Odwieczny Ojciec, który jest przecież mistrzem polimeryzacji, wstrzymał się z jego opatentowaniem: On nie lubi, jeśli coś nie podlega rozkładowi.

Wobec braku odpowiednich opakowań i naczyń idealny łup musiał być zatem konsystencji stałej, trwały, nie za dużych rozmiarów i przede wszystkim musiał być czymś nowym. Powinien też mieć wysoką wartość jednostkową, a więc nie zajmować zbyt wiele miejsca, ponieważ po pracy często byliśmy przeszukiwani przy wejściu do obozu. Wreszcie musiał być przydatny i pożądanym przez przynajmniej jedną z grup społecznych, które składały się na skomplikowany obozowy mikrokosmos.

Wykonałem w laboratorium rozliczne próby. Wykradłem kilkaset gramów kwasów tłuszczowych, z trudem otrzymanych w wyniku oksydacji parafiny przez jakiegoś mojego kolegę zza barykady. Połowę zjadłem sam i rzeczywiście zaspokajały one głód, ale miały tak nieprzyjemny smak, że zrezygnowałem ze sprzedaży pozostałości. Próbowałem zrobić placki z waty higroskopijnej, którą przytrzymałem przyciśniętą do blachy piecyka elektrycznego – miały słaby posmak palonego cukru, ale prezentowały się tak niekorzystnie, że nie wydały mi się zdatne do sprzedaży. Spróbowałem też raz sprzedać watę bezpośrednio do infirmerii obozowej, ale zajmowała zbyt wiele miejsca i była nisko notowana. Zmusiłem się także, żeby przełknąć i przetrawić glicerynę, opierając się na uproszczonym rozumowaniu, że skoro jest ona produktem rozpadu tłuszczu, musi też być w jakiś sposób przyswajalna i dostarczać kalorii. Może nawet ich dostarczała, ale kosztem nieprzyjemnych efektów ubocznych.

Na jednym z regałów stał tajemniczy słoje. Zawierał około dwudziestu szarych cylindrów, twardych, bezbarwnych, bez smaku, i nie miał etykiety. Było to bardzo dziwne, szczególnie w niemieckim laboratorium. Owszem, Rosjanie znajdowali się w odległości paru kilometrów, katastrofa wisiała w powietrzu, niemalże namacalna, codziennie miały miejsce bombardowania, wszyscy wiedzieli, że wojna dobiega końca, ale przecież jakieś pewniki musiały istnieć, a wśród nich nasz głód oraz to, że laboratorium było niemieckie, a Niemcy nigdy nie zapominają o oznaczeniach. I rzeczywiście, wszystkie pozostałe słoje i butelki w laboratorium miały wyraźne etykiety, wypisane na maszynie albo odręcznie pięknymi, gotyckimi literami. Tylko ten jeden nie.

W tamtych warunkach z pewnością nie miałem ani narzędzi, ani spokoju niezbędnych, żeby określić naturę tych cylindrów. Na wszelki wypadek trzy z nich schowałem do kieszeni i wieczorem zabrałem ze sobą do obozu. Miały ze dwadzieścia pięć milimetrów długości i cztery czy pięć milimetrów średnicy.

Pokazałem je mojemu przyjacielowi Albertowi. Alberto wyciągnął z kieszeni scyzoryk i spróbował naciąć jeden z cylindrów: był twardy, stawiał opór ostrzu. Spróbował go poskrobać: dał się słyszeć niewielki trzask i wystrzelił snop żółtych iskier. W tej sytuacji diagnoza była prosta: oto żelazocer, stop, z którego wytwarzane są zwykłe kamienie do zapalniczek. Dlaczego cylindry były takie duże? Alberto, który przez parę tygodni pracował jako robotnik razem z grupą spawaczy, wytłumaczył mi, że montuje się je na czubku palników acetylenowo-tlenowych, żeby wykrzesać płomień. W tamtej chwili byłem pełen sceptycyzmu wobec komercyjnych możliwości mojej zdobyczy: być może mogła posłużyć do rozpalania ognia, ale w obozie zapalek (nielegalnych) z pewnością nie brakowało.

Alberto przywołał mnie do porządku. Dla niego rezygnacja, pesymizm, zniechęcenie były odrażające, były grzechem. Nie akceptował obozowego wszechświata, odrzucał go instynktownie i rozumowo, nie pozwalał, by go upodlił. Był człowiekiem pełnym dobrej oraz silnej woli i w jakiś cudowny sposób pozostał wolny – także w swoich słowach i czynach. Nie schylił głowy, nie ugiął karku. Jeden jego gest, jedno jego słowo, jeden uśmiech miały wyzwalającą moc, były niczym wyrwa w sztywnej obozowej strukturze i każdy, kto się do niego zbliżył, od razu to pojmował, nawet ci, którzy nie rozumieli jego języka. Sądzę, że w tym miejscu nikt nie był tak lubiany jak on.

Przywołał mnie do porządku: nigdy nie należy się zniechęcać, bo to szkodliwe, a zatem niemoralne, niemalże nieprzyzwoite. Ukradłem cer: dobrze, teraz należało go wprowadzić na rynek, wypromować. On już się tym zajmie, zrobi z tego nowość, produkt o wysokiej wartości handlowej. Prometeusz był głupcem, darując ludziom ogień, zamiast go im sprzedać. Gdyby nie to, zarobiłby pieniądze, uspokoił Jowisza i uniknął kłopotów z sępem.

My musieliśmy być sprytniejsi. Rozmowa o tym, że trzeba być sprytnym, nie była między nami niczym nowym. Alberto często mi to powtarzał, a przed nim jeszcze inni w wolnym świecie. Wielu też powtarzało mi to później, nieskończoną ilość razy, i dzieje się tak aż do dzisiaj, z miernym rezultatem. A nawet z paradoksalnym rezultatem: rozwinęła się we mnie bowiem niebezpieczna skłonność do symbiozy z autentycznymi spryciarzami, którzy ze współzycia ze mną wynosili (albo utrzymywali, że wynoszą) korzyści materialne, bądź też duchowe. Alberto był idealnym symbiontem, ponieważ nie wykorzystywał swojego sprytu na moją szkodę. Nie miałem o tym pojęcia, ale on i owszem (wiedział zawsze wszystko o wszystkich, chociaż nie znał niemieckiego ani polskiego, a francuski słabo), że w obozie istniał podziemny przemysł zapalniczek. Nieznani rzemieślnicy, w wolnym czasie, produkowali je dla ważnych osób i dla cywilnych robotników. Do zapalniczek potrzebne były kamienie i to w określonym rozmiarze. Należało zatem zmniejszyć te, którymi ja dysponowałem. Zmniejszyć o ile i jak?

– Nie rób problemów – powiedział – ja się tym zajmę. Ty zajmij się tym, żeby ukraść resztę.

Następnego dnia nie miałem trudności, żeby zastosować się do przykazania Alberta. Około dziesiątej rano zawyły syreny *Fliegeralarmu*, alarmu lotniczego. Nie był już wtedy niczym nowym, a jednak za każdym razem, gdy się zdarzał, czuliśmy, my dwaj i wszyscy pozostali, jak strach przenika nas aż do szpiku kości. Nie przypominał odgłosów tego świata, nie była to syrena jak ta z fabryk, ale dźwięk o ogromnym natężeniu, który równocześnie, na całym terenie, wznosił się rytmicznie aż do najwyższej, spazmatycznej nuty i opadał do pomruku gromu. Nie mógł to być przypadkowy wynalazek, ponieważ w Niemczech nic nie było przypadkowe, a poza tym aż nazbyt odpowiadał swoim celom oraz pasował do scenerii. Często myślałem, że skomponował go jakiś przeklęty muzyk, zamykając w nim gniew i płacz, wycie wilka do księżycy i oddech tajfunu – tak właśnie musiał brzmieć róg Astolfa⁵⁴. Wzbudzał trwogę nie tylko dlatego, że zapowiadał bomby, ale także z powodu obecnego w nim przerażenia, niemalże lamentu zranionego zwierza, donośnego aż po horyzont.

Niemcy bali się nalotów bardziej niż my. My, irracjonalnie, nie obawialiśmy się ich, ponieważ wiedzieliśmy, że były skierowane nie przeciw nam, ale przeciwko naszym wrogom. W ciągu kilku sekund zostałem sam w laboratorium, włożyłem do kieszeni cały cer i wyszedłem na zewnątrz, żeby dołączyć do mojego komanda. Niebo wypełniło już brzęczenie bombowców. Wylatywały z nich, miękko falując, żółte ulotki, na których widniały okrutne słowa kpiny:

*Im Bauch kein Fett,
Acht Uhr ins Bett;
Der Arsch kaum warm,
Fliegeralarm!*

*W brzuchu nic tłustego,
O ósmej idziesz spać;
Jak tylko tyłek ogrzejesz,
Alarm! Trzeba wstać!*

⁵⁴ W XV pieśni *Orlanda szalonego* Astolf otrzymuje zaczarowany róg, który ma wzbudzać strach w tych, którzy usłyszą jego dźwięk.

My nie mieliśmy wstępu do schronów. Zbieraliśmy się na rozległych, jeszcze nie zabudowanych terenach, w okolicach zakładu. Podczas gdy spadały pierwsze bomby, ja, leżąc na zamrożonym błocie i lichej trawie, macałem znajdujące się w kieszeni cylindry i rozmyślałem nad osobliwością mojego losu, naszych losów podobnych do liści na gałęzi i ogólnie losu wszystkich ludzi. Według Alberta jeden kamień do zapalniczki wyceniano na jedną rację chleba, a więc na jeden dzień życia. Ukradłem co najmniej czterdzieści cylindrów, a z każdego można było otrzymać trzy gotowe kamienie. W sumie sto dwadzieścia kamieni, dwa miesiące życia dla mnie i dwa dla Alberta, a w ciągu dwóch miesięcy nadejdą Rosjanie i nas wyzwolą. A koniec końców wyzwoli nas cer, pierwiastek, o którym nic nie wiedziałem, poza tym jednym jego praktycznym zastosowaniem i tym, że należy do owej podejrzanej, odszczepieńczej rodziny ziem rzadkich. Jego nazwa nie ma nic wspólnego z ceresem, ani też nie ma upamiętniać imienia odkrywcy. Upamiętnia natomiast (cóż za niezwykła skromność dawnych chemików!) niewielką planetę Ceres, ponieważ owo ciało niebieskie oraz metal odkryto w tym samym roku 1801. A może był to czule ironiczny ukłon w stronę alchemicznych zestawień: tak jak Słońce było złotem, Mars żelazem, tak Ceres miała być cerem?

Wieczorem ja przyniosłem do obozu cylindry, a Alberto kawałek blachy z okrągłym otworem: był to wymagany kaliber, do którego rozmiarów mieliśmy zmniejszyć cylindry, żeby przerobić je na kamienie, a co za tym idzie, na chleb.

To, co potem nastąpiło, trzeba osądzać z ostrożnością. Alberto powiedział, że należy zmniejszyć cylindry, oskrobując je nożem, w ukryciu, żeby żaden konkurent nie wykradł naszej tajemnicy. Kiedy? Nocą. Gdzie? W drewnianym baraku, pod kocami i na materacu pełnym wiórów, a więc ryzykując, że zaproszymy ogień albo – co było bardziej prawdopodobne – że nas powieszą, ponieważ na taką karę skazywano każdego, kto zapaliłby zapalkę wewnątrz baraku.

Zawsze ma się wątpliwości, czy działania – własne lub cudze – można uznać za ryzykowne, po tym, jak już szczęśliwie się zakończyły. Może zatem nie były wystarczająco ryzykowne? A może prawdą jest, że istnieje jakiś Bóg, który ochrania dzieci, głupców i pijanych? A może jeszcze jest tak, że te czyny mają większą wagę i większą moc niż tych wiele innych, które spotkał nieszczęśliwy koniec, i dlatego chętniej się o nich opowiada? Jednak my wtedy nie zadawaliśmy sobie takich pytań. Obóz dał nam bliskie szaleństwu obycie z niebezpieczeństwem oraz ze śmiercią. Ryzykowanie strykiem, żeby więcej zjeść, wydawało nam się wyborem logicznym, wręcz oczywistym.

Podczas gdy nasi towarzysze spali, my pracowaliśmy, używając noża, noc w noc. Sceneria była tak ponura, że pożał się Boże: jedna, jedyna żarówka elektryczna ledwie oświetlała dużą, drewnianą halę i w półcieniu można było dostrzec, jakby w jakiejś przestronnej jaskini, twarze naszych współtowarzyszy zniekształcone przez sen i przez senne rojenia: zabarwione śmiercią poruszały szczękami, śniąc o jedzeniu. Z wielu posłań zwiślały ramię lub noga, nagie i kościste, niektórzy więźniowie jęczeli albo mówili przez sen.

Jednak my dwaj byliśmy żywi i nie ulegaliśmy senności. Kolanami podtrzymywaliśmy uniesiony koc i pod tym prowizorycznym namiotem po omacku skrobaliśmy nożem cylindry. Przy każdym dotknięciu dawało się słyszeć delikatny trzask i wybuchał snop żółtych iskier. Co jakiś czas sprawdzaliśmy, czy cylinder przechodzi przez otwór w szablonie. Jeśli nie, skrobaliśmy dalej, jeśli tak, odrywaliśmy ścieniony kawałek i starannie odkładaliśmy na bok.

Pracowaliśmy tak przez trzy noce. Nic się nie wydarzyło, nikt nie spostrzegł naszej krzątania, ani koce, ani materac nie zajęły się ogniem. W ten sposób zdobyliśmy chleb, który trzymał nas przy życiu aż do nadejścia Rosjan, a także znaleźliśmy pocieszenie w zaufaniu i w przyjaźni, jaka nas łączyła. Co stało się ze mną, to już opisałem gdzie indziej. Alberto wyruszył piechotą z większością więźniów, kiedy front był już blisko. Niemcy prowadzili ich dniami i nocami w śniegu i mrozie, rozstrzeliwując tych, którzy nie byli w

stanie iść dalej. Resztę załadowali do odkrytych wagonów, a te powiozły ocalałych w stronę nowego rozdziału ich niewoli, do Buchenwaldu i Mauthausen. Nie więcej niż jedna czwarta spośród tych, którzy wyruszyli, przeżyła marsz.

Alberto nie wrócił i nie został po nim żaden ślad. Pewien mieszkaniec jego miasteczka, na wpół wizjoner, a na wpół błagier, jeszcze przez kilka lat po wojnie dostarczał jego matce, za opłatą, fałszywych wieści pocieszenia.

CHROM

Na drugie danie była ryba, ale wino było czerwone. Versino, szef działu konserwacji, stwierdził, że to wszystko to tylko gadanie, byle tylko wino i ryba były dobre. Według niego większość wyznawców ortodoksji z zamkniętymi oczami nie odróżniłaby szklaneczki wina białego od czerwonego. Bruni z działu nitro spytał, czy ktoś wie, dlaczego ryba pasuje akurat do wina białego. Padły różne dowcipne komentarze, ale nikt nie umiał odpowiedzieć w sposób wyczerpujący. Stary Cometto dodał, że życie pełne jest zwyczajów, których źródła już nikt nie jest w stanie dojść: kolor opakowania cukru, guziki po innej stronie dla kobiet i innej dla mężczyzn, kształt dziobu gondoli, niezliczone dopuszczalne i niedopuszczalne zestawienia kulinarne, wśród których niniejsze stanowi przypadek szczególny. A zresztą, dlaczego nóżka wieprzowa podawana jest obowiązkowo z soczewicą, a makaron posypuje się startym serem?

W myślach zrobiłem szybki rekonesans, żeby upewnić się, że nikt z obecnych jeszcze o tym nie słyszał, po czym opowiedziałem historię o cebuli w gotowanym oleju lnianym. Siedzieliśmy w rzeczy samej w stołówce lakierników, a jest rzeczą powszechnie wiadomą, że olej lniany (*ölidlinköit*⁵⁵) przez wiele stuleci stanowił w naszej sztuce pierwszą i podstawową substancję. Jest to sztuka starodawna, a zatem szlachetna. Najdawniejsze świadectwo jej istnienia znajduje się w Księdze Rodzaju 6,14, gdzie opowiedziane jest, jak zgodnie ze szczegółowymi wytycznymi Najwyższego Noe pokrył (zapewne za pomocą pędzla) wewnętrzną i zewnętrzną część arki ciekłą smołą. Jest to też sztuka z lekka oszukańcza, jak ta, która ma na celu ukryć substrat, nadając mu kolor i wygląd tego, czym nie jest. Pod tym względem spokrewniona jest z kosmetyką i ze zdobnictwem, które są sztukami równie podejrzаныmi i starymi (Księga Izajasza 3,16 i dalej). Biorąc pod uwagę jej tysiącletnią historię, nie ma w tym nic dziwnego, że sztuka wytwarzania lakierów kryje w swoich zakamarkach (pomimo rozlicznych impulsów, jakie współcześnie otrzymuje od pokrewnych jej technik) podwaliny zwyczajów i procedur od dawna już zarzuconych.

A zatem, wracając do gotowanego oleju lnianego, opowiedziałem moim współbiedniakom, że w pewnym receptariuszu wydanym około 1942 roku znalazłem poradę, żeby wrzucić do oleju, mniej więcej pod koniec gotowania, dwa plastry cebuli, bez żadnego komentarza dotyczącego celowości tego dziwnego dodatku. Rozmawiałem o tym w 1949 roku z panem Giacomassem Olindą, moim poprzednikiem i nauczycielem, który przekroczył już wtedy siedemdziesiątkę i produkował lakiery od pięćdziesięciu lat. On zaś, uśmiechając się dobrotliwie pod gęstym siwym wąsem, wyjaśnił mi, że kiedy był młody i osobiście gotował olej, termometry nie weszły jeszcze do użycia. Temperaturę gotującego się oleju oceniano, obserwując opary albo plując do środka, lub też, bardziej rozsądnie, zanurzając w oleju nadziany na ruszt plaster cebuli. Kiedy cebula zaczynała się rumienić, temperatura była odpowiednia. Z biegiem lat to, co było niegdyś prymitywną techniką pomiarową, utraciło swoje znaczenie i przerodziło się w tajemne i magiczne praktyki.

Stary Cometto opisał podobną historię. Nie bez żalu przywołał swoje najpiękniejsze czasy, czasy kopali. Opowiedział, jak pewnego razu *ölidlinköit* połączono z owymi legendarnymi żywicami, żeby otrzymać z nich niezwykle trwałe i połyskliwe lakiery. Ich sława i nazwa

⁵⁵ Wyraz w dialekcie piemonckim.

przetrwały dziś jedynie we włoskim wyrażeniu „buty kopalowe”, co nawiązuje właśnie do pewnego lakieru do skóry, swego czasu popularnego, lecz niestosowanego co najmniej od półwiecza. Dzisiaj samo wyrażenie praktycznie wyszło już z użycia. Kopale były importowane przez Anglików z najodleglejszych i najdzikszych krajów i od nich brały swoje nazwy, które odróżniały jedną odmianę od drugiej: kopale Madagaskar, Sierra Leone, Kauri (którego złoża, nawiasem mówiąc, wyczerpały się około 1967 roku), znany i szlachetny kopal Kongo. Są to żywice kopalne pochodzenia roślinnego, o wysokiej temperaturze topnienia, które w stanie, w jakim się je wydobywa oraz sprzedaje, są nierozpuszczalne w olejach. Żeby stały się rozpuszczalne i kompatybilne, poddawano je gwałtownemu, na poły destrukcyjnemu wrzeniu, w trakcie którego zmniejszała się ich kwasowość (ulegały dekarboksylacji), a także obniżała się ich temperatura topnienia. Operację przeprowadzano niewyszukanymi metodami, w skromnych, dwu- lub trzykwintalowych kotłach, podgrzewanych bezpośrednio na ogniu i przesuwanych na kołach. Podczas gotowania co jakiś czas je ważono i kiedy żywica, wraz z dymem, parą wodną i dwutlenkiem węgla, utraciła 16 procent swojej wagi, rozpuszczalność w oleju uważano za osiągniętą. Około 1940 roku archaiczne kopale, kosztowne i trudno dostępne w czasach wojny, zastąpiono odpowiednio dostosowanymi żywicami fenolowymi i maleinowymi, które oprócz tego, że były tańsze, to jeszcze od razu łączyły się z olejami. Cometto opowiedział nam, jak to w jednej fabryce, której nazwę przemilczę, aż do roku 1953 żywicę fenolową, zastępującą w pewnym przepisie kopal Kongo, poddawano identycznej obróbce. Innymi słowy, pośród trujących oparów fenolowych wygotowywano z niej na ogniu owe 16 procent, dopóki nie osiągnięto rozpuszczalności w oleju, którą żywica posiadała już wcześniej.

W tym miejscu zauważyłem, że wszystkie języki pełne są obrazów i metafor, których pochodzenie odchodzi w niepamięć wraz ze sztukami, z których je zaczerpnięto. Od kiedy jeździectwo spadło do rangi kosztownego sportu, stały się niezrozumiałe i brzmią dziwacznie wyrażenia „co koń wyskoczy” lub „trzymać język na wodzy”. Wraz ze zniknięciem młynów działających dzięki dwóm nałożonym na siebie kamieniom, zwanym żarnami, w których przez stulecia mleło się zboże (oraz farby), straciły jakikolwiek punkt odniesienia wyrażenia „mleć” lub też „mleć słowa w zębach”, które jednak do dziś mechanicznie się powtarza. W analogiczny sposób, ponieważ także Natura jest konserwatystką, nosimy pod postacią kości guzicznej to, co pozostało nam po zanikłym ogniu.

Bruni opowiedział o pewnym wydarzeniu, którego sam był uczestnikiem. W miarę opowieści czułem, jak ogarniają mnie słodkie i miłe odczucia, które za chwilę postaram się wytłumaczyć. Muszę wyjaśnić, że od 1955 do 1965 roku Bruni pracował w dużej fabryce nad brzegiem jeziora, tej samej, w której ja opanowałem podstawy zawodu lakiernika w latach 1946-1947. Opowiedział zatem, że kiedy pełnił tam funkcję osoby odpowiedzialnej za dział farb syntetycznych, trafił w jego ręce przepis na przeciwrdzewną farbę chromianową, która miała zawierać idiotyczny składnik: nic innego, jak tylko chlorek amonu, stary, alchemiczny salmiak ze świątyni Amona, skłonny raczej skorodować żelazo, niżli chronić je przed rdzą. Zapytał więc o to swoich przełożonych i starszych pracowników działu. Zaskoczeni, a także z lekka obruszeni, odpowiedzieli mu, że w tym przepisie, według którego produkowano co najmniej dwadzieścia do trzydziestu ton produktu miesięcznie, i to przynajmniej od dziesięciu lat, ów chlorek „był zawsze”. I doprawdy niezły ma tupet, skoro w tak młodym wieku i z tak małym doświadczeniem poddaje krytyce metody fabryki i szuka kłopotów, pytając po co i dlaczego. Skoro chlorek amonu w przepisie się znajdował, znaczyło, że do czegoś służył. Do czego służył, nikt już tego nie wiedział, ale żeby nawet nie śmiał go usuwać, bo „nigdy nic nie wiadomo”. Bruni jest racjonalistą i źle to zniósł. Jest jednak także człowiekiem rozsądnym i dlatego radę przyjął. W efekcie, o ile w przepisie nie zaszły żadne zmiany, w owej fabryce nad brzegiem jeziora dalej dodaje się chlorek amonu, choć dzisiaj jest on całkowicie

nieprzydatny, co mogę poświadczyć z pełną znajomością rzeczy, jako że sam go do tego przepisu wprowadziłem.

Przytoczony przez Bruniego epizod, chromianowa farba przeciwrzdewna oraz chlorek amonu kazały mi się cofnąć w czasie, aż do mroźnego stycznia 1946 roku, kiedy dalej racjonowano mięso i węgiel, nikt nie miał samochodu, a we Włoszech nigdy jeszcze nie oddychało się powietrzem tak przepehionym nadzieją i wolnością.

Ja jednak trzy miesiące wcześniej wróciłem z niewoli i źle mi się wiodło. To, co przeżyłem i wycierpiałem, trawiło mnie od środka. Czułem się bliższy umarłym niż żywym, jak również winnym tego, że jestem człowiekiem, bo to człowiek zbudował Auschwitz, a Auschwitz pochłonęło miliony ludzkich istnień i wielu moich przyjaciół, a także bliską memu sercu kobietę. Wydawało mi się, że poprzez opowiadanie doznam oczyszczenia. Czułem się podobny do sędziwego marynarza Coleridge'a, który dopada na drodze weselnym gości, by zaserwować im porcję historii o swoich poczynaniach. Pisałem treściwe i krwawe wiersze, opowiadałem aż do zawrotu głowy, na głos lub na papierze, tak wiele, że w końcu zrodziła się z tego książka. Pisząc, odnajdywałem krótkotrwały spokój i czułem, jak na powrót staję się człowiekiem, takim jak wszyscy: ani męczennikiem, ani łajdakiem, ani też świętym, ale jednym z tych, którzy zakładają rodzinę i spoglądają w przyszłość, a nie w przeszłość.

Ponieważ ani z wierszy, ani z opowiadań nie da się wyżyć, niestrudzenie poszukiwałem pracy. Znalazłem ją w dużej fabryce nad brzegiem jeziora, otoczonej w tych miesiącach błotem i lodem. Nikt zbytnio się mną nie przejmował. Koledzy, dyrektor i robotnicy mieli głowy zajęte innymi sprawami: synem, który nie wracał z Rosji, piecem bez opału, butami bez zelówek, magazynami bez zapasów, oknami bez szyb, rozsadzającym rury mrozem, inflacją, brakiem żywności, zajadłymi lokalnymi porachunkami. W akcie dobrej woli przydzielono mi kulawe biurko w laboratorium, w kącie pełnym hałasów, przeciągów i ludzi kręcących się w tę i z powrotem ze szmatami i kanistrami w dłoni. Nie wyznaczono mi żadnego konkretnego zadania. Ja, „wakujący” chemik w stanie całkowitej alienacji (choć wtedy tak to się nie nazywało), bezładnie zapisywałem całe strony, wypełniając je zatruwającymi mi duszę wspomnieniami, zaś koledzy spoglądali na mnie spod oka jak na jakiegoś nieszkodliwego pomyłka. Książka niemalże samoistnie rosła mi w rękach, bez planu czy systemu, splątana i tętniąca życiem niczym kopiec termitów. Co pewien czas, kierowany zawodowym wyrzutem sumienia, stawiałem się u dyrektora i prosiłem o jakąś pracę. On jednak nie miał głowy, żeby zajmować się moimi skrupułami. Miałem czytać, miałem się uczyć, w kwestii farb byłem jeszcze, za przeproszeniem, analfabetą. Nie było dla mnie pracy? Więc powinienem dziękować Bogu i siedzieć w bibliotece. A jeśli już tak bardzo chciałem się do czegoś przydać, to proszę, tu jest kilka artykułów do przetłumaczenia z niemieckiego.

Pewnego dnia wezwał mnie do siebie i z dziwnym błyskiem w oku obwieścił, że ma dla mnie pewną robotę. Zaprowadził mnie na róg placu, w pobliże ogrodzenia. Znajdowały się tam, ułożone byle jak, mniejsze przygnięcione większymi, tysiące kwadratowych bloków w jaskrawopomarańczowym kolorze. Kazał mi ich dotknąć. Były galaretowate i miękkie i miały nieprzyjemną konsystencję zmielonych wnętrzości. Powiedziałem dyrektorowi, że jeśli nie brać pod uwagę koloru, przypominają wątroby, na co on mnie pochwalił: właśnie tak jest napisane w traktatach lakieroznawczych! Wy tłumaczył, że proces, który przyczynił się do ich powstania, w języku angielskim nazywa się właśnie „livering”, co oznacza „zwątrobienie”, po włosku zaś „*impolmonimento*” – „splucowienie”. W pewnych warunkach niektóre farby ze stanu ciekłego przechodzą w stan stały, o konsystencji ni mniej, ni więcej wątroby lub płuca, i wtedy nadają się do wyrzucenia. Owe równoległościennne ciała były kiedyś puszkami farby. Farba stężała, puszki rozcięto, a ich zawartość wyrzucono na górę śmieci.

Tę farbę, powiedział, wyprodukowano podczas wojny albo zaraz po. Zawierała w sobie chromian zasadowy i żywicę alkidową. Może chromian był zbyt zasadowy, a może żywica zbyt kwaśna: to właśnie w tych warunkach może dojść do „spłucowienia”. Proszę bardzo, zostawiał mi w prezencie tę górę dawnych grzechów. Miałem się zastanowić, przeprowadzić próby i badania tak, żebym mógł precyzyjnie określić, skąd wzięły się kłopoty, co zrobić, by się nie powtórzyły, i czy jest możliwe odzyskanie uszkodzonego towaru.

Przedstawiony w taki sposób, ten na wpół chemiczny, a na wpół detektywistyczny problem wydał mi się pociągający. Rozmyślałem nad nim tego wieczoru (była to sobota), gdy jeden z osmalonych i zimnych pociągów towarowych włókł mnie ze sobą w stronę Turynu. Zdarzyło się tak, że następnego dnia los przeznaczył dla mnie jeszcze inny dar, jeden jedyny w swoim rodzaju. Było to spotkanie z pewną młodą kobietą z krwi i kości, której ciepło przenikało do mojego boku poprzez nasze płaszcze. Kiedy szliśmy razem przez ciągle jeszcze obrzeżone gruzami ulice, zdawała mi się wesoła pośród wilgotnej mgły wiszącej w alejach, cierpliwa, mądra i pewna siebie. Po paru godzinach wiedzieliśmy, że do siebie należymy, nie na jedno spotkanie, ale na całe życie, i tak rzeczywiście potem się stało. W ciągu paru godzin poczułem się jak nowo narodzony i pełen sił, obmyty i ozdrowiały po długiej chorobie, wreszcie gotów, by radośnie i energicznie wkroczyć w życie. Zniemacka tak samo ozdrowiał otaczający mnie świat i zostały odegnane złe moce, towarzyszące imieniu i twarzy tej, która zstąpiła ze mną do piekła, ale z niego nie powróciła. Samo moje pisanie stało się innym doświadczeniem. Nie było już bolesną ścieżką rekonwalescenta, zebraniem o litość i przyjazne spojrzenie, ale świadomym budowaniem, teraz już nie w samotności. Było dziełem chemika, który waży i dzieli, mierzy oraz ocenia na podstawie niepodważalnych dowodów i stara się odpowiedzieć na pytania o przyczynę. Obok zbawiennej ulgi, jaka towarzyszy opowiadaniu ocalałego, odnajdywałem teraz w pisaniu właściwą mu przyjemność, nową i intensywną, podobną do tej, której doświadczyłem jako uczeń, przenikając imponujący porządek rachunku różniczkowego. Było czymś podniecającym szukać właściwego, a więc wyważonego, treściwego i mocnego słowa, znajdować je albo też tworzyć, wydobywać rzeczy z pamięci i opisywać je z najwyższym zdyscyplinowaniem i bez zbędnych ozdobników. Paradoksalnie, mój bagaż przerażających wspomnień stał się bogactwem, nasieniem: pisząc, zdawało mi się, że wzrastam niczym roślina.

W następny poniedziałek, w pociągu towarowym, ściśnięty pośród zaspanego i opatulonego szalikami tłumy, czułem się radosny i pełen napięcia jak nigdy przedtem i jak nigdy potem. Byłem gotów rzucić wyzwanie wszystkiemu i wszystkim, tak samo jak kiedyś rzuciłem wyzwanie Auschwitz i samotności, które potem pokonałem. Ale przede wszystkim byłem gotów wydać wesołą wojnę dziwacznej piramidzie pomarańczowych wątróbek, czekającej na mnie nad brzegiem jeziora.

To duch pozwala okiełznać materię, prawda? Czyż nie to właśnie wbito mi do głowy w faszystowskim liceum Gentilego? Rzuciłem się w wir pracy z takim samym zapałem, z jakim w odległych czasach atakowaliśmy skalną ścianę. Przeciwnik był ciągle ten sam, owo nie-ja, Wielki Krzywy, Hyle, bezmyślna materia, ospale nieprzyjazna, tak jak nieprzyjazna jest ludzka głupota, i tak samo jak ona czerpiąca siłę ze swojej pasywnej tępoty. Naszym zadaniem jest prowadzić i wygrać tę niekończącą się bitwę. Stężała farba jest o wiele bardziej nieokiełznana, oporna wobec ludzkiej woli niż lew w swoim dzikim szale. Choć, trzeba to przyznać, jest mniej niebezpieczna.

Pierwsza potyczka miała miejsce w archiwum. Dwoma partnerami, spiskowcami, z których spółkowania zrodziły się pomarańczowe potwory, były chromian i żywica. Żywicę wytwarzano na miejscu. Odnalazłem akty urodzenia wszystkich partii, ale nie zawierały w sobie nic podejrzanego. Kwasowość była zmienna, ale zawsze poniżej 6, zgodnie z wytycznymi. Pewna partia, u której wykryto kwasowość 6,2, została, jak należało, odrzucona

przez jakiegoś kontrolera o zamaszystym podpisie. W pierwszej instancji żywica była poza podejrzeniami.

Chromian kupiono od różnych dostawców i także on został należycie sprawdzony, partia po partii. Zgodnie z Zaleceniami Odnośnie Zakupu ZOZ 280/0 powinien zawierać nie mniej niż 28 procent tlenku chromu. I oto miałem przed oczami niekończącą się listę kontroli jakości, przeprowadzonych począwszy od stycznia 1942 roku (była to jedna z najmniej pasjonujących lektur, jakie można sobie wyobrazić). Wszystkie wartości odpowiadały zaleceniu, co więcej, niczym się między sobą nie różniły: 29,5 procent, ani mniej, ani więcej. Poczulem, jak moje wnętrzności chemika skrzyły się w obliczu czegoś tak nieprzyzwoitego. Trzeba bowiem wiedzieć, że naturalne oscylacje w metodzie przygotowania chromianu w połączeniu z nieuniknionymi błędami analitycznymi sprawiają, że jest czymś absolutnie niemożliwym, żeby tak wiele wartości wykrytych w różnych partiach i w różnych dniach pasowało do siebie z taką dokładnością. Czy to możliwe, że nikt nie nabrał podejrzeń? Ależ tak, w tamtych czasach nie znano jeszcze przerażającej, znieczulającej mocy firmowych papierysk, ich zdolności, by zahamować, przytłumić, stępić jakikolwiek przeblask intuicji i jakąkolwiek iskierkę inwencji. Poza tym jest rzeczą wiadomą wszystkim uczonemu, że wszelkie wydzieliny są szkodliwe lub trujące. A zatem w warunkach patologicznych nierzadko zdarza się, że papier, wydzielina firmy, wchłonięty w nadmiernych ilościach, usypia, paraliżuje, a nawet zabija organizm, przez który został wyprodukowany.

Historia tego, co się zdarzyło, zaczynała nabierać kształtów. Z jakiegoś powodu któregoś z analityków zdradziły wadliwa metoda lub nieczysty odczynnik, albo też złe nawyki. Sumiennie umieścił w kolumnie wyniki w tak oczywisty sposób podejrzone, choć formalnie bez zarzutu. Skrupulatnie podpisał się przy każdej analizie, a jego podpis, powiększający się stopniowo niczym lawina, wspierały podpisy dyrektora laboratorium, dyrektora technicznego i dyrektora generalnego. Wyobrażałem sobie tego nieszczęśnika w tych trudnych latach. Już niemłodego, ponieważ młodzi służyli w wojsku. Prześladowanego przez faszystów, a może nawet faszystę poszukiwanego przez partyzantów. Z pewnością sfrustrowanego, ponieważ bycie analitykiem jest zajęciem dla młodych. Obwarowanego w laboratorium, w twierdzy swojej małej wiedzy, przekonanego o swojej nieomyślności. Wyśmiewanego i niechętnie widzianego poza laboratorium właśnie z powodu owego charakteru nieprzekupnego strażnika, małego Minosa, pedantycznego i pozbawionego fantazji, kogoś, kto zawadza jak kłoda pomiędzy kołami produkcji. Sądząc po bezpłciowym i wyczelowanym charakterze pisma, jego zawód musiał go wypalić, a równocześnie doprowadzić do ordynarnej perfekcji, podobnie jak dzieje się to w przypadku kamienia toczącego aż do ujścia rzeki. Najwyraźniej z czasem rozwinął w sobie swego rodzaju obojętność wobec prawdziwego znaczenia przeprowadzanych przez siebie operacji oraz nanoszonych adnotacji. Obiecałem sobie, że dowiem się czegoś więcej na jego temat, ale nikt nic o nim nie wiedział. Moje pytania napotykały na niechętnie albo roztargnione odpowiedzi. Poza tym zaczynałem odczuwać gromadzącą się wokół mnie i mojej pracy pełną drwiny i niechęci ciekawość. Kim był ten nowy, ten żółtodziób zarabiający 700 lirów miesięcznie, ten maniackalny skryba, który zakłócał nocny spokój służbowych mieszkań, wypisując na maszynie nie wiadomo jakie rzeczy tylko po to, żeby rozgrzebywać błędy przeszłości i prac brudy jednego pokolenia? Przez krótki czas miałem nawet podejrzenia, że powierzone mi zadanie miało potajemny cel doprowadzenia do tego, żebym o coś się potknął lub na kogoś natknął. Jednak sprawa stężałej farby pochłonięła moją duszę i moje ciało, *tripes et boyaux*⁵⁶, i, jednym słowem, zakochałem się w niej prawie tak samo, jak w tej dziewczynie, o której wspominałem i która rzeczywiście była o nią trochę zazdrosna.

⁵⁶ *Tripes et boyaux* (fr.) – dosłownie: wnętrzności.

Nie miałem kłopotów z odnalezieniem, poza ZOZ-ami, równie nienaruszalnych ZOKJ-otów, Zaleceń Odnośnie Kontroli Jakości. W jednej z szuflad laboratorium znajdował się plik brudnych fiszek, wypisanych na maszynie i wielokrotnie odręcznie poprawianych. Każda z nich zawierała opis wykonania kontroli określonego surowca. Fiszka dotycząca błękitu pruskiego była zaplamiona na niebiesko, fiszka od gliceryny była lepka, a ta od oleju rybnego zalatywała sardelą. Wyciągnąłem fiszkę chromianu, która od długiego używania nabrała koloru jutrzeńki, i uważnie ją przeczytałem. Wszystko było całkiem do rzeczy i zgodne z nie tak dawno przeze mnie nabytą szkolną wiedzą. Tylko jeden punkt wydał mi się dziwny. Po rozpadzie pigmentu zalecano dodać 23 krople pewnego odczynnika. Ale kropla nie jest aż tak precyzyjną jednostką, żeby móc pozwolić sobie na użycie tak dokładnego współczynnika liczbowego. A poza tym, jeśli dobrze obliczyć, zalecana doza była absurdalnie wysoka – zatopiłaby analizę, prowadząc w każdym przypadku do wyniku zgodnego ze specyfikacją. Spojrzałem na odwrotną stronę fiszki. Widniała na niej data ostatniej rewizji: 4 stycznia 1944. Akt urodzenia pierwszej żelowanej partii pochodził z 22 lutego tegoż roku.

W tym momencie zacząłem dostrzegać światełko w tunelu. W zakurzonej archiwum odnalazłem zbiór nieużywanych ZOKJ-otów. Wersja poprzedzająca ową notatkę na fiszce chromianu zawierała wskazówkę, by dodać 2-3,,” krople, nie 23,,” – mający fundamentalne znaczenie myślnik był na wpół wytarty i przy kolejnym przepisywaniu został przeoczony. Wydarzenia układały się w logiczną całość. Rewizja fiszki przyniosła błąd w odpisie, błąd zaś zafałszował wszystkie kolejne analizy, sprowadzając wyniki do jednej fikcyjnej wartości wynikającej z wyjątkowego nadmiaru odczynnika. W wyniku tego zaakceptowano partie pigmentu, które powinny były zostać odrzucone. Partie te, zbyt zasadowe, powodowały żelowanie.

Biada jednak temu, kto ulega pokusie, by pomylić elegancko brzmiącą hipotezę z pewnością – wiedzą o tym nawet czytelnicy kryminałów. Dopadłem ospałego magazyniera i zażądałem wszystkich kontrpróbek chromianu, począwszy od stycznia 1944 roku. Na trzy dni zabarykadowałem się za blatem, żeby poddać je analizie obiema metodami: błędną i prawidłową. Stopniowo jak wyniki układały się w kolumnie rejestru, nuda monotonnej pracy przeradzała się w nerwową radość, tak jak wtedy, gdy jako dzieci bawimy się w chowanego i dostrzegamy przeciwnika nieudolnie ukrytego za żywopłotem. W wypadku błędnej metody nieustannie dochodziło się do fatalnego wyniku 29,5 procent. W wypadku metody prawidłowej wyniki były zróżnicowane, a przynajmniej jedna czwarta z nich schodziła poniżej przepisowego minimum i odpowiadała tym partiom, które powinny były zostać odrzucone. Diagnoza została potwierdzona, a patogenezą odkryta. Teraz należało określić terapię.

Udało mi się to dosyć szybko, sięgnąłem bowiem do starej, dobrej chemii nieorganicznej, odległej kartezjańskiej wyspy, raj utraconego dla nas, bałaganiarzy od chemii organicznej i makromolekularnej. W owym schorowanym ciele farby należało w jakiś sposób zneutralizować nadmierną kwasowość, spowodowaną obecnością wolnego tlenu ołowiu. Kwasy okazały się szkodliwe z innych powodów. Pomyślałem o chorku amonu, zdolnym połączyć się trwale z tlenkiem ołowiu, wytwarzając przy tym nierozpuszczalny i obojętny chlorek oraz uwalniając amoniak. Wstępne próby przyniosły obiecujące rezultaty. Trzeba było szybko zdobyć chlorek (określony w spisie inwentarzowym jako „chlorek demonu”), dogadać się z szefem działu przemiału, wprowadzić do niewielkiego młyna kulowego dwie spośród tych obrzydliwych wizualnie i dotykowo wątróbek, dodać odmierzoną ilość domniemanego medykamentu i, pod sceptycznymi spojrzeniami obecnych, uruchomić młyn. Młyn, zazwyczaj bardzo hałaśliwy, ruszył prawie że niechętnie, w złowróznej ciszy, spowalniany galaretowatą masą oblepiającą kule. Nie pozostawało nic innego, jak wrócić do Turynu i oczekiwać poniedziałku. Bez ustanku zamęczałem moją cierpliwą dziewczynę

opowieściami o wysnutych hipotezach i o wszystkim, do czego doszedłem nad brzegiem jeziora, oraz nerwowo oczekiwałem wyroku, który miały wydać fakty.

W następny poniedziałek młyn odzyskał swój głos. Terkotał nawet wesoło pełnym, nieprzerwanym tonem, bez owego miarowego zacinania, które w przypadku młyna kulowego zdradza nieprawidłową konserwację albo zły stan zdrowia. Kazałem go zatrzymać i poluzować ostrożnie śruby pokrywy. Z gwizdem uszedł podmuch amoniaku, i tak właśnie miało być. Poprosiłem, by zdjęto przykrywę. O aniołowie i szafarze łaski!⁵⁷ Farba była płynna i gładka, zupełnie normalna, odrodzona niczym Feniks z popiołów. Napisałem sprawozdanie w odpowiednim biurowym żargonie, a dyrekcja dała mi podwyżkę. Poza tym, tytułem uznania, otrzymałem talon na dwie *côrasse*⁵⁸ (opony) do roweru.

Magazyn zawierał setki niebezpiecznie zasadowych partii chromianu, które trzeba było przecież zużyć, gdyż otrzymały akceptację przy kontroli jakości i nie można było zwrócić ich do dostawcy. Z tego też powodu chlorek został oficjalnie wprowadzony do formuły na tę farbę jako środek antyzelujący. Następnie zwolniłem się z pracy, minęły dziesięciolecia, skończył się okres powojenny, feralne, zasadowe chromiany zniknęły z rynku, a moje sprawozdanie spotkał koniec, jaki spotyka każde ciało. Jednak formuły są nietykalne niczym modlitwy, dekrety i martwe języki i nic nie można w nich zmienić nawet o jotę. Dlatego mój Chlorek Demonu, brat bliźniak szczęśliwej miłości i pewnej wyzwolicielskiej książki, dzisiaj już zupełnie nieprzydatny i prawdopodobnie lekko szkodliwy, nad brzegiem tego jeziora ciągle jest z nabożnością dodawany do przeciwrdzewnej farby chromianowej, choć nikt już nie wie po co.

⁵⁷ Okrzyk taki wydaje Szekspirowski Hamlet na widok ducha swego ojca.

⁵⁸ Wyraz w dialekcie piemontckim.

SIARKA

Lanza przypiął rower, podstemplował kartę, podszedł do kotła, włączył mieszadło i rozpałił ogień. Strumień rozpylonej nafty zapalił się z silnym hukiem i wybuchł perfidnym płomieniem wstecznym (jednak Lanza, znając już to palenisko, cofnął się na czas). Ogień palił się dalej z dobrotliwym pomrukiem, napiętym i głębokim niczym przeciągły grzmot, zagłuszając ciche brzęczenie motorów i pędni. Lanza był jeszcze zaspany i przenikał go chłód nagłego przebudzenia. Siedział skulony naprzeciw paleniska, którego czerwony, buchający sekwencją błysków płomień wprawiał w taniec widoczny na ścianie jego ogromny i niekształtny cień, niczym w prymitywnym kinematografie.

Po upływie pół godziny termometr zaczął działać jak trzeba. Wskazówka z oksydowanej stali, sunąc niczym ślimak po żółtawej tarczy, zatrzymała się na 95 stopniach. Wszystko było w porządku, ponieważ termometr zaniżał odczyt o pięć stopni. Lanza był zadowolony, w jakiś tajemniczy sposób żył w zgodzie z kotłem, termometrem i ogólnie rzecz biorąc – ze światem i samym sobą, ponieważ wszystko, co powinno się wydarzyć, wydarzało się i ponieważ w fabryce tylko on wiedział, że termometr był rozregulowany. Ktoś inny pewnie podwyższyłby płomień albo zabrałby się do badania nie wiadomo czego, żeby tylko termometr doszedł do 100 stopni, jak było napisane w instrukcji.

Wskazówka stała zatem przez dłuższy czas nieruchomo na 95 stopniach, po czym na powrót rozpoczęła swoją wędrówkę. Lanza siedział blisko ognia, a ponieważ w ciepłe ogarniała go senność, pozwolił jej, by łagodnie rozlała się po jego świadomości. Jednak nie tej części, która znajdowała się tuż za oczami i nadzorowała pracę termometru: ona musiała pozostać czujna.

Z sulfodieniem⁵⁹ nigdy nic nie wiadomo, ale na razie wszystko szło jak z płatka. Lanza rozkoszował się słodkim odpoczynkiem i poddawał się tańcowi myśli i obrazów poprzedzających sen, choć nie pozwalał, żeby do końca nim zawładnął. Było ciepło i Lanza miał przed oczyma swoją wioskę: żonę, syna, swoje pole, karczmę. Gorący oddech karczmy, ciężki oddech stajni. W stajni przy każdej burzy kapała woda. Spływała z góry, z sąsiedku, może przez pęknięcie w ścianie, bo dachówki (na Wielkanoc sam je sprawdził) były wszystkie bez zarzutu. Miejsce na jeszcze jedną krowę by się znalazło, ale... (i tu wszystko ginęło we mgłę liczb i rozpoczętych, lecz niedokończonych wyliczeń). Każda minuta pracy to dziesięć lirów w kieszeni. Teraz wydawało mu się, że to dla niego trzaska ogień i kręci się mieszadło, jak gdyby w maszynie do produkcji pieniędzy.

Wstawaj, Lanza. Doszliśmy do 180 stopni, trzeba odkręcić przykrywę i dorzucić B 41. Zresztą to głupota nazywać ją ciągle B 41, skoro cała fabryka wie, że to siarka, i w czasie wojny, kiedy brakowało wszystkiego, wielu pracowników wносиło ją do domu i sprzedawało na czarnym rynku chłopom, którzy opylali nią winorośl. Ale w końcu magister to magister i trzeba, żeby był zadowolony.

Zgasił ogień, zredukował obroty mieszadła, otworzył przykrywę i założył maskę ochronną, w której czuł się trochę jak kret, a trochę jak dzik. Dodał ostrożnie B 41, które stało już odważone w trzech kartonowych pudełkach. Pomimo maski, która być może była trochę nieszczelna, od razu doszedł go brudny i smętny swąd unoszący się z kotła i Lanza

⁵⁹ W rzeczywistości nie istnieje substancja o takiej nazwie.

pomyślał, że może nawet miał rację ksiądz, kiedy mówił, że w piekle czuć zapach siarki. Nawet psy go nie lubią, wszyscy o tym wiedzą. Kiedy skończył, ponownie opuścił przykrywą i puścił urządzenie w ruch.

O trzeciej w nocy termometr wskazywał 200 stopni. Teraz należało utworzyć próżnię. Pociągnął w górę czarny uchwyt, a wysoki i suchy trzask pompy odśrodkowej nałożył się na głęboki huk palnika. Wskazówka próżniomierza, ustawiona pionowo na zerze, zaczęła odchyłać się, sunąc na lewo. Dwadzieścia stopni, czterdzieści stopni – wystarczy. Teraz można zapalić papierosa, ma spokój na ponad godzinę.

Są tacy, którym jest przeznaczone zostać milionerami, i tacy, których przeznaczeniem jest zginąć w wypadku. Jeśli chodzi o niego, Lanę, to jego przeznaczeniem (i tu głośno ziewnął, żeby nieco dotrzymać sobie towarzystwa) było czynić dzień z nocy. Nawet o tym nie wiedząc, w czasie wojny od razu przydzielili go do tego pięknego zadania, by nocą, stojąc na szczycie dachów, strącać z nieba samoloty.

Nagle zerwał się na równe nogi. Nadstawił uszu i napiął w pogotowiu wszystkie nerwy. Huk pompy niespodziewanie zrobił się powolny i kleisty, jakby towarzyszył mu wysięk. I rzeczywiście, wskazówka próżniomierza, niby grozący palec, podążyła ponownie w kierunku zera i oto, stopień po stopniu, zaczęła przechylać się na prawo. Nie było rady, w kotle rosło ciśnienie.

„Wyłącz i uciekaj”. „Wyłącz wszystko i uciekaj”. Ale nie uciekł – złapał klucz francuski i zaczął okładać rurę na całej jej długości. Musiała się zapchać, nie było innej możliwości. Uderzał i uderzał. Nic z tego, pompa dalej obracała się na próżno, a wskazówka podrygiwała przy trzeciej atmosferze.

Lanza poczuł, że zjeżyły mu się wszystkie włosy, jak na ogonie rozwścieczonego kota. Bo też i był wściekły, pełen krwawej i szaleńczej złości na kocioł, na tę stojącą na ogniu narowistą bestię, która ryczała jak jakiś byk, rozżarzona, podobna do ogromnego jeża o nastawionych kolcach, którego nie wiadomo, jak dotknąć lub złapać, aż ma się ochotę go kopnąć. Z zaciśniętymi pięściami i z gorącą głową Lanza złorzeczył, starając się odemknąć przykrywą, żeby zmniejszyć ciśnienie. Zaczął poluzowywać śruby i oto ze szpary, skwiercząc, trysnęła żółtawa ślina wraz z podmuchami smrodliwego dymu. Kocioł musiał być pełen piany. Lanza pośpiesznie zamknął na powrót przykrywą, z przemożną chęcią, by zadzwonić po magistrę, po straż pożarną, po Ducha Świętego, żeby wynurzyli się z nocy i udzielili mu pomocy lub porady.

Kocioł nie był przystosowany do takiego ciśnienia i mógł wybuchnąć w każdej chwili. Przynajmniej tak uważał Lanza, choć może gdyby był dzień i gdyby nie był sam, tak by nie pomyślał. Strach przerodził się w gniew, a kiedy gniew się wygotował, jego głowa była zimna i pusta. Wtedy pomyślał o czymś najbardziej oczywistym. Odkręcił zawór wirnika zasysającego, uruchomił go, zamknął zawór napowietrzający i zatrzymał pompę. Z ulgą i z dumą, jak dobrze to wszystko wykombinował, patrzył na wskazówkę, która, niczym powracająca do owczarni zagubiona owieczka, powędrowała aż do zera, po czym ponownie przechyliła się na stronę próżni.

Rozejrzał się dookoła przepełniony chęcią, by się roześmiać i o wszystkim komuś opowiedzieć. Odczuwał lekkość we wszystkich członkach. Dojrzał na ziemi papierosa zamienionego w długi cylinder popiołu – sam się wypalił. Była piąta dwadzieścia, spoza dachu, nad pustymi beczkami wynurzał się świt, termometr wskazywał 210 stopni. Pobral próbkę z kotła, pozostawił do ostygnięcia i sprawdził odczynnikiem. Probówka przez chwilę pozostała przezroczysta, ale potem zrobiła się biała jak mleko, Lanza zgasił ogień, zatrzymał mieszadło oraz wirnik i otworzył zawór napowietrzający. Dało się słyszeć przeciągły, gniewny gwizd, który stopniowo przerodził się w trzask, potem szmer, aż w końcu zamilkł. Przykręcił rurkę wgłębną, uruchomił kompresor i spośród białych oparów oraz dobrze

znanego kwaśnego zapachu tryumfalnie wypłynął strumień żywicy, rozlewając się po zbiorniku połyskliwym, czarnym lustrem.

Lanza ruszył w stronę furtki, gdzie spotkał wchodzącego Carminego. Powiedział mu, że wszystko jest w porządku, przekazał instrukcje i zabrał się do pompowania kół od roweru.

TYTAN

Felicemu Fantino

W kuchni stał jakiś mężczyzna, bardzo wysoki, ubrany w sposób, jakiego Maria nigdy wcześniej nie widziała. Na głowie miał zrobioną z gazety czapeczkę, palił fajkę i malował szafkę na biało.

To było niepojęte, jak cała ta biel mogła zmieścić się w tak małej puszcze i Maria umierała z ciekawości, żeby podejść i zajrzeć do środka. Mężczyzna co chwila odkładał fajkę na szafkę i gwizdał. Potem przestawał gwizdać i zaczynał śpiewać. Co jakiś czas cofał się o dwa kroki i przymykał jedno oko albo szedł splunąć do kosza na śmiecie, a następnie zewnętrzną stroną dłoni wycierał sobie usta. Krótko mówiąc, robił tyle niezwykłych i nowych rzeczy, że było czymś zajmującym stać tak i na niego patrzeć. Kiedy szafka była już biała, podniósł z ziemi puszkę i gazety, ułożył wszystko obok kredensu i zabrał się do malowania także i tego mebla.

Szafka była tak błyszcząca, czysta i biała, że niemalże odczuwało się potrzebę, żeby jej dotknąć. Maria podeszła bliżej, jednak mężczyzna spostrzegł ją i powiedział:

– Nie dotykaj. Nie wolno tego dotykać.

Maria zatrzymała się i zapytała:

– Dlaczego?

Na co mężczyzna odpowiedział:

– Bo nie wolno.

Maria zastanowiła się, po czym znowu zapytała:

– Dlaczego jest taka biała?

Także mężczyzna chwilę się zastanowił, jak gdyby pytanie sprawiło mu trudność, a potem odrzekł z głębokim namysłem:

– Od tytanu.

Maria poczuła, jak po plecach przebiegły jej rozkoszne ciarki strachu, tak jak wtedy, kiedy w bajkach pojawia się wilkołak. Przyjrzała się uważnie i stwierdziła, że mężczyzna nie miał noża, ani w ręku, ani blisko siebie: mógł go jednak schować. Więc spytała:

– Co mi odetniesz? – na co on powinien odrzec: „Odetnę ci język”. Zamiast tego powiedział tylko:

– Nie odetnę – od tytanu⁶⁰.

Jednym słowem, musiał to być człowiek niezwykle potężny. Mimo wszystko nie wydawał się zagniewany, a raczej dobry i przyjazny. Maria zapytała:

– Proszę pana, jak masz na imię?

On odpowiedział:

– Nazywam się Felice. – Nie wyjął z ust fajki i kiedy mówił, podskakiwała i opadała w dół, ale mimo to nie wypadła. Maria stała chwilę w ciszy, spoglądając to na mężczyznę, to na szafkę. Nie była ani trochę zadowolona z tej odpowiedzi i chciała zapytać, dlaczego nazywa

⁶⁰ W języku włoskim występuje podobieństwo fonetyczne pomiędzy wyrazem *titanio* – tytan, a wyrażeniem *ti taglio* – odetnę ci.

się Felice, ale zabrakło jej śmiałości, ponieważ przypomniała sobie, że dzieci nigdy nie powinny pytać dlaczego. Jej przyjaciółka miała na imię Alice i była dziewczynką, i to doprawdy dziwne, żeby mężczyzna tak duży jak ten tutaj nazywał się Felice. Po chwili jednak wydało jej się czymś naturalnym, że właśnie tak się nazywał, a nawet miała wrażenie, że nie mógłby się nazywać inaczej.

Pomalowana szafka była tak biała, że w porównaniu z nią wszystkie pozostałe przedmioty w kuchni wydawały się żółte i brudne. Maria stwierdziła, że nie byłoby nic złego w tym, gdyby podeszła zobaczyć ją z bliska, Tylko żeby popatrzeć, bez dotykania. Ale kiedy zbliżała się na palcach, zdarzyło się coś nieoczekiwanego i strasznego: mężczyzna odwrócił się i uczyniwszy dwa kroki, znalazł się koło niej. Wyciągnął z kieszeni białą kredę i narysował na podłodze krąg wokół Marii. Potem powiedział:

– Nie wolno ci stąd wyjść. – Po czym potarł zapałkę, zapalił fajkę, robiąc przy tym dziwne grymasy, i na powrót zabrał się do malowania kredensu.

Maria przykucnęła i długo i uważnie przyglądała się okręgowi. Musiała jednak uznać, że nie było z niego żadnego wyjścia. Spróbowała potrząść okrąg w jednym miejscu palcem i stwierdziła, że ślad kredy zniknął. Jednak doskonale wiedziała, że Felice nie pochwaliłby tego sposobu.

Krąg był ewidentnie kręgiem magicznym. Maria usiadła na ziemi, milcząca i spokojna. Co jakiś czas wstawiała i próbowała przesunąć się tak, żeby dotykać koła czubkami palców u stóp. Podniosła się i wychyliła do przodu, prawie tracąc równowagę. Jednak dość szybko spostrzegła, że aby dosięgnąć do szafki albo do ściany, sporo jej jeszcze brakowało. Stała więc i podziwiała, jak powoli, powoli także kredens, krzesła i stół robią się białe i piękne.

Po dłuższym czasie mężczyzna odłożył pędzel i puszkę, zdjął z głowy czapkę z gazety i dopiero wtedy można było zobaczyć, że miał włosy jak wszyscy inni ludzie. Potem wyszedł od strony balkonu i Maria słyszała, jak przestawia przedmioty i chodzi w tę i z powrotem w pokoju obok. Zawołała:

– Proszę pana! – najpierw po cichu, potem głośniej, ale tylko trochę, bo w głębi duszy bała się, że mężczyzna ją usłyszy.

Wreszcie Felice wrócił do kuchni. Maria zapytała:

– Proszę pana, czy teraz mogę wyjść?

Mężczyzna spojrzał w dół na Marię i na krąg, zaśmiał się głośno i powiedział wiele niezrozumiałych rzeczy, ale nie wydawał się zagniewany. Na końcu oświadczył:

– Oczywiście, że teraz możesz już wyjść.

Maria patrzyła na niego zakłopotana i nie ruszała się z miejsca. Wtedy on wziął szmatkę i bardzo dokładnie wytarł koło, żeby zdjąć czar. Kiedy krąg zniknął, dziewczynka wstała i oddaliła się w podskokach, bardzo zadowolona i uszczęśliwiona.

ARSEN

Jak na klienta miał nietypowy wygląd. Do naszego skromnego i działającego na wariackich papierach laboratorium, z prośbą o analizę najbardziej rozpaczliwych towarów, przychodzili różni ludzie, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, wszyscy jednak w widoczny sposób stanowili część owej wielkiej, podejrzanej i przebiegłej kupieckiej siatki. Kogoś, kto zawodowo para się handlem, łatwo rozpoznać: ma czujne oko i napiętą twarz, obawia się oszustwa lub je rozważa i czai się w pogotowiu niczym kot o zmierzchu. Jest to zawód, który wyniszcza nieśmiertelną duszę. Byli filozofowie dworzanie, filozofowie szlifierze soczewek, a nawet filozofowie inżynierowie i stratedzy, ale żaden filozof, o ile mi wiadomo, nie był ani hurtownikiem, ani sklepikarzem.

Przyjąłem go ja, ponieważ Emilio był nieobecny. Mógłby być filozofem wieśniakiem: był to krzepki i rumiany staruszek o ciężkich, wykrzywionych przez pracę i reumatyzm dłoniach. Oczy miał jasne, ruchliwe i młodzieńcze pomimo opadających pod nimi dużych, delikatnych worków. Nosił kamizelkę, a z jej kieszonki zwisał łańcuszek od zegarka. Mówił po piemoncku, co od razu wprawiło mnie w zakłopotanie. Nie jest w dobrym tonie odpowiadać po włosku komuś, kto zwraca się do nas w dialekcie. Od razu stawia to człowieka po drugiej stronie muru, po stronie *aristos*⁶¹, ludzi dobrze sytuowanych, „luiginich”, jak nazywał ich pewien mój znakomity imiennik⁶². Jednak mój piemoncki, poprawny pod względem formy i dźwięków, jest tak gładki i monotony, tak ugrzeczniomy i niemrawy, że brzmi niezbyt autentycznie. Bardziej niż naturalnym przejawem atawizmu wydaje się owocem wytrwałego ślęczenia nad gramatyką i słówkami przy oświetlonym lampą pulpicie.

A zatem w doskonałym piemonckim, z wyrazistym zabarwieniem dialektu z okolic Asti, powiedział, że ma do zbadania nieco cukru. Chciał wiedzieć, czy był to cukier, czy nie i czy przypadkiem nie zawierał jakiegoś świństwa (*saloparìa*). Jakiegoś świństwa? Wy tłumaczyłem mu, że jeśli sprecyzuje swoje podejrzenia, ułatwi mi zadanie. Odparł jednak, że nie chce niczego sugerować, miałem wykonać analizę najlepiej, jak umiałem, a o swoich przypuszczeniach opowie mi potem. Zostawił mi w rękę torebkę, a w środku dobre pół kilo cukru, powiedział, że wróci następnego dnia, pożegnał się i wyszedł. Nie zjechał windą, zszedł spokojnie po czterech rzędach schodów. Musiał być człowiekiem żyjącym bez zmartwień i bez pośpiechu.

Przychodziło do nas stosunkowo niewielu klientów, robiliśmy niewiele analiz i zarabialiśmy niewiele pieniędzy. Z tego powodu nie mogliśmy kupić nowoczesnych i szybkich urządzeń, nasze opinie były opieszale, a analizy trwały o wiele dłużej, niż to zwykle bywa. Nie mieliśmy nawet tabliczki od ulicy, więc koło się zamykało i klientów było jeszcze mniej. Próbkę, jakie pozostawiali do przebadania, stanowiły znaczny wkład w nasze utrzymanie. Emilio i ja dbaliśmy o to, by nikogo nie poinformować, że w zasadzie wystarczyłoby kilka gramów produktu, i z chęcią przyjmowaliśmy litr wina lub mleka, kilo makaronu lub mydła, paczkę pierożków z mięsem.

⁶¹ *Aristos* (fr.) – tak określano arystokratów w czasie rewolucji francuskiej.

⁶² Mowa o Carlu Levim (1902-1975), włoskim pisarzu i przedstawicielu neorealizmu. Nazwa *luigini* wywodzi się od imienia Don Luiginiego – jednej z postaci powieści Carla Leviego *Cristo si è fermato a Eboli*.

Niemniej jednak, biorąc pod uwagę anamnezę lub, innymi słowy, podejrzenia staruszka, byłoby nieostrożnością w ciemno skonsumować ten cukier, a nawet choćby go spróbować. Rozpuściłem jego odrobinę w wodzie destylowanej: roztwór zrobił się mętny, z pewnością coś było nie tak. Odważyłem gram cukru w platynowym tyglu (wielkości żrenicy oka), żeby spopielić go nad płomieniem. W zanieczyszczonym powietrzu naszego laboratorium unióś się swojski, znany z dzieciństwa zapach palonego cukru. Jednak zaraz potem płomień zrobił się siny i dało się wyczuć zupełnie inną woń, metaliczną, czosnkową, nieorganiczną, a wręcz aorganiczną. Biada, jeśli chemikowi miałyby zabraknąć wrażliwego nosa. W tej sytuacji trudno było o pomyłkę. Należało jeszcze przefiltrować roztwór, zakwasić, wziąć aparat Kippa i przepuścić przez niego siarkowodór. A oto i żółty osad siarczku, tlenek arsenu, jednym słowem arsenik, czyli Silny, ten od Mitrydatesa i Madame Bovary.

Resztę dnia spędziłem na destylacji kwasu pirogronowego, snując rozważania nad cukrem starszego pana. Nie wiem, jak teraz przygotowuje się kwas pirogronowy. My w tamtych czasach topiliśmy kwas siarkowy i sodę w emaliowanym rondlu, otrzymując w ten sposób wodorosiarczan, który wylewaliśmy na gołe podłoże, żeby zasechł, po czym mieliliśmy w młynku do kawy. Następnie rozgrzewaliśmy do 250 stopni mieszaninę wyżej wspomnianego wodorosiarczanu z kwasem winowym, tak aby kwas odwodził się do kwasu pirogronowego oraz uległ destylacji. Z początku próbowaliśmy wykonać tę operację w naczyniach ze szkła, rozbijając przy tym ich ogromną liczbę. Potem kupiliśmy w sklepie ze złomem dziesięć blaszanych kanistrów pochodzących z demobilu ARAR⁶³, z gatunku tych, jakich używano do przechowywania benzyny przed nastaniem polietylenu.

Zdawały się nam odpowiednie do naszych celów. Ponieważ klient był zadowolony z jakości produktu oraz obiecał nowe zamówienia, podjęliśmy szybką decyzję i u lokalnego kowala zamówiliśmy zgrzebny, cylindryczny reaktor z czarnej blachy, zaopatrzony w ręczne mieszadło. Reaktor umieściliśmy w studni z pełnych cegieł. Na jej dnie oraz ścianach znajdowały się cztery 1000-watowe oporniki, nielegalnie podłączone powyżej licznika. Kolego, który czytasz niniejsze słowa, nie dziw się zbytnio, słuchając opowieści o tej chemii prekolumbijskiej i odpadkowej. W tamtych czasach nie my jedyni, i nie tylko my, chemicy, żyliśmy w taki sposób. Na całym świecie sześć lat wojny i zniszczeń przyczyniło się do upadku wielu cywilizowanych obyczajów oraz stopienia wielu potrzeb, spośród których, w pierwszym rzędzie, potrzeby dobrego smaku.

Z końca chłodnicy spiralnej kwas wpadał do kolektora ciężkimi, złotymi kroplami, w których załamywało się światło niczym w drogocennych kamieniach. Jednym słowem, kwas destylował się, kropla za kroplą. Każde dziesięć kropli to jeden lir zarobku. Ja tymczasem oddawałem się rozmyślaniom nad arsenikiem i starszym panem. Nie wydawał mi się kimś, kto powinien obawiać się otrucia, ani nawet kimś, kto już go doświadczył, i nie mogłem dojść, o co w tym wszystkim chodziło.

Mężczyzna wrócił następnego dnia. Nalegał, bym przyjął wynagrodzenie jeszcze przed podaniem wyników analizy. Kiedy je obwieściłem, twarz rozjaśnił mu tajemniczy i pomarszczony uśmiech. Oświadczył:

– Miło mi to słyszeć. Zawsze mówiłem, że tak to się skończy.

Było jasne, że czekał na choćby niewielką zachętę z mojej strony, aby opowiedzieć mi pewną historię. Uczyniłem zadość jego potrzebie i tak oto przedstawia się ta historia, nieco okaleczona w wyniku tłumaczenia z dialektu piemonckiego, języka przede wszystkim mówionego, na marmurowy język włoski, pasujący raczej do nagrobków.

– Z zawodu jestem szewcem. Jeśli zacząć już w młodych latach, nie jest to zły zawód. Człowiek siedzi, nie męczy się zbytnio, spotyka ludzi, z którymi może zamienić dwa słowa. Z pewnością nie da się zbić na tym fortuny i całe dni spędza się, trzymając w dłoniach cudze

⁶³ ARAR – Azienda Rilievo e Alienzone Residuati – instytucja utworzona w celu zbycia dóbr skonfiskowanych nieprzyjacielowi bądź też pozostawionych przez wycofujące się wojska alianckie.

buty. Do tego jednak da się przywyknąć, tak jak do zapachu starej skóry. Mój zakład znajduje się na rogu via Gioberti i via Pastrengo. Pracuję tam już od trzydziestu lat, to ja jestem szewcem... (on jednak mówi: „l caglié”, „caligarius”. To czcigodne słowo, które powoli zanika) szewcem z San Secondo. Znam wszystkie trudne stopy i do pracy wystarczają mi młotek i dratwa. Zjawił się w okolicy pewien młodzieniec, nawet nie pochodził stąd. Wysoki, przystojny i ambitny. Otworzył zakład o rzut kamieniem od mojego i cały zastawił maszynami: do rozciągania, do rozbijania, do szycia, do przybijania podeszew. Nawet nie umiałbym panu powiedzieć, do czego jeszcze, nigdy tam nie byłem, żeby zobaczyć, opowiedziano mi o tym. Umieścił wizytówki ze swoim adresem i numerem telefonu we wszystkich skrzynkach na listy w okolicy. Tak, nawet z numerem telefonu, jak jakaś akuszerka.

Pewnie pan sądzi, że interes od razu szedł mu dobrze. W pierwszych miesiącach tak. Trochę z ciekawości, trochę, żeby podsyć konkurencję, ktoś tam do niego poszedł. A także dlatego, że z początku miał niskie ceny. Potem jednak był zmuszony je podnieść, kiedy się zorientował, że musi dopłacać. Proszę zwrócić uwagę, że mówię o tym panu, wcale źle mu nie życzę. Widziałem już ja takich jak on, co to ruszają jak z kopyta, a potem rozbijają sobie głowy, szewcy, ale i nie tylko szewcy. Ale on, jak się dowiedziałem, źle życzył mnie. Opowiadają mi wszystko, a wie pan kto? Staruszki, te co to je nogi bolą i nie lubią już chodzić, i mają tylko jedną parę butów. Przychodzą do mnie, a kiedy tak siedzą i czekają, aż im naprawię buty, przekazują mi plotki, gadają o tym i owym.

On źle mi życzył i rozpuszczał w okolicy masę łgarstw. Że podbijam buty kartonem. Że co wieczór się upijam. Że dla odszkodowania doprowadziłem do śmierci własną żonę. Że pewnemu mojemu klientowi przebił się ćwiek od podeszwy, a on potem zmarł na tężec. Więc rozumie pan, że po tym wszystkim nie zdziwiłem się zbyt, kiedy pewnego ranka, pomiędzy butami na ten dzień, znalazłem tę oto torebkę. Od razu zorientowałem się, co to za sztuczka, ale chciałem się upewnić. Dałem więc nieco cukru kotu, a po dwóch godzinach kot poszedł do kąta i zwymiotował. Drugie tyle nasypałem do cukiernicy. Wczoraj ja i córka posłodziliśmy kawę i po dwóch godzinach wymiotowaliśmy oboje. Teraz mam jeszcze pańskie potwierdzenie i jestem zadowolony.

– Chce pan złożyć donos? Potrzebne panu oświadczenie?

– Ależ nie. Mówiłem panu, to tylko nieszczęsny człowiek, nie chcę go zrujnować. Nawet gdy chodzi o pracę, świat jest duży i starczy w nim miejsca dla każdego. On tego nie wie, ale ja tak.

– A zatem?

– A zatem jutro odeślę mu torebkę przez jedną z moich staruszek, razem z liścikiem. Albo nie – sam chcę mu ją zanieść, w ten sposób zobaczę, jaką zrobi minę, i powiem mu parę rzeczy do słuchu. – Rozejrzał się dookoła, jakby był w muzeum, po czym dodał: – Piękna praca, także i pańska. Potrzebuje dobrego oka i cierpliwości. Kto ich nie ma, lepiej, żeby znalazł sobie inne zajęcie.

Pożegnał się, wziął torebkę i nie korzystając z windy, zszedł na dół z właściwą mu stateczną godnością.

AZOT

I w końcu zjawiał się klient wymarzony, taki, który potrzebował naszej porady. Doradztwo jest idealnym zajęciem, z gatunku tych, dzięki którym człowiek zyskuje prestiż i pieniądze, nie brudząc sobie przy tym rąk, nie nadwyrężając kręgosłupa ani nie ryzykując przypaleniem czy zatruciem. Trzeba jedynie zdjąć fartuch, włożyć krawat, wysłuchać w uważnej ciszy zapytania, czując się przy tym jak wyrocznia delficka. Następnie należy dobrze wyważyć odpowiedź i sformułować ją w niejasnym i pokrętnym języku, tak by także klient uznał nas za wyrocznię delficką godną jego zaufania oraz stawki wyznaczonej przez Izbę Chemików.

Wymarzony klient miał około czterdziestki, był niski, krępy i otyły. Nosił wąsik a la Clark Gable i wszędzie sterczały mu kępki czarnych włosów: w uszach, w nozdrzach, na grzbiecie dłoni oraz na palcach, niemalże do samych paznokci. Był wyperfumowany i wypomadowany i wyglądał wulgarnie. Wydawał się sutenerem, a raczej kiepskim aktorem w roli sutenera, albo jeszcze lepiej – elegancikiem z przedmieścia. Wy tłumaczył mi, że jest właścicielem fabryki kosmetyków i pewien rodzaj szminki przysparza mu kłopotów. Dobrze, niech więc przyniesie jej próbkę. Ależ nie, powiedział, był to problem szczególny, który powinno się zbadać na miejscu. Byłoby lepiej, gdyby któryś z nas go odwiedził i w ten sposób przekonamy się, na czym polega owa niedogodność. A zatem do jutra o dziesiątej? Do jutra.

Wspaniale byłoby zajechać na miejsce samochodem, ale z pewnością gdybyś był chemikiem z samochodem, a nie jakimś nędznym wojennym niedobitkiem, przygodnym pisarzem, w dodatku świeżo ożenionym, nie siedziałbyś tutaj, pocąc się nad kwasem pirogronowym i uganiając za podejrzanymi producentami szminek. Założyłem najlepszy z moich (dwóch) garniturów i stwierdziłem, że lepiej będzie zostawić rower w jakimś pobliskim podwórzu i udać, że przyjechałem taksówką. Jednak kiedy wszedłem do fabryki, przekonałem się, że w tym wypadku nie należało przejmować się kwestią prestiżu. Była to brudna i zagracona hala, pełna przeciągów, po której kręcił się jakiś tuzin nadętych, flegmatycznych, spoconych i krzykliwie umalowanych dziewcząt. Właściciel udzielił mi stosownych wyjaśnień, pękając z dumy i zgrywając waźniaka. Mówił „rouge” na szminki, „anelina” na anilinę i „adelaide” na aldehyd benzoowy. Produkcja była prosta: jedna z dziewcząt topiła pewne rodzaje wosku oraz tłuszcz w zwykłym emaliowanym garnku, dodawała nieco zapachu i barwnika, a potem zlewała wszystko do miniaturowej formy. Inna schładzała formy pod bieżącą wodą i z każdej wyciągała dwadzieścia szkarłatnych cylindrów szminki. Jeszcze inne dziewczęta zajmowały się pakowaniem. Właściciel w brutalny sposób chwycił jedną z nich, ujął dłonią za kark, żeby przybliżyć jej usta do moich oczu, i poprosił, bym uważnie zaobserwował obwódkę. No właśnie, jak pan widzi, w parę godzin po nałożeniu, szczególnie kiedy jest gorąco, *rouge* się przemieszcza, wciska w drobne zmarszczki, które mają wokół ust nawet młode kobiety, i w ten sposób powstaje brzydka pajęczynka czerwonych żyłek, która rozmazuje kontur i niweczy cały efekt.

Spojrzałem nie bez zażenowania. Czerwone żyłki były tam w rzeczy samej, ale tylko na prawej połowie ust dziewczyny, która obojętnie poddawała się oględzinom, żując przy tym amerykańską gumę. Nic dziwnego, objaśnił mi właściciel: lewa połowa ust tej, jak i wszystkich pozostałych dziewcząt, była umalowana doskonałym produktem francuskim, właśnie tym, który on na próżno usiłował naśladować. Szminkę można ocenić tylko za

pomocą porównania praktycznego. Co rano każda dziewczyna miała obowiązek się umalować, po prawej szminką jego produkcji, a po lewej tą drugą. On zaś całował je wszystkie osiem razy dziennie, żeby sprawdzić, czy produkt jest odporny na pocałunki.

Poprosiłem elegancika o przepis na jego szminkę, a także o próbki obydwu produktów. Kiedy czytałem przepis, od razu zrodziło się we mnie podejrzenie, skąd wziął się ów defekt. Mimo to uważałem, że rozsądnie byłoby się co do tego upewnić oraz sprawić, by wyrocznia spadła na elegancika niczym objawienie. Poprosiłem o dwa dni czasu „na analizy”. Poszedłem po rower i pedałując w drodze powrotnej, myślałem sobie, że jeśli ten interes się uda, to może będę mógł zamienić rower na Velosolex i zarzucić pedałowanie.

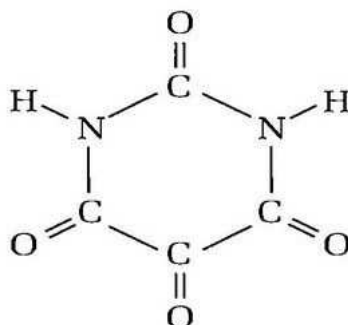
Kiedy wróciłem do laboratorium, wziąłem bibułę filtracyjną i naniósłem na nią dwie czerwone kropki z obydwu próbek. Całość umieściłem w piecyku rozgrzanym do 80°C. Po kwadransie widać było, że kropka szminki po lewej stronie pozostała kropką, choć otoczoną tłustym pierścieniem. Natomiast kropka szminki po prawej stronie wyblakła, rozlała się i zamieniła w różowawą aureolę wielkości monety. W przepisie mojego klienta figurował rozpuszczalny barwnik. Było jasne, że kiedy ciepło skóry pań (albo mojego piecyka) doprowadzało tłuszcz do topnienia, barwnik podążał za nim w jego wędrówce. Natomiast druga szminka musiała zawierać czerwony pigment, dobrze rozproszony, choć nierozpuszczalny i w związku z tym nie przemieszczający się. Upewniłem się o tym z łatwością, rozcieńczając szminkę benzenem: pigment osiadł na dnie próbki. Dzięki doświadczeniu zdobytemu w fabryce nad brzegiem jeziora udało mi się go zidentyfikować. Był to kosztowny barwnik, niełatwo podlegający dyspersji, a zresztą elegancik nie posiadał odpowiednich do tego urządzeń. No cóż, to jego problem, niech sam sobie radzi, razem z tym swoim harem dziewcząt-świnek doświadczalnych i z ohydnyimi pocałunkami wymierzanymi w rytmie taksometru. Ja spełniłem mój zawodowy obowiązek. Sporządziłem sprawozdanie, załączyłem opatrzoną pieczęciami fakturę oraz próbkę z bibuły filtracyjnej, dostarczyłem, zainkasowałem wynagrodzenie i szykowałem się do pożegnania.

Jednak elegancik zatrzymał mnie. Był zadowolony z mojej pracy i chciał zaproponować mi pewien interes. Czy mógłbym dostarczyć mu kilka kilogramów alloksanu? Dobrze by zapłacił, jeśli zobowiązę się na piśmie, że będę go dostarczał tylko jemu. Przeczytał w nie pamiętam już jakim czasopiśmie, że alloksan w kontakcie ze śluzówką zapewnia jej niezwykle trwałe czerwone zabarwienie. Nie chodzi tu już bowiem o nałożenie koloru, czyli jednym słowem o farbę, którą jest szminka, ale o prawdziwe barwienie, jak to się robi z wełną czy z bawełną.

Przełknąłem ślinę i na wszelki wypadek odpowiedziałem, że zobaczę, co da się zrobić. Alloksan nie jest powszechnie używaną ani powszechnie znaną substancją. Nie wydaje mi się, by mój stary podręcznik do chemii organicznej poświęcał mu więcej niż pięć linijek. W tamtej chwili przypomiinałem sobie mgliście jedynie to, że był pochodną mocznika i miał coś wspólnego z kwasem moczowym.

Kiedy tylko znalazłem trochę czasu, pośpieszyłem do biblioteki. Mam tu na myśli szacowną bibliotekę Instytutu Chemicznego Uniwersytetu Turyńskiego, w tamtych czasach niedostępną dla niewiernych niczym Mekka i z trudem dostępną także dla wyznawców, takich jak ja. Wydawało się, że dyrekcja stosowała rozsądną zasadę zniechęcania przedstawicieli rzemiosła i nauki. Tylko ktoś powodowany absolutną potrzebą lub niepohamowaną pasją dobrowolnie poddałby się próbom, przez które należało przejść, by skorzystać z woluminów. Godziny otwarcia były krótkie i absurdalne, oświetlenie niedostateczne, katalogi w nieładzie, zimą brakowało ogrzewania, a zamiast krzeseł udostępniono jedynie metalowe stołki, niewygodne i hałaśliwe. Wreszcie bibliotekarz był niekompetentnym ordynusem, aroganckim i odznaczającym się nieprzyzwoitą wręcz brzydota, wyniesionym do tej godności chyba tylko po to, by swoim wyglądem oraz warczeniem odstraszać chętnych do wejścia. Udało mi się

dostać do środka, przeszedłem przez próby i w pierwszym rzędzie pośpieszyłem, by odświeżyć sobie wiedzę o składzie i strukturze alloksanu. Oto jego portret:



gdzie O jest tlenem, C węglem, H wodorem (Hydrogenium), a N azotem (Nitrogenium). To zgrabna struktura, nieprawdaż? Przywodzi na myśl coś solidnego, stabilnego, dobrze połączonego. W rzeczy samej, w chemii dzieje się tak jak w architekturze, gdzie budynki „piękne”, a więc symetryczne i proste, są także tymi najbardziej solidnymi. Jednym słowem, w przypadku cząsteczek zachodzi to samo zjawisko, co w odniesieniu do kopuł katedr czy łuków mostów. Możliwe też, że wytłumaczenia nie trzeba szukać daleko i nie jest ono transcendentalnej natury. Powiedzieć „piękny” to to samo, co powiedzieć „pożądany”. A od kiedy tylko człowiek wznosi budowle, pragnie robić to jak najmniejszym kosztem i z perspektywą jak najdłuższego ich trwania, zaś przyjemność doznań estetycznych, które niesie kontemplacja dzieła, przychodzi później. Oczywiście, nie zawsze tak się działo. Były i takie stulecia, kiedy piękno utożsamiano z ornamentami, dodatkami, ozdobnikami. Możliwe jednak, że były to epoki dewiacyjne, a prawdziwe piękno, to, z którym każdy wiek się utożsamia, jest owym pięknem strzelistych kamieni, kadłubów okrętów, ostrza topora oraz skrzydła samolotu.

Skoro już uznałeś i doceniłeś strukturalne cnoty alloksanu, jest rzeczą pilną, żebyś ty, chemiku gawędziarzu, tak rozmiłowany w dygresjach, powrócił do swoich obowiązków, które polegają na prostytuowaniu się z materią, ażeby zapewnić sobie utrzymanie. Dziś zresztą już nie tylko sobie. Z szacunkiem otworzyłem szafę z „Zentralblattem” i zacząłem przeglądać rocznik po roczniku. *Chapeau bas* przed „Chemisches Zentralblatt”. Jest to czasopismo nad czasopismami, które, od kiedy tylko chemia istnieje, donosi w formie wściekle krótkiego streszczenia o wszelkich publikacjach na tematy chemiczne, jakie tylko pojawiają się w czasopismach na całym świecie. Pierwsze roczniki stanowią cienkie trzystu- lub czterystustronicowe tomy. Dzisiaj corocznie produkuje się czternaście tomów po 1300 stron każdy, dołączając do nich imponujące indeksy autorów, tematyczny oraz formuł chemicznych. Można tu odnaleźć godne szacunku skamieliny, jak na przykład legendarne już wspomnienia, w których nasz ojciec Wohler snuje opowieść o pierwszej syntezie organicznej lub gdzie Sainte-Claire Deville opisuje pierwsze wytrącenie metalicznego aluminium.

Z „Zentralblattu” przerzuciłem się na Beilsteina, równie monumentalną encyklopedię, na bieżąco uaktualnianą, w której, niczym w rejestrze urodzin, opisane są jeden po drugim każdy nowy związek chemiczny wraz z metodą jego otrzymania. Alloksan był już znany niemalże od siedemdziesięciu lat, ale jako laboratoryjna ciekawostka. Podane sposoby jego przygotowania miały charakter czysto akademicki i zakładały użycie kosztownych surowców, których (w owym tużpowojennym okresie) próżno byłoby szukać na rynku. Jediną możliwą metodą była metoda najstarsza. Nie wydawała się zbyt skomplikowana i polegała na utlenieniu kwasu moczowego. Dokładnie tak: kwasu moczowego, tego od artretyków,

zarłoków i kamicy nerkowej. Był to zdecydowanie niecodzienny surowiec, ale być może nie tak nieosiągalny jak pozostałe.

I rzeczywiście, dzięki kolejnym poszukiwaniom pośród wupurowanych regałów, pachnących kamforą, woskiem oraz wielowiekowym chemicznym znojem, dowiedziałem się, że kwas moczowy, występujący w skąpych ilościach w ludzkich odchodach, stanowi 50 procent ekskrementów ptaków i 90 procent ekskrementów gadów. Doskonale. Zadzwoiłem do elegancika i powiedziałem, że rzecz można zorganizować, niech tylko da mi kilka dni czasu. W przeciągu miesiąca dostarczę mu pierwszą próbkę alloksanu i równocześnie podam w przybliżeniu cenę oraz ilość, jaką mógłbym miesięcznie wyprodukować. To, że alloksan przeznaczony do upiększania damskich ust miał pochodzić z odchodów kur lub pytonów, ani trochę mnie nie zaniepokoiło. Zawód chemika (w połączeniu, w moim przypadku, z doświadczeniem z Auschwitz) uczy przewycięzać, a wręcz ignorować pewne odruchy obrzydzenia, które nie są powodowane własną potrzebą albo wrodzonym instynktem. Materia to materia, nie jest ani szlachetna, ani podła – jest nieskończenie przetwarzalna i to absolutnie bez znaczenia, jakie było jej poprzednie wcielenie. Azot to azot, w cudowny sposób przechodzi z powietrza do roślin, z roślin do zwierząt, a ze zwierząt do nas. Kiedy w naszym ciele jego rola dobiegnie końca, wydalamy go, ale wciąż pozostaje azotem, czystym i niewinnym. My, mam na myśli nas, ssaki, nie mając większych kłopotów z zaopatrzeniem w wodę, nauczyliśmy się, jak uwięzić azot w rozpuszczalnej w wodzie cząsteczce mocznika, i jako mocznika się go pozbywamy. Inne zwierzęta, dla których woda jest cenna (lub była cenna dla ich odległych przodków), wpadły na sprytny pomysł, by zapakować swój azot w formie nierozpuszczalnego w wodzie kwasu moczowego i pozbywać się go pod postacią stałą, bez uciekania się do wody jako do środka transportu. W analogiczny sposób dzisiaj myśli się o tym, by pozbywać się miejskich odpadów, tworząc z nich zbite bele, które można małym kosztem przewieźć na wysypisko lub zakopać.

Powiem więcej: ponieważ byłem daleki od zniesmaczenia, myśl, by uzyskać produkt kosmetyczny z ekskrementów, a więc *aurum de stercore*⁶⁴, bawiła mnie i rozgrzewała moje serce, jakby chodziło o powrót do korzeni, kiedy alchemicy wydobywali fosfor z uryny. Było to działanie niecodzienne i wesołe, a także szlachetne, ponieważ nobiletowało, odnawiało i przywracało pierwiastek do dawnej świetności. Tak też czyni natura: wydobywa urok paproci ze zgnilizny leśnego runa, a łąkę spod łajna. I czyż *laetamen*⁶⁵ nie znaczy przypadkiem „uszcześliwienie”? Tak nauczono mnie w liceum, tak było u Wergiliusza i tym znowu miało stać się dla mnie. Wieczorem wróciłem do domu, wytłumaczyłem świeżo upieczonej żonie kwestię alloksanu oraz kwasu moczowego i oświadczyłem, że następnego dnia wyruszam w podróż w interesach. Oznaczało to, że wezmę rower i objadę nim gospodarstwa na peryferiach miasta (w tamtych czasach jeszcze takie istniały) w poszukiwaniu kurzego łajna. Nie zawahała się: lubi wieś, zaś żona musi podążać za mężem. Pojedzie i ona. Miał być to swego rodzaju dodatek do naszej podróży poślubnej, która z powodów finansowych okazała się skromna i pośpieszna. Ostrzegła mnie jednak, bym zbytnio się nie łudził: znalezienie kurzego łajna w czystym stanie niekoniecznie musi być takie proste.

Rzeczywiście, okazało się to trudne. Po pierwsze, pomiotu kurzego (tak to się właśnie nazywa. My, mieszkańcy, nie wiedzieliśmy tego, tak jak nie wiedzieliśmy, że właśnie ze względu na azot jest on niezwykle ceniony jako nawóz do ogrodów) nie rozdaje się za darmo, co więcej, sprzedaje się go po wysokich cenach. Po drugie, kupujący sam idzie go sobie zebrać, wczolgując się na czworaka do kurników i wygrzebując po podwórzach. Po trzecie, to, co w rzeczywistości się zbiera, może być bezpośrednio użyte jako nawóz, ale nie nadaje się do dalszej obróbki. Jest to mieszanina odchodów, ziemi, kamieni, karmy, piór i *pērpōjīm*

⁶⁴ *Aurum de stercore* (tac.) – złoto z gnoju.

⁶⁵ *Laetamen* (łac.) – nawóz. Wyraz posiada ten sam rdzeń co czasownik *laetifico*, oznaczający ucieszyć, ale też użyźnić, nawozić.

(są to kurze weszki, które gnieźdzą się pod skrzydłami. Nie wiem, jak nazywają się po włosku). W każdym razie, zapłaciwszy niemało, nieulekniona żona i ja bardzo się napracowaliśmy i napociliśmy, a wieczorem wracaliśmy przez Corso Francia z kilogramem wymęczonego pomiotu kurzego przytwierdzonym do bagażnika roweru.

Następnego dnia zbadalem materiał. „Substancji płonnej” było wiele, niemniej jednak coś może dałoby się z tego wydobyć. Ale wtedy wpadłem na pewien pomysł: w tych dniach w tunelu metra (który istnieje w Turynie od czterdziestu lat, podczas gdy metra jeszcze nie ma⁶⁶) otwarto wystawę węży. Co szkodzi pójść tam i zobaczyć? Węże są rasą czystą, nie mają piór ani wszy i nie grzebią pośród kurzu. Poza tym pyton jest znacznie większy niż kura. Może udałoby się pozyskać dostateczną ilość jego odchodów, zawierających 90 procent kwasu moczowego, niezbyt drobnych i o zadowalającym stopniu czystości. Tym razem poszedłem sam: moja żona jest córką Ewy i nie przepada za węzami.

Dyrektor oraz personel wystawy przyjęli mnie z niedowierzaniem i pogardą. Jakie miałem rekomendacje? Skąd przychodziłem? Za kogo się miałem, żeby stawać przed nimi ot tak, jak gdyby nigdy nic, pytając o odchody pytonów? Ależ mowy nie ma, nawet jednego grama. Pytony są wstrzemięźliwe, jedzą dwa razy w miesiącu i w drugą stronę też tak to działa, szczególnie kiedy mało się ruszają. Ich nieliczne odchody sprzedaje się za cenę złota. A zresztą oni, tak jak wszyscy wystawcy i właściciele węży, związani byli stałymi umowami na wyłączność z dużymi zakładami farmaceutycznymi. Miałem zejść im z oczu i nie zawracać więcej głowy.

Poświęciłem cały dzień, żeby niewyszukanymi metodami oddzielić pomiot kurzy, a przez kolejne dwa starałem się utlenić z alloksanu zawarty w nim kwas. Upór oraz cierpliwość dawnych chemików musiały być nadludzkie. A może to tylko moje niedoświadczenie w przygotowywaniu substancji organicznych było tak ogromnych rozmiarów? Nie uzyskałem nic więcej, jak tylko brudne opary, nudę, upokorzenie oraz czarną i mętną ciecz, która bezpowrotnie zapychała filtry i nie okazywała żadnej skłonności do krystalizacji, a którą powinna była okazywać zgodnie z podręcznikiem. Gnoj pozostał gnojem, a alloksan o dźwięcznej nazwie – dźwięczną nazwą. Nie tędy prowadziła droga, żeby wydostać się z bagna. Jak mam zatem z niego wybrnąć, ja, zniechęcony autor pewnej książki, która mnie wydawała się udana, ale której nikt nie czytał? Lepiej już powrócić do bezbarwnych, ale za to pewnych, modeli chemii nieorganicznej.

⁶⁶ Metro w Turynie otwarto dopiero w 2006 r.

CYNA

„Niedobrze urodzić się biedakiem”⁶⁷, myślałem sobie, trzymając nad płomieniem gazowego palnika południowoazjatycką cynę. Powoli, powoli cyna topniała, a krople, skwiercząc, wpadały do jednej z misek z wodą. Na dnie naczynia stopniowo tworzyła się fantastyczna metalowa płatanina o coraz to innych kształtach.

Są metale przyjaciele i metale nieprzyjaciele. Cyna była przyjacielem. Nie tylko dlatego, że od kilku miesięcy Emilio i ja dzięki niej żyliśmy, wytwarzając chlorek cyny, który sprzedawaliśmy producentom luster, ale także z innych, bardziej tajemniczych przyczyn. Ponieważ łączy się z żelazem, przekształcając je w łagodną blachę i w ten sposób pozbawiając krwawej cechy *nocens ferrum*⁶⁸. Ponieważ handlowali nią Fenicjanie i do dzisiaj się ją wydobywa, rafinuje i ładuje na statki w bajecznych i odległych krainach (w azjatyckich koloniach właśnie – jak ktoś by powiedział – na Śpiących Wyspach Sundajskich, Wyspach Szczęśliwych i Archipelagach). Ponieważ stapia się z miedzią, dając brąz, materię w najwyższym stopniu godną szacunku, powszechnie uznawaną za niezniszczalną i *well established*⁶⁹. Ponieważ ma niską temperaturę topnienia, prawie jak związki organiczne, to znaczy prawie jak my sami. I wreszcie ze względu na jej dwie niepowtarzalne właściwości, o malowniczych i budzących niedowierzanie nazwach. Istnienia tych właściwości (o ile dobrze mi wiadomo) nigdy nie potwierdziły ludzkie oko ani ucho. A mimo to ich nazwy przekazują się wiernie z pokolenia na pokolenie we wszystkich szkolnych podręcznikach: są to cynowa dzuma oraz płacz cyny.

Cynę należało zgranulować, żeby potem było łatwiej działać na nią kwasem solnym. A więc dobrze ci tak. Znajdowałeś się pod skrzydłami fabryki nad brzegiem jeziora – ptaka drapieżnego, lecz o szerokich i potężnych skrzydłach. Zachciało ci się wydostać spod kurateli, polecieć o własnych siłach – dobrze ci tak, teraz leć. Chciałeś być wolny i jesteś wolny, chciałeś być chemikiem i jesteś chemikiem. No dalej, taplaj się w truciznach, szminkach i kurzych odchodach. Granuluj cynę, dolewaj kwasu solnego, zateżaj, przelewaj i krystalizuj, jeśli nie chcesz cierpieć głodu, a wiesz, czym jest głód. Kupuj cynę i sprzedawaj chlorek cyny.

Emilio urządził laboratorium w mieszkaniu rodziców, ludzi pobożnych, nierozważnych i wielkodusznych. Oddając mu do użytku własną sypialnię, z pewnością nie przewidzieli wszystkich tego konsekwencji, ale nie było już odwrotu. Teraz przedpokój zamienił się w składowisko gąsiorów ze stężonym kwasem solnym, piec kuchenny (poza godzinami posiłków) służył do zateżania kwasu cynowego w sześciolitrowych zlewkach i erlenmajerkach, a opary chemikaliów wypełniały całe mieszkanie.

Ojciec Emilia był majestatycznym i łagodnym starcem o białym wąsie i tubalnym głosie. W swoim życiu miał się najróżniejszych prac, zawsze niebezpiecznych albo przynajmniej dziwacznych, i w wieku lat siedemdziesięciu dalej przejawiał niepokojący głód nowych doświadczeń. W tamtym okresie posiadał monopol na krew ze wszystkich tuszy wołowych ubitych w starej miejskiej rzeźni na Corso Inghilterra. Każdego dnia spędzał wiele godzin w

⁶⁷ A. Manzoni, *Narzeczeni*, przeł. B. Sieroszewska, Wrocław 1994, s. 48.

⁶⁸ *Nocens ferrum* (łac.) – szkodliwe żelazo (por. Owidiusz, *Metamorfozy*, I, s. 141-145).

⁶⁹ *Well established* (ang.) – o ugruntowanej pozycji.

swojej brudnej norze, o ścianach brunatnych od zastygłej krwi i z podłogą przesiąkniętą zatęchłą cieczą, odwiedzanej przez szczury wielkości królika. Nawet faktury i księga rachunkowa były umazane krwią. Z krwi produkował guziki, klej, racuchy, kaszanke, farby ścienne i pastę do butów. Czytywał tylko i wyłącznie czasopisma oraz gazety arabskie, które zamawiał z Kairu, gdzie przeżył wiele lat, gdzie urodziło mu się troje dzieci, gdzie ze strzelbą w rękę bronił włoskiego konsulatu przed wzburzonym tłumem i gdzie pozostało jego serce. Co dzień jechał rowerem do Porta Palazzo, żeby kupić zioła, mąkę z sorgo, olej arachidowy i bataty. Z tych składników oraz z krwi z uboju przyrządzał eksperymentalne potrawy, codziennie inne. Zachwalał nam je i dawał do spróbowania. Pewnego dnia przyniósł do domu szczura, odciął mu głowę i łapki, powiedział żonie, że to świnka morska i kazał upiec. Ponieważ jego rower nie miał pokrywy na łańcuch, a jego łądzwia były nieco zeszywniałe, rano przypinał mankiety spodni klamerkami i już do końca dnia ich nie zdejmował. On i jego żona, łagodna i zawsze opanowana pani Ester, urodzona na Korfu w rodzinie wywodzącej się z Wenecji Euganejskiej, zgodzili się na nasze laboratorium w swoim własnym domu, jakby przechowywanie kwasów w kuchni było czymś najnaturalniejszym w świecie. Gąsiorzy z kwasem wwoziliśmy na czwarte piętro windą. Ojciec Emilia swoim wyglądem wzbudzał taki szacunek i respekt, że nikt z sąsiadów nie miał odwagi się sprzeciwić.

Nasze laboratorium przypominało sklep ze starzyzną i ładownię wielorybnika równocześnie. Nie licząc jego odnóg, które opanowały kuchnię, przedpokój, a nawet łazienkę, składało się ono z jednego tylko pokoju i balkonu. Na balkonie znajdowały się porozrzucone elementy motocykla DKW, który Emilio kupił w częściach i który, jak mówił, pewnego dnia miał zamiar złożyć. Szkarłatny bak leżał na balustradzie, motor zaś, wyżerany naszymi oparami, rdzewiał w przykrytej siatką skrzynce na jedzenie. Znajdowało się też tam kilka butli z amoniakiem, pozostałość z epoki poprzedzającej moje przybycie, kiedy Emilio utrzymywał się, rozpuszczając gazowy amoniak w gąsiorach pitnej wody, handlując nimi i podtruwając przy tym sąsiadów. Wszędzie, na balkonie i w mieszkaniu, były porozrzucone niewiarygodne ilości drobiazgów, do tego stopnia starych i zużytych, że prawie nie dawało się ich rozpoznać. Dopiero przy bliższej obserwacji można było odróżnić profesjonalne wyposażenie od przedmiotów domowego użytku.

Pośrodku laboratorium stał duży wyciąg z drewna i szkła, nasza duma i jedyna obrona przed zagazowaniem. Nie to żeby kwas solny był niebezpieczny. Jest to jeden z tych uczciwych przeciwników, który napada na ciebie, krzycząc już z daleka, a zatem przed którym łatwo jest się uchronić. Ma tak przenikliwy zapach, że kto żyw śpieszy, by się przed nim schować. I nie można pomylić go z niczym innym, ponieważ jeśli człowiek zaciągnie się jednym jego haustem, wypuszcza nosem dwa krótkie kłębki białego dymu, zupełnie jak konie w filmach Eisensteina. Natomiast zęby w ustach wydają się kwaśne jak po zjedzeniu cytryny. Pomimo naszego jakże usłużnego wyciągu opary kwasu opanowały wszystkie pokoje. Papier od tapet zmieniał kolor, klamki oraz metalowe futryny robiły się matowe i chropowate, zaś my od czasu do czasu podskakiwaliśmy na dźwięk złowieszczonego huku: to jakiś gwóźdź kończył korodować i któryś z obrazów w jakimś zakątku mieszkania spadał na ziemię. Emilio przybijał nowy gwóźdź i wieszał obraz z powrotem na miejscu.

A zatem rozpuszczaliśmy cynę w kwasie solnym. Potem należało skoncentrować roztwór aż do pewnej określonej wagi i pozostawić, by skrzystalizował się w niskiej temperaturze. Chlorek cyny dzielił się na niewielkie, zgrabne słupki, bezbarwne i przezroczyste. Ponieważ krystalizacja przebiegała powoli, potrzeba było wielu naczyń, a że kwas solny wżera się we wszystkie metale, naczynia te musiały być szklane lub ceramiczne. W okresach, kiedy dostawaliśmy dużo zamówień, musieliśmy uruchamiać dodatkowe pojemniki, w które zresztą dom Emilia obfitował: wagę do zupy, emaliowany garnek Regina, secesyjny klosz czy nocnik.

Następnego ranka zbiera się chlorek i odkłada, żeby odciekł. Należy bardzo uważać, żeby nie dotknąć go rękami, gdyż pozostawia odrażający zapach. Sól ta sama w sobie jest bezwonna, ale w jakiś sposób wchodzi w reakcje ze skórą, być może redukując mostek disulfidowy keratyny, i uwalnia trwałe, metaliczny swąd, który przez wiele dni zdradza cię jako chemika. Jest agresywna, a zarazem delikatna, zupełnie jak pewni nieznosni przeciwnicy sportowi, którzy mazgają się przy przegranej. Nie należy jej do niczego przymuszać, lepiej pozostawić ją samą sobie, by w spokoju wyschła w temperaturze pokojowej. Jeśli próbuje się ją ogrzać, nawet w najdelikatniejszy sposób, na przykład suszarką do włosów albo na kaloryferze, traci swoją wodę z krystalizacji, matowieje i niemądrzy klienci już jej nie chcą. Niemądrzy, bo byłoby to dla nich opłacalne: przy mniejszej ilości wody zawiera więcej cyny, jest więc bardziej wydajna. Ale i tak klient ma zawsze rację, zwłaszcza jeśli niewiele zna się na chemii, jak zdarza się to właśnie w przypadku szklarzy.

Nic z hojnej dobroduszości cyny, metalu Jowisza, nie pozostaje w jej chlorku (zresztą chlorki, ogólnie rzecz biorąc, stanowią hołotę, w większości są to nędzne produkty drugiego sortu, higroskopijne i na niewiele zdatne, z jedynym wyjątkiem pospolitej soli kuchennej, ale to już odrębny temat). Sól ta jest energicznym reduktorem. Oznacza to, że tylko czeka, żeby uwolnić się od pewnych swoich dwóch elektronów i czyni to pod byle pretekstem, nieraz z tragicznymi konsekwencjami. Wystarczyło jedno chlapnięcie skoncentrowanym roztworem, który pociekł wzdłuż nogawek moich spodni, żeby przeciąć je równo jak od uderzenia bułatem. A były to czasy powojenne i nie miałem innej pary, poza spodniami niedzielnymi, w domu zaś brakowało pieniędzy.

Nigdy nie odszedłbym z fabryki nad brzegiem jeziora i po wieczne czasy pozostałbym w niej, żeby korygować mankamenty emalii, gdyby Emilio nie nalegał, kusząc mnie przygodą i chwałą wolnego zawodu. Zwolniłem się z absurdalną butą, rozdając kolegom i przełożonym spisany w czterowerszu testament pełen radosnych impertynencji. Byłem dość świadomy podejmowanego ryzyka, ale wiedziałem też, że licencja na pomyłki z biegiem lat się kurczy i dlatego kto chce z niej skorzystać, nie może zbyt długo czekać. Z drugiej strony nie trzeba też długo czekać, żeby zdać sobie sprawę, że błąd jest błędem. Pod koniec każdego miesiąca robiliśmy rachunki i było coraz bardziej jasne, że z samego chlorku cyny człowiek nie wyżyje. A przynajmniej nie wyżyję ja, od niedawna żonaty i bez szacownego patriarchy stojącego za moimi plecami.

Nie od razu się poddaliśmy. Przez miesiąc nie ustawaliśmy w wysiłkach, by z eugenolu otrzymać wanilinę o wydajności, która pozwoliłaby nam przetrwać. Bezskutecznie. Uzyskaliśmy dziesiątki kwintali kwasu pirogronowego z użyciem aparatury godnej troglodytów oraz w godzinach pracy odpowiednich dla robotników przymusowych. Po czym wywiesiłem białą flagę: znajdę jakieś zajęcie, być może wrócę do lakiernictwa.

Emilio przyjął z bólem, acz mężnie, wspólną porażkę oraz moją dezercję. Dla niego to było co innego, w jego żyłach płynęła ojcowska krew, bogata w odwieczny piracki ferment, handlarską inicjatywę i niespokojną żądzę nowego. Nie bał się popełniać pomyłek czy co pół roku zmieniać zawodu, miejsca i stylu życia, ani tego, że popadnie w biedę. Nie miał nawet klasowych fiksacji i nie odczuwał żadnego dyskomfortu, kiedy udawał się tricyklem i w szarym kombinezonie, żeby dostarczyć klientom nasz wymęczony chlorek. Zgodził się i następnego dnia miał już głowę pełną kolejnych pomysłów oraz planów z udziałem osób bardziej niż ja wyrobionych życiowo. Od razu rozpoczął demontaż laboratorium i nawet nie był bardzo smutny, podczas gdy ja tak i miałem ochotę płakać i wyć do księżyca, jak pies, który widzi zamykane walizki. Przystąpiliśmy do wypełniania naszego ponurego zadania, w czym pomagali nam (a raczej zawadzali i przeszkadzali) pan Samuel i pani Ester. Światło dzienne ujrzały rodzinne pamiątki, od lat na próżno poszukiwane. A także przedmioty egzotyczne, pogrzebane geologicznymi warstwami w zakamarkach mieszkania: zamek od pistoletu maszynowego Beretta 38 A (z czasów, kiedy Emilio był partyzantem i krążył po

dolinach, roznosząc oddziałom części zamienne), iluminowany Koran, bardzo długa porcelanowa fajka, damasceńska szpada z rękojeścią inkrustowaną srebrem, stopy poślizgniętych papierzyk. Spośród tych ostatnich wyłoniło się obwieszczanie z 1785 roku, które z zachłannością sobie przywłaszczyłem i w którym F. Tom. Lorenzo Matteucci, Naczelny Inkwizytor prowincji Marca Anconitana, umyślnie delegowany przeciwko Heretyckiemu Zepsuciu, z wielką pewnością siebie i niewielką jasnością stylu „przykazuje, zakazuje i surowo rozkazuje, ażeby Żyd żaden od Chrześcijan lekcji gry na jakimkolwiek instrumencie, a tym bardziej lekcji tańca, czelności brać nie miał”. Odłożyliśmy na dzień następny bolesne zadanie: demontaż wyciągu.

Pomimo dobrej wiary Emilia od razu stało się jasne, że nasze siły nie wystarczą. Ze smutkiem zatrudniliśmy parę stolarzy, którym mój wspólnik zlecił wybudowanie odpowiedniego urządzenia do odłączenia wyciągu bez konieczności jego demontażu. W końcu wyciąg ten był symbolem, atrybutem pewnej profesji i pewnej kondycji, a wręcz sztuki. Miał zostać złożony w podwórzu, w stanie nienaruszonym, żeby odzyskać życie i przydatność w jak na razie bliżej niesprecyzowanej przyszłości.

Skonstruowano stelaż, zamontowano wielokrążek, naciągnięto liny prowadzące. Emilio i ja uczestniczyliśmy w pogrzebowej uroczystości, stojąc na podwórzu. Wyciąg wyłonił się majestatycznie z okna, złapał równowagę i zarysował się na tle szarego nieba nad via Massena. Sprawnie zamocowano go do łańcucha wielokrążka, łańcuch zaś jęknął i pękł. Wyciąg runął przez cztery piętra wprost do naszych stóp i rozprysnął się na drewniane i szklane odłamki. Pachniał jeszcze eugenolem i kwasem pirogronowym, a wraz z nim prysły nasza wola i chęć do działania.

W ostatniej chwili instynkt przetrwania kazał nam odskoczyć. Emilio powiedział: „Myślałem, że narobi więcej hałasu”.

URAN

Do pracy w dziale obsługi klienta (DOK) nie można oddelegować pierwszej lepszej osoby. Jest to zadanie delikatne, skomplikowane i niewiele różni się od pracy dyplomatów. Żeby wykonywać je z powodzeniem, trzeba wzbudzać w klientach zaufanie, co wymaga zaufania do samego siebie oraz do sprzedawanych produktów. Jest to zatem pożyteczne ćwiczenie, które pomaga poznać własną osobę oraz zahartować charakter. To chyba najbardziej higieniczna spośród wszystkich czynności, które składają się na wielobój chemika w fabryce: to ona najlepiej wyrabia jego elokwencję, zdolności improwizacyjne, refleks, umiejętność rozumienia oraz bycia zrozumiałym. Poza tym pozwala mu zwiedzić Włochy i świat, a także sprawia, że styka się on z najróżniejszymi osobami. Muszę jeszcze wspomnieć o innych ciekawych i dobroczynnych skutkach pracy przy obsłudze klienta: stwarzając pozory szacunku oraz sympatii dla własnych bliźnich, po paru latach wykonywania zawodu człowiek faktycznie zaczyna je odczuwać, tak samo jak nieraz popada w obłąd ten, kto przez długi czas symuluje szaleństwo.

W większości przypadków przy pierwszym kontakcie należy zająć, a raczej zdobyć pozycję wyższą w stosunku do swego rozmówcy. Zdobyć cichcem, po dobroci, nie płosząc go ani nie deklasując. Powinien odczuwać naszą wyższość, ale tylko odrobinę: musimy być osiągalni, zrozumiali. Nigdy, przenigdy nie należy na przykład wdawać się w rozmowę na temat chemii z laikiem: to abecadło tego fachu. O wiele bardziej niebezpieczna jest sytuacja odwrotna, kiedy to my zostaniemy zdeklasowani przez klienta. Co może się zdarzyć, ponieważ on gra na swoim boisku czy, innymi słowy, to on w praktyce wykorzystuje sprzedawane przez nas produkty i dlatego też zna ich wady i zalety, tak jak żona zna wady i zalety męża. Dla nas tymczasem jest to wiedza bezbolesna i bezinteresowna, często napawająca optymizmem, zdobyta w laboratorium lub w trakcie produkcji. Najkorzystniejszy układ zachodzi wtedy, gdy możemy w jakikolwiek sposób objawić się jako jego dobroczyńcy: przekonując, że produkt zaspokoi jego odwieczne potrzeby i pragnienia, być może dotąd nieświadomione; że, jeśli dobrze policzyć, z końcem roku oferowany przez nas towar będzie kosztował mniej niż produkt konkurencji, który zresztą, jak powszechnie wiadomo, wydaje się dobry tylko z początku, a potem to nawet szkoda słów. Możemy też wyświadczyć mu dobrodziejstwo w inny sposób (i tu daje się poznać fantazja kandydata na pracownika DOK-u): rozwiązując dla niego jakiś problem techniczny, który ma ze sprawą niewiele wspólnego, albo nawet tyle co nic; służąc mu jakimś adresem; zapraszając na obiad „do pewnej regionalnej restauracji”; oprowadzając po mieście oraz doradzając przy zakupie pamiątek dla jego żony lub dziewczyny; wynajdując w ostatnim momencie bilet na derby (o tak, robi się i takie rzeczy). Mój znajomy z Bolonii posiada nawet, nieustannie uzupełniany, zbiór tłustych historyjek, który uważnie przegląda na przemian z biuletynami technicznymi, zanim wyruszy w objazd po mieście i prowincji. Jako że ma krótką pamięć, zaznacza sobie, które anegdoty opowiedział danemu klientowi: dwukrotne zaserwowanie tej samej historyjki byłoby poważnym potknięciem.

Wszystkich tych rzeczy człowiek uczy się, w miarę jak zdobywa doświadczenie. Choć są i technicy-handlowcy, którzy mają pewne cechy z natury, wydają się urodzeni do swego fachu niczym Minerwa. Nie jest to mój przypadek, czego mam smutną świadomość. Kiedy zdarza

mi się obsługiwać klienta, na miejscu lub w delegacji, robię to niechętnie, z wahaniem, przygnębieniem i znikomą dawką entuzjazmu. Gorzej: mam skłonność do bycia szorstkim i niecierpliwym w stosunku do szorstkich i niecierpliwych klientów oraz łagodnym i uległym wobec dostawców, którzy, będąc sami pracownikami DOK-u, są – no właśnie – łagodni i ulegli. Jednym słowem, nie jestem dobrym pracownikiem DOK-u, i obawiam się, że już za późno, bym takim się stał.

Tabasso powiedział do mnie: „Jedź do *** i zapytaj o Bonina, szefa działu. To porządny człowiek, zna już nasze produkty, wszystko zawsze szło jak z płatka. Nie jest zbyt lotny. Nie byliśmy już u niego od trzech miesięcy. Zobaczysz, że nie napotkasz żadnych trudności technicznych. Jeśli zacznie mówić o cenach, trzymaj się ogólników: powiedz, że przekażesz pytanie dalej i że tym się nie zajmujesz”.

Kazałem się zaanonsować. Podano mi do wypełnienia formularz i plakietkę do zawieszenia na piersi, która oznacza człowieka jako obcego i chroni przed reakcją odrzucenia, jaką mógłby wywołać u strażników. Posadzono mnie w poczekalni. Po nie więcej niż pięciu minutach zjawił się Bonino i zaprowadził mnie do swego biura. Był to dobry znak, nie zawsze tak się dzieje. Są ludzie, którzy z zimną krwią każą przedstawicielowi DOK-u czekać na siebie trzydzieści lub czterdzieści minut, nawet jeśli byli umówieni, z wykalkulowanym zamiarem podporządkowania go sobie i narzucenia mu swojej woli. Do tego samego celu dążą, stosując jednak bardziej wymyślne i obsceniczne sposoby, pawiany na wybiegu w ogrodzie zoologicznym. Analogia jest jednak bardziej ogólna: wszystkie strategie i techniki przedstawiciela DOK-u można opisać za pomocą terminologii dotyczącej zalotów godowych. W obydwu przypadkach mamy do czynienia z relacją dwojga: byłoby czymś nie do pomyślenia uwodzić albo prowadzić pertraktacje handlowe we troje. I tu, i tam na początku można zaobserwować swego rodzaju otwarcie lub też rytualną grę wstępną, w trakcie której kupujący przyjmuje sprzedającego, tylko jeżeli ten drugi posłusznie podda się tradycyjnemu ceremoniałowi. Gdy tak się stanie, kupujący przyłącza się do tańca i jeśli przyjemne wrażenia są wzajemne, dochodzi do kopulacji, to jest do zakupu, przy widocznym zadowoleniu obydwu partnerów. Przypadki jednostronnej przemocy są rzadkie i nie bez powodu opisuje się je za pomocą terminologii odnoszącej się do sfery seksualnej.

Bonino był korpulentnym człowieczkiem, zaniedbanym, o jakby psim wyglądzie, źle ogolonej twarzy i bezzębnym uśmiechu. Przedstawiłem się i rozpocząłem zalotny taniec, on jednak od razu powiedział do mnie:

– Ach tak, to pan napisał tę książkę.

Muszę przyznać się do pewnej mojej słabości: takie nieprzepisowe rozpoczęcia nie są mi niemiłe, choć nie przynoszą pożytku reprezentowanej przeze mnie firmie. Rzeczywiście, w takich chwilach rozmowa miewa skłonność do wynaturzeń lub przynajmniej do tego, by gubić się w nieprzepisowych dygresjach, które odciągają od celu wizyty i sprawiają, że marnuje się godziny pracy.

– To doprawdy piękna powieść – ciągnął Bonino. – Przeczytałem ją w wakacje i kazałem przeczytać także mojej żonie. Dzieciom nie, bo mogłyby się przestraszyć.

Zazwyczaj irytują mnie uwagi tego typu. Jednak kiedy pełni się funkcję przedstawiciela DOK-u, nie należy być zbyt wymagającym: podziękowałem grzecznie i próbowałem naprowadzić rozmowę na właściwe tory, to znaczy na temat naszych emalii. Bonino stawiał opór.

– Tak jak tu stoję, ja także o mały włos nie skończyłem podobnie. Już zamknęli nas w podwórzu koszar, na Corso Orbassano, ale nagle zobaczyłem go, jak wchodzi. Wie pan, o kim mówię. Wtedy, kiedy nikt nie patrzył, przesadziłem mur i zeskoczyłem z drugiej strony, a

było tego dobre pięć metrów, i dałem drapaka. Potem poszedłem z badoglijczykami⁷⁰ do doliny Val Susa.

Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się słyszeć, żeby badoglijczyk nazywał badoglijczyków badoglijczykami. Przyjąłem pozycję obronną, a nawet przyłapałem samego siebie na nabieraniu głębokiego wdechu, niczym ktoś, kto przygotowuje się do długotrwałego zanurzenia. Było jasne, że opowiadanie Boniniego raczej nie będzie należało do krótkich. Ale cierpliwości – pomyślałem, na ile długich opowiadań ja skazałem moich bliźnich, tych, którzy chcieli i którzy nie chcieli mnie słuchać, oraz przypomniałem sobie, że napisano (Pwt 10,19): „Wy także miłujcie cudzoziemca, boście sami byli cudzoziemcami w ziemi egipskiej”. I usadowiłem się wygodnie na krześle.

Bonino nie był dobrym gawędziarzem: odbiegał od tematu, powtarzał się, robił dygresje i dygresje do dygresji. Poza tym miał dziwny zwyczaj opuszczania podmiotu w niektórych zdaniach, zastępując go zaimkiem osobowym, co czyniło wypowiedź jeszcze bardziej niejasną. Podczas gdy opowiadał, dyskretnie przyglądałem się pomieszczeniu, w którym mnie przyjął, a które najwyraźniej od wielu lat było jego biurem, ponieważ okazało się równie zapuszczone i nieporządne jak on sam. Szyby okienne były skandalicznie brudne, ściany okopcone, a w powietrzu unosił się zapach zbutwiałego tytoniu. W ścianach tkwiły zardzewiałe gwoździe, niektóre wyraźnie bezużyteczne, inne zaś podtrzymujące pożółkłe kartki papieru. Napis na jednej z nich, czytelny z mojego punktu obserwacyjnego, zaczynał się tak: „TEMAT: Smaty. Coraz częściej...”. Gdzie indziej można było dostrzec zużyte żyłki od maszynki do golenia, druczki z zakładów bukmacherskich, formularze ubezpieczeniowe, ilustrowane karty pocztowe.

– ...i wtedy on mi powiedział, żebym szedł za nim, a raczej przed nim. Stał za mną z wycelowanym pistoletem. Potem nadszedł ten drugi, jego koleżka, który czekał na niego za rogiem, i zaprowadzili mnie na via Asti, wie pan, tam gdzie był Aloisio Smit.

Wzywał mnie do siebie co jakiś czas i mówił: „Gadaj, gadaj, twoi koledzy już gadali, nie masz co zgrywać bohatera”...

Na biurku Bonina stała okropna miniatura Krzywej Wieży z lekkiego stopu. Znajdowała się tam też popielniczka z muszli, pełna niedopałków i pestek czereśni, a także alabastrowy stojak na pióra w kształcie Wezuwiusza. Było to biurko godne pożałowania: przy szczodrym szacunku miało nie więcej niż 0,6 metra kwadratowego. Nie istnieje doświadczony przedstawiciel DOK-u, który nie znałby tej smutnej nauki biurka. Być może nie na poziomie świadomości, ale raczej odruchu warunkowego, liche biurko nieubłaganie pozwala mu dostrzec niewiele wartego pracownika. Jeśli zaś chodzi o urzędnika, który w ciągu ośmiu lub dziesięciu dni od momentu zatrudnienia nie potrafił wywalczyć sobie żadnego biurka, no cóż, jest on człowiekiem straconym: nie może liczyć na więcej niż parę tygodni przetrwania, niczym rak pustelnik bez muszli. Z drugiej strony, poznałem też osoby, które u kresu swojej kariery miały do dyspozycji powierzchnię o wymiarze siedmiu czy ośmiu metrów kwadratowych, nabłyszczaną poliestrem, w sposób oczywisty przesadnie wielką, lecz odpowiednią, by w zakodowany sposób wyrazić ogrom ich władzy. Rodzaj przedmiotów spoczywających na biurku nie ma w tym wypadku znaczenia. Są tacy, którzy podkreślają swoją pozycję, utrzymując na blacie jak największy nieład i gromadząc jak największe ilości przyborów biurowych. Są też i tacy, którzy narzucają swoją pozycję w bardziej wyrafinowany sposób, poprzez pustkę i pedantyczny porządek: tak, jak mówią, robił to Mussolini w Pałacu Weneckim.

⁷⁰ Badoglijczycy (wł. *badogliani*) – grupa żołnierzy włoskich, którzy po wrześniowym upadku rządu Mussoliniego poparli generała Badoglio, wspierającego obóz króla. Później określenie to stosowano w odniesieniu do niektórych grup partyzanckich.

– ...ale żaden z nich nie zorientował się, że ja też miałem pistolet za pasem. Kiedy zaczęli mnie torturować, wyciągnąłem go, kazałem im stanąć twarzą do ściany i wyostałem się na zewnątrz. On jednak...

On, czyli kto? Byłem zdezorientowany. Opowieść coraz bardziej się gmatwała, wskazówki zegara posuwały się do przodu i choć prawdą jest, że klient ma zawsze rację, to są też jakieś granice w kupczeniu własną duszą i w byciu wiernym firmowym przykazaniom. Przekroczywszy je, człowiek staje się śmieszny.

– ...najdalej, jak się dało. Pół godziny i byłem już w okolicach Rivoli. Szedłem wzdłuż drogi i oto widzę, jak niedaleko, na polach, ląduje niemiecki samolot, bocian, z tych, co to siadają na pięćdziesięciu metrach. Wychodzi dwóch takich, bardzo grzecznych, i pyta: „Przepraszamy, którędy droga do Szwajcarii?”. Jestem obeznany w tamtych stronach, więc odpowiedziałem im od razu: „Prosto tędy, aż do Mediolanu, potem skróćcie w lewo”. „Danke”, mówią i wsiadają z powrotem do maszyny. Ale potem jeden się rozmyślił, grzebie pod fotelem, wysiada i idzie w moim kierunku z jakimś kamieniem w dłoni. Daje mi go i mówi: „To za pańską fatygę: niech pan zwróci uwagę, że to uran”. Rozumie pan, był koniec wojny, czuli się przegrani, bomby atomowej nie zdążyliby już zrobić i uran był im niepotrzebny. Myśleli tylko o tym, żeby uratować własną skórę i uciec do Szwajcarii.

Także w panowaniu nad własną fizjonomią są pewne granice. Bonino musiał dostrzec we mnie jakąś oznakę niedowierzania, ponieważ przerwał i z lekka urażonym tonem zapytał:

– Pan mi nie wierzy?

– Oczywiście, że panu wierzę – odpowiedziałem bohatersko. – Ale czy to na pewno był uran?

– Na pewno, każdy by to rozpoznał. Był niewiarygodnie ciężki i ciepły w dotyku. Zresztą mam go jeszcze w domu, trzymam na balkonie, w składziku, żeby dzieci nie dotykały. Raz na jakiś czas pokazuję przyjaciołom i zawsze jest ciepły. Jest ciepły nawet teraz. – Zawahał się chwilę, po czym dodał: – Wie pan, co zrobić? Jutro prześlę panu jego kawałek. W ten sposób sam pan się przekona i być może pan, autor książek, opíše także i tę historię, jako dodatek do swoich własnych.

Podziękowałem, odegrałem moją partię jak należało, opisałem pewien nowy produkt, przyjąłem całkiem pokaźne zamówienie, pożegnałem się i uznałem sprawę za zamkniętą. Lecz następnego dnia, na przydzielonym mi biurku o powierzchni 1,2 metra kwadratowego, znalazłem paczkę zaadresowaną do mojej szanownej osoby. Odpakowałem ją nie bez zaciekawienia. Zawierała sztabkę metalu wielkości połowy paczki papierosów, w rzeczy samej dość ciężkiego i o egzotycznym wyglądzie. Jego powierzchnia była srebrnobiała z lekkim żółtawym nalotem. Nie wydawał się ciepły, jednak nie można go było pomylić z żadnym spośród metali, znanych dzięki długiemu, nawet pozachemicznemu doświadczeniu, jak na przykład miedzią, cynkiem czy aluminium. Może zatem stop? Albo właśnie uran? Uranu metalicznego w naszych stronach nikt nigdy jeszcze nie widział, a w rozprawach opisuje się go jako srebrnobiały. I nie jest możliwe, żeby sztabka taka jak ta była trwale ciepła: zapewne tylko masa wielkości domu jest w stanie utrzymać ciepło kosztem energii rozpadu.

Kiedy tylko nadarzyła się okazja, wślizgnąłem się do laboratorium, co w wypadku chemika z DOK-u jest zachowaniem niespotykanym i niestosownym. Laboratorium jest miejscem ludzi młodych. Wracając tam, człowiek czuje, jakby i jemu wracała młodość razem z gorączkowym pragnieniem przygód, odkryć i tego, co nieprzewidywalne, jak kiedy ma się siedemnaście lat. Naturalnie, już od dawna nie masz siedemnastu lat, a długa kariera związana z działalnością parachemiczną uspiła cię, spowodowała zanik niektórych umiejętności, uczyniła zastałym, nieświadomym rozmieszczenia odczynników i aparatury, niepomnym wszystkiego z wyjątkiem podstawowych reakcji chemicznych. Ale właśnie dlatego ponowna

wizyta w laboratorium jest źródłem radości i roztacza nieodparty urok – czar młodych lat, nieznannej i pełnej perspektyw przyszłości, innymi słowy, urok wolności.

Jednak lata zastoju nie sprawiły, byś zapomniał pewnych zawodowych odruchów, stereotyp owych zachowań, które pozwalają rozpoznać w tobie chemika w każdych okolicznościach: skrobanie materii paznokciem, wysuwaniem nożykiem, wąchanie, dotykanie ustami, żeby sprawdzić, czy jest „zimna”, czy „ciepła”, próbowanie, czy rysuje okienne szyby, obserwowanie odbijanego światła, ważenie w zagłębieniu dłoni. Określenie ciężaru właściwego materiału bez użycia wagi nie jest znowu takie proste, ale bez przesady, ciężar właściwy uranu wynosi dziewiętnaście, dużo więcej niż ciężar ołowiu, dwa razy więcej niż miedzi. Dar nazistowskich aeronautów-astronautów dla Bonina nie mógł być uranem. W paranoicznym opowiadaniu owego człowieka zaczynałem dostrzegać echo pewnej nieśmiertelnej i powtarzającej się historii o UFO z doliny Val Susa, o latających talerzach niosących niczym średniowieczne komety przepowiednię przyszłości, zbłąkanych i pozbawionych mocy jak duchy spirytystów.

A skoro nie był to uran, to co? Oddzieliłem piłką plasterek metalu (dał się upiłować bez trudu) i przypaliłem nad palnikiem Bunsena. Zdarzyła się rzecz dość niezwykła: z płomienia uniósł się słup brunatnego dymu zwijającego się w spiralę. Poczułem, z błyskiem zachłannej nostalgii, jak rozbudzają się we mnie odruchy analityka, uspione w wyniku długiej inercji. Znalazłem parownicę ze szklawionej porcelany, napełniłem ją wodą i uniosłem nad kopcącym płomieniem. Zobaczyłem, że na dnie utworzył się brunatny osad, który był moim starym znajomym. Dotknąłem osad kroplą roztworu azotanu srebra. Powstały czarnoniebieski kolor potwierdził, że metal ten był kadmem, dalekim potomkiem Kadmosa, siewcy smoczyc zębów.

To, gdzie Bonino znalazł kadm, nie było niczym ciekawym: prawdopodobnie w oddziale kadmowania jego własnej fabryki. Bardziej interesujące, lecz nie do odgadnięcia, były korzenie jego historii: całkowicie jego własnej, ponieważ, jak dowiedziałem się potem, opowiadał ją często i wszystkim, ale już bez popierania jej materialnymi dowodami, wzbogacając o szczegóły z biegiem lat coraz barwniejsze i coraz mniej wiarygodne. Oczywiście, nie jest możliwe dojść jej początków. Jednak ja, urzędnik zaplątany w sieci działu obsługi klienta, obowiązków wobec firmy i spółki oraz zasad prawdopodobieństwa, zazdrościłem mu bezgranicznej i nieskrępowanej wyobraźni. Wyobraźni kogoś, kto przełamał barierę i teraz jest władny stworzyć sobie taką przeszłość, jaka najbardziej mu odpowiada, skroić sobie szaty na miarę bohatera i ulecieć niczym Superman poprzez stulecia, ponad południkami i równoleżnikami.

SREBRO

Zazwyczaj kopię okólnika z powielacza wyrzuca się do śmieci bez czytania, jednak od razu zdałem sobie sprawę, że ten nie zasługiwał na podobny los. Było to zaproszenie na kolację z okazji dwudziestopięciolecia ukończenia studiów. Jego język dał mi do myślenia: do adresata zwracano się na ty, zaś autor popisywał się zmurszałą uczniowską terminologią, tak jakby te dwadzieścia pięć lat wcale nie minęło. Z niezamierzonym komizmem tekst kończył się następująco: „W atmosferze odnowionej przyjaźni uczymy nasze srebrne gody z Chemią, opowiadając sobie nawzajem o chemicznych wydarzeniach naszego codziennego życia”. O jakich chemicznych wydarzeniach? O wytrącaniu się steroli w naszych pięćdziesięcioletnich arteriach? O równowadze membranowej w naszych błonach komórkowych?

Któż mógł być autorem? W myślach zrobiłem przegląd dwudziestu pięciu czy trzydziestu pozostałych jeszcze kolegów – mam na myśli nie tyle pozostałych przy życiu, ile tych, którzy nie zniknęli za przylądkiem innych działalności zawodowych.

Przede wszystkim wykluczyłem wszystkie koleżanki: wszystkie matki, wszystkie poza czynną służbą, bez „wydarzeń” do opowiadania. Wykluczyłem karierowiczów i dorobkiewiczów, protegowanych, eks-protegowanych, którzy teraz stali się protegującymi – są to ludzie, którzy nie lubią konfrontacji. Wykluczyłem również frustratów, oni także nie przepadają za porównaniami. Na takim spotkaniu może i zjawi się jakiś rozbitek, ale żeby prosić o współczucie i pomoc; raczej nie podjąłby się jego organizacji. Spośród skromnej grupki pozostałych kandydatów wybijało się jedno prawdopodobne nazwisko: Cerrato. Poczciwy, niezdarny i usłużny Cerrato, któremu życie dało tak niewiele i który tak niewiele dał życiu. Po wojnie kilka razy spotkałem go przypadkiem – był to osobnik z natury bierny, nie rozbitek. Rozbitkiem jest ten, kto wyrusza, a potem idzie na dno, kto zakłada sobie jakiś cel, nie osiąga go i cierpi. Cerrato nie założył sobie niczego, nie wystawił się na żadne niebezpieczeństwo, pozostał zamknięty w domu i prawdopodobnie korzeniami musiał tkwić jeszcze w „złoty” czasach studenckich, ponieważ wszystkie pozostałe jego lata były zapewne ołowiane.

Wobec perspektywy tej kolacji miałem ambiwalentne odczucia. Nie było to wydarzenie neutralne, niczym magnes przystawiony do busoli pociągało mnie i odpychało równocześnie. Chciałem i nie chciałem tam iść. Jednak w obu wypadkach, przy głębszej analizie, moje pobudki nie były nazbyt szlachetne.

Chciałem tam pójść, ponieważ ciągnęło mnie, by się porównać i by poczuć się bardziej wolny niż pozostali, mniej przywiązany do pieniędzy i innych bożków, mniej oszukany i mniej przegrany. Nie chciałem tam pójść, ponieważ nie chciałem mieć tylu lat co inni, to znaczy moich lat: wolałem nie widzieć zmarszczek, siwizny, tego memento mori. Nie chciałem liczyć, ilu nas pozostało, ani liczyć nieobecnych, ani dokonywać podsumowań.

A jednak Cerrato wzbudzał moją ciekawość. Kilka razy zdarzyło nam się razem uczyć. Był poważny i nie wykazywał względem siebie żadnej pobłażliwości, studiował bez przebłyków geniuszu ani radości (wydawało się, jakby nie wiedział, czym jest radość), przedzierając się przez kolejne rozdziały podręczników niczym górnik w tunelu. Nie zhańbił się faszyzmem i zareagował poprawnie na odczynnik w postaci praw rasowych. Był osobą przeciętną, ale pewną, taką, której można było ufać. Doświadczenie zaś uczy, że właśnie wiarygodność jest

cechą najbardziej niezmienną, której nie zyskuje się ani nie traci z biegiem lat. Godnym zaufania człowiek się rodzi, z twarzą otwartą i nieumykającym spojrzeniem i taki jest potem przez całe życie. Kto rodzi się skrzywiony i podły, taki też pozostaje. Kto kłamie, mając sześć lat, kłamie też, mając ich szesnaście i sześćdziesiąt. Zjawisko to warte jest uwagi i tłumaczy, czemu pewne przyjaźnie i małżeństwa trwają przez dziesięciolecia, na przekór przyzwyczajeniu, nudzie i wyczerpującym się tematom rozmów. Chciałem zobaczyć, jak to się sprawdzi w przypadku Cerrato. Uściłem odpowiednią kwotę i napisałem do anonimowego Komitetu, że w kolacji udział wezmę.

Z wyglądu niewiele się zmienił. Był wysoki, kościsty, śniady, włosy miał jeszcze gęste, brodę starannie ogoloną, czoło, nos i podbródek ciężkie, jakby ledwie zarysowane. Poruszał się niezdarnie, zupełnie tak jak kiedyś, tymi gwałtownymi, a zarazem niepewnymi ruchami, które w laboratorium czyniły z niego przysłowiowego słonia w składzie porcelany.

Jak to jest w zwyczaju, pierwsze minuty rozmowy poświęciliśmy na uzupełnienie naszych wiadomości o sobie nawzajem. Dowiedziałem się, że był żonaty i bezdzietny, i równocześnie zrozumiałem, że nie był to dla niego miły temat. Poinformował mnie, że zawsze pracował w branży chemii fotograficznej: dziesięć lat we Włoszech, cztery w Niemczech, a potem znowu we Włoszech. To oczywiście on był pomysłodawcą kolacji oraz autorem zaproszenia. Przyznając to, nie czuł wstydu: jeśli pozwolę mu na pewną metaforę zawodową, jego lata uniwersyteckie były dla niego niczym technicolor, reszta to czarno-biały film. Co do „wydarzeń” (powstrzymałem się, żeby nie wytknąć mu komizmu wyrażenia), doprawdy był ich ciekaw. Jego kariera w nie obfitowała, chociaż, jak już wspominał, w większości były w odcieniach czerni i bieli. Czy moja także? Oczywiście, przytaknąłem: w wydarzenia chemiczne i niechemiczne, choć w ostatnich latach wydarzenia chemiczne przeważały zarówno pod względem częstotliwości, jak i nasilenia. Czyż nie dają ci one poczucia *nicht dazu gewachsen*⁷¹, niemocy, nieskuteczności? Czyż nie masz wrażenia, jakbyś prowadził niekończącą się wojnę przeciwko wrogim zastępom, tępym i zacofanym, ale przerażającym ze względu na swoją liczbę i siłę? Jakbyś przegrywał wszystkie bitwy, jedną po drugiej, rok po roku. I żeby ukoić zranioną dumę, musisz zadowolić się tymi rzadkimi okazjami, kiedy dostrzegasz wyłom w nieprzyjacielskich szykach, rzucasz się weń i skutecznie zadajesz jeden szybki cios.

Także Cerrato znał tę służbę. On również doświadczył owego braku przygotowania oraz tego, że trzeba było zastępować je szczęściem, intuicją, fortelami oraz morzem cierpliwości. Powiedziałem, że krążę w poszukiwaniu doświadczeń, swoich i cudzych, żeby opisać je w pewnej książce. Chciałem przekonać się, czy uda mi się przekazać laikom dojmujący i cierpki smak naszej sztuki, która jest przypadkiem szczególnym, bardziej waleczną wersją rzemiosła życia⁷². Powiedziałem, że wydaje mi się czymś niesprawiedliwym fakt, że świat wie wszystko na temat życia lekarza, prostytutki, marynarza, mordercy, hrabiny, starożytnego Rzymianina, spiskowca czy Polinezyjczyka, ale nic na temat tego, jak żyjemy my, pogromcy materii. Jednak w książce tej umyślnie miałem zamiar pominąć chemię wielką, tryumfującą chemię ogromnych zakładów oraz przyprawiających o zawrót głowy obrotów, ponieważ jest ona dziełem zbiorowym, a zatem anonimowym. Interesowały mnie raczej historie o chemii samotnej, bezbronnej i ciągnącej na piechotę, chemii na miarę człowieka, która, z paroma wyjątkami, była i moim doświadczeniem. Ale była ona też doświadczeniem jej prekursorów, którzy nie pracowali w grupie, lecz samotnie, wobec obojętności ich epoki, zwykle pozbawieni zarobku. Bez żadnego wsparcia zmagali się z materią jedynie umysłem i rękoma, rozumem i fantazją.

⁷¹ *nicht dazu gewachsen* (niem.) – niemożność sprostania

⁷² Autor nawiązuje do tytułu, pod jakim ukazały się pamiętniki pisarza Cesarego Pavese, por. C. Pavese, *Rzemiosło życia (dziennik 1935-1950)*, przeł. A. Dukanović, Warszawa 1972.

Spytałem, czy nie miałby ochoty wnieść swojego wkładu do tej książki. Jeśli tak, niech opowie mi jakąś historię i jeżeli mogę coś mu zasugerować, niechaj będzie to jedna z tych historii, w których człowiek szamocze się w ciemnościach przez tydzień lub przez miesiąc, wydaje mu się, że mrok nie ustąpi nigdy, i ma ochotę rzucić wszystko i zmienić zawód. Potem dostrzega w ciemności światło, idzie po omacku w jego kierunku, światło się wzmacnia, aż wreszcie porządek zastępuje chaos. Cerrato odpowiedział z powagą, że rzeczywiście nieraz tak się zdarzało i że postara się mnie zadowolić. Choć w gruncie rzeczy u niego zawsze panowała ciemność, światła nie było widać, wielokrotnie uderzał głową w coraz to niższe sklepienie i koniec końców wychodził z grotu, pełzając do tyłu, o kilka lat starszy niż wtedy, kiedy do niej wchodził. Podczas gdy on, ze wzrokiem utkwionym w pretensjonalne malowidła restauracyjnego sufitu, gmerał w swojej pamięci, ja rzuciłem w jego kierunku szybkie spojrzenie. Dostrzegłem, że dobrze się postarzał, nie tracąc sylwetki, a nawet rozwijając się i dojrzewając. Pozostał jak niegdyś ociężały, niezdolny do orzeźwiającej złośliwości czy żartu, jednak teraz nie wydawało się to tak rażące, było łatwiejsze do zaakceptowania u pięćdziesięciolatka niż dwudziestolatka. Opowiedział mi historię o srebrze.

– Opowiem ci tylko to, co najważniejsze. Całą otoczkę dodasz sobie sam, na przykład o tym, jak żyje Włoch w Niemczech. Zresztą sam tam byłeś. Zajmowałem się kontrolą w oddziale, w którym produkuje się klisze radiograficzne. Wiesz coś na ten temat? Nieważne. Jest to materiał mało wrażliwy, nie przysparzający kłopotów (kłopoty i wrażliwość są wprost proporcjonalne), a zatem także i oddział był całkiem spokojny. Musisz wiedzieć, że jeśli źle zadziała klisza przeznaczona dla amatorów, w dziewięciu na dziesięć przypadków użytkownik stwierdza, że wina leży po jego stronie. A nawet jeśli nie, to najwyżej wysła jakieś inwektywy, które i tak do ciebie nie dotrą z powodu niedokładnego adresu. Natomiast jeśli nie uda się jakaś radiografia, na przykład po zażyciu baru albo po urografii wstecznej, a następnie wychodzi źle następna, a potem jest tak z całą paczką kliszy, no cóż, wtedy tak to się nie kończy. Problem toczy się coraz wyżej, rośnie w miarę wspinaczki i spada na ciebie jako zmartwienie. Wszystko to objaśnił mi mój poprzednik, w sposób obrazowy, jak to Niemcy potrafią, żeby usprawiedliwić w moich oczach ten niezwykle rytuał czystości, jakiego należy przestrzegać w oddziale od początku do końca produkcji. Nie wiem, czy cię to interesuje. Pomyśl tylko...

Przerwałem mu: drobiazgową przezorność, maniackalny porządek i czystość z ośmioma zerami po przecinku są czymś, co przysparza mi cierpienia. Dobrze wiem, że w niektórych wypadkach chodzi o niezbędne środki ostrożności. Ale wiem także, że częściej obsesja przeważa nad zdrowym rozsądkiem i obok pięciu sensownych zaleceń lub zakazów czai się dziesięć bezsensownych i bezużytecznych, których nikt nie śmie wykreślić tylko z powodu umysłowej gnuśności, przesądów lub chorobliwej obawy przed komplikacjami – tak jak w wojsku, gdzie regulamin służy do przemycenia represyjnej dyscypliny. Cerrato dolał mi wina: jego duża dłoń powędrowała niepewnie w kierunku szyjki butelki, jak gdyby ta z biciem skrzydeł uciekała przed nim po stole, a potem rzucił się w stronę mojego kieliszka, kilkakrotnie o niego uderzając. Potwierdził, że często właśnie tak się dzieje. Na przykład robotnikom z oddziału, o którym właśnie mi opowiadał, zakazano używania pudru. Tymczasem pewnego razu jednej z dziewcząt wypadła z kieszeni puderniczka, rozbiła się i do powietrza dostało się sporo proszku. Produkcję z całego dnia poddano szczegółowej kontroli technicznej, jednak wszystko okazało się w najlepszym porządku. No ale cóż, zakaz używania pudru pozostał.

– ...a jednak muszę ci powiedzieć o pewnym szczególe, bez którego historia ta byłaby niezrozumiała. Panuje tam obsesja na punkcie włosów (jest ona usprawiedliwiona, zapewniam cię), oddział znajduje się pod lekkim nadciśnieniem, a pompowane do środka powietrze jest dokładnie filtrowane. Na ubrania zakłada się specjalny kombinezon, a na głowę

czeppek. Wszystkie czepki muszą być codziennie uprane, żeby usunąć pozostałe drobne włoski albo te przypadkowo wyrwane. Buty oraz skarpetki należy zdjąć przy wejściu i zastąpić je zabezpieczającym przed kurzem obuwem.

Tak oto przedstawia się tło wydarzeń. Muszę dodać, że od pięciu czy sześciu lat nie zdarzył się żaden poważniejszy wypadek, może jakaś pojedyncza skarga ze strony pewnego szpitala w związku z niestandardową czułością kliszy, jednak prawie zawsze chodziło o materiał przeterminowany. Kłopoty, na pewno wiesz coś o tym, nie nadciągają galopem jak zastępy Hunów, ale zjawiają się po cichu, ukradkiem niczym dzuma. Zaczęło się od ekspresu z wiedeńskiego centrum diagnostycznego. Sformułowany był w sposób uprzejmy, powiedziałbym, że było to raczej zasygnalizowanie problemu niż skarga. Załączono przykładową radiografię: poprawną pod względem ziarna (mam tu na myśli ziarno emulsji) oraz kontrastu, ale pokrytą podłużnymi białymi plamkami wielkości fasoli. Odpowiedzieliśmy pismem pełnym skruchy, w którym przepraszaliśmy za nieumyślne spowodowanie kłopotów itd. Ale po pierwszym lancknechcie zmarłym na dżumę⁷³ nie należy się łudzić: dżuma to dżuma i nie ma co chować głowy w piasek. Tydzień później nadeszły dwa kolejne listy. Jeden był z Liège i wspominał coś o zapłacie odszkodowania. Drugi przyszedł ze Związku Radzieckiego, nie pamiętam już skomplikowanego skrótu nazwy przedsiębiorstwa (może sam go ocenzurowałem w mojej pamięci), które go nadało. Kiedy przetłumaczono pismo, wszystkim włosy stanęły dęba. Wada była naturalnie ta sama, plamki w kształcie fasoli, list zaś był utrzymany w ostrym tonie. Pisali o trzech operacjach, które byli zmuszeni przełożyć, zmarnowanych dyżurach, kwintalach zareklamowanej kliszy światłoczułej, opinii biegłego oraz międzynarodowym procesie przed sądem, sam już nie wiem gdzie. Żądali, by natychmiast wysłać do nich specjalistę.

W takich przypadkach człowiek stara się przynajmniej pozamykać zagrody, z których uciekła część bawołów, ale nie zawsze się to udaje. Oczywiście, wszystkie klisze przeszły pomyślnie kontrolę techniczną na wyjściu. A zatem chodziło o jakąś wadę, która objawiała się z opóźnieniem, podczas magazynowania u nas lub u klienta albo w trakcie transportu. Dyrektor wezwał mnie do siebie na rozmowę. Przez dwie godziny bardzo uprzejmie omawiał ze mną przypadek, ale ja miałem wrażenie, jakby powoli, metodycznie i z przyjemnością obdzierał mnie ze skóry.

Porozumieliśmy się z laboratorium kontrolnym i ponownie przetestowaliśmy, partia po partii, wszystkie klisze w magazynie. Te najnowsze, sprzed dwóch miesięcy, były w porządku. W pozostałych wada została wykryta, ale nie wszędzie. Partii były setki i około jedna szóstka z nich miała defekt w postaci fasolek. Mój zastępca, który był młodym chemikiem, choć nie takim znowu byстрыm, zauważył ciekawą rzecz: partie wadliwe następowały po sobie z pewną regularnością, pięć dobrych i jedna wybrakowana. Wydawało mi się, że jest to jakiś trop i starałem się dociec przyczyny. Było dokładnie tak, jak mówił: wadliwe okazały się prawie wyłącznie klisze wyprodukowane w środy.

Z pewnością wiesz także, że kłopoty objawiające się z opóźnieniem są o wiele bardziej złośliwe. Podczas gdy szuka się przyczyny, trzeba przecież kontynuować produkcję. Jak jednak możesz być pewien, że przyczyna (albo przyczyny) nie jest ciągle aktywna, a wytwarzany materiał nie przysporzy ci kolejnych problemów? Oczywiście, możesz przetrzymać go na dwumiesięcznej kwarantannie, a potem jeszcze raz skontrolować. Ale co powiesz magazynom z całego świata, które nie mogą doczekać się na transport? A koszty odsetek? A imię, Dobre Imię, *unbestrittener Ruf*⁷⁴? Poza tym jest jeszcze inna sprawa: przy

⁷³ Autor nawiązuje do *Narzeczonych* Alessandra Manzoni, w których lancknechci przynieśli zarazę dżumy do Księstwa Mediolanu, a tamtejszy Urząd Zdrowia świadomie ignorował pierwsze śmiertelne przypadki, co doprowadziło do wybuchu epidemii.

⁷⁴ *Unbestrittener Ruf* (niem.) – niepodważalna reputacja.

każdej zmianie w składzie albo w technologii produkcji musisz odczekać dwa miesiące, zanim przekonasz się, czy jest ona korzystna, czy nie, czy usuwa wadę, czy tylko ją pogłębia.

Ja, naturalnie, uważałem się za niewinnego. Przestrzegałem wszystkich przepisów, nie pozwoliłem sobie na żadne odstępstwo. Powyżej i poniżej mnie w hierarchii wszyscy czuli się tak samo niewinni: ci, którzy przepuścili przez kontrolę surowce, ci, którzy przygotowali i przetestowali emulsję z bromku srebra, ci, którzy pakowali i magazynowali pudełka z kliszą. Czułem się niewinny, ale niewinny nie byłem. Byłem winny z definicji, ponieważ kierownik odpowiada za swój oddział, ponieważ jeśli jest szkoda, musi być też grzech, a jeśli jest grzech, to musi być i grzesznik. To tak jak z grzechem pierwotnym: niby nic nie zrobiłeś, ale jesteś winny i musisz zapłacić. Nie pieniędzmi, gorzej: tracisz sen, apetyt, dostajesz wrzodów i wysypki i robisz pierwszy poważny krok w stronę ostatecznej nerwicy na tle zawodowym.

Podczas gdy dalej nadchodziły listy i dzwięczały telefony z zażaleniami, ja zawziętem się i łamałem sobie głowę nad środowymi partiami. Ten fakt nie mógł być bez znaczenia. We wtorkowe noce dyżur pełnił strażnik, który nie bardzo mi się podobał: miał bliznę na brodzie i twarz nazisty. Nie wiedziałem, czy powiedzieć o tym dyrektorowi, czy nie – zrzucanie winy na innych nigdy nie jest dobrą polityką. Potem kazałem przynieść sobie listę płac i zobaczyłem, że nazista pracował u nas dopiero od trzech miesięcy, podczas gdy fasolowy defekt dotyczył klisz wyprodukowanych dziesięć miesięcy wcześniej. Cóż nowego zaszło dziesięć miesięcy wcześniej?

Jakieś dziesięć miesięcy wcześniej, po rygorystycznych kontrolach, podpisano umowę z kolejnym dostawcą czarnego papieru używanego do ochrony czułych klisz przed światłem. Okazało się jednak, że wadliwy materiał był pakowany naprzemiennie w czarny papier pochodzący od obydwu dostawców. Także około dziesięć miesięcy wcześniej (dokładnie dziewięć) przyjęto do pracy grupę tureckich robotnic. Ku ich wielkiemu zdziwieniu przepytalem je, jedną po drugiej. Chciałem ustalić, czy w środy albo we wtorki wieczorem robiły coś niezwykłego. Myły się? A może właśnie się nie myły? Używały jakiegoś specjalnego kosmetyku? Szły potać i pociły się bardziej niż zwykle? Nie ośmieliłem się spytać, czy we wtorkowe wieczory się kochały. Niemniej jednak ani rozmawiając z nimi bezpośrednio, ani przez tłumacza, nie doszedłem do żadnych wniosków.

Domyślasz się, że tymczasem o sprawie dowiedziała się cała fabryka i spoglądano na mnie w dziwny sposób, także dlatego, że byłem jedynym włoskim kierownikiem oddziału. Mogłem wyobrazić sobie komentarze, jakie zapewne wymieniano za moimi plecami. Ostateczna pomoc nadeszła ze strony jednego z woźnych, który mówił trochę po włosku, ponieważ walczył we Włoszech, a nawet wzięli go do niewoli partyzanci z okolic Bielli, potem zaś wymienili na kogoś innego. Nie żywił urazy. Był wylewny i gadał, co mu ślina na język przyniesie, po trochu o wszystkim, nigdy nie kończąc wątku. W każdym razie to właśnie ta jego czcza gadanina stała się nicią Ariadny. Pewnego dnia powiedział mi, że jest wędkarzem, ale już od jakiegoś roku w pobliskim strumieniu nie da się złowić nawet jednej ryby, od kiedy pięć czy sześć kilometrów wyżej postawiono garbarnię. Powiedział też, że w niektóre dni woda robi się brunatna. Z początku nie przywiązywałem wagi do tych jego obserwacji. Ale przemyślałem je ponownie kilka dni potem, kiedy z okna pokoju służbowego zobaczyłem ciężarówkę powracającą z kombinezonami z pralni. Zasięgnąłem języka. Garbarnia rozpoczęła pracę dziesięć miesięcy wcześniej, zaś pralnia prała kombinezony w wodzie ze strumienia, w którym wędkarz nie był już w stanie niczego złowić. Jednak wodę filtrowano i przepuszczano przez wymiennik jonowy. Kombinezony prano w ciągu dnia, nocą suszono w suszarce i dostarczano wczesnym rankiem, jeszcze przed syreną.

Poszedłem do garbarni. Chciałem wiedzieć, kiedy, gdzie, jak często i w które dni opróżnia się kadzie. Odprawiono mnie z kwitkiem, ale wróciłem po dwóch dniach w towarzystwie lekarza z zakładu higieny. A zatem, największą z kadzi garbarskich opróżniano co tydzień,

nocą z poniedziałku na wtorek! Nie chcieli zdradzić, co zawierała, ale sam dobrze wiesz, że garbniki organiczne są polifenolami i nie istnieje żywica jonowymienna zdolna je powstrzymać. A co może zrobić polifenol z bromkiem srebra, jesteś w stanie wyobrazić sobie także i ty, choć nie jesteś jednym z nas. Dostałem próbkę płukanki garbarskiej, poszedłem do laboratorium eksperymentalnego i spróbowałem zatemizować roztwór 1:10000 wewnątrz kamery obskury, gdzie umieściłem próbkę kliszy radiograficznej. Efekt można było zobaczyć w kilka dni potem: czułość kliszy zniknęła, dosłownie. Kierownik laboratorium nie wierzył własnym oczom. Powiedział, że nigdy jeszcze nie widział tak silnego inhibitora. Próbowaliśmy z coraz bardziej rozcieńczonymi roztworami, jak robią to homeopaci. Przy roztworze w proporcjach około jednej części do miliona otrzymywało się plamki w kształcie fasoli, które jednak pojawiały się dopiero po dwóch miesiącach składowania. Efekt fasoli, *Bohneffekt*, został w pełni odtworzony. Jeśli dobrze policzyć, to żeby wywołać jedną plamkę, wystarczyło kilka tysięcy cząsteczek polifenolu wchłoniętego w trakcie prania przez włókna kombinezonu i przeniesionego z kombinezonu na kliszę za pomocą niewidzialnego lotnego włosa.

Pozostali biesiadnicy wokół nas hałaśliwie rozprawiali o dzieciach, wakacjach i zarobkach. My, trzymając się na uboczu, usiedliśmy przy barze, gdzie powoli, powoli popadaliśmy w sentymentalizm i obiecaliśmy sobie odnowić naszą przyjaźń, która, prawdę mówiąc, nigdy nas nie łączyła. Będziemy utrzymywać kontakty i każdy z nas będzie opowiadał temu drugiemu podobne do tej historii. Historie, w których wstrętne materia objawia swoje złośliwe i obstrukcyjne intencje, jak gdyby sprzeciwiała się porządkowi, tak drogiemu ludzkości. Jest ona niczym owi zuchwalcy nie przynależący do żadnej kasty, żądni raczej klęski innych niż własnego tryumfu, którzy w powieściach nadciągają z krańców ziemi, żeby położyć kres przygodom pozytywnych bohaterów.

WANAD

Emalia z definicji jest substancją zmienną. Rzeczywiście, w pewnym momencie swojej kariery musi przejść ze stanu ciekłego w stały. Powinno to nastąpić w odpowiednim momencie i miejscu. W przeciwnym razie sytuacja może okazać się nieprzyjemna albo dramatyczna w skutkach. Może się zdarzyć, że emalia zastygnie (my mówimy brutalnie, że „padnie”) podczas składowania w magazynie i wtedy towar trzeba wyrzucić. Albo w trakcie syntezy w dziesięcio- lub dwudziestotonowym reaktorze zakrzepnie żywica bazowa, co może zakończyć się wręcz tragicznie. Albo jeszcze emalia nie zastygnie wcale, nawet po jej zastosowaniu, a wtedy wystawiamy się na pusty śmiech, ponieważ emalia, która nie schnie, jest jak strzelba, która nie strzela, albo jak byk, który nie kryje.

W procesie krzepnięcia, w wielu przypadkach, ma swój udział tlen z powietrza. Pośród wielu życiodajnych lub niszczyielskich działań, do jakich jest skłonny, nas, lakierników, interesuje przede wszystkim jego zdolność wchodzenia w reakcje z pewnymi małymi molekułami, jak na przykład z cząsteczkami niektórych olejów, oraz do tworzenia pomiędzy nimi połączeń, przez co przekształca je w zwartą, a zatem trwałą, sieć. To właśnie w ten sposób „wysycha” pod wpływem powietrza olej lniany.

Sprowadziliśmy partię żywicy do produkcji emalii, jedną z tych, które zastygają w temperaturze pokojowej, pod wpływem zwykłej ekspozycji na działanie powietrza atmosferycznego, i byliśmy zmartwieni. Kiedy sprawdziliśmy samą żywicę, zastygała prawidłowo, ale po przemieleniu z pewnym (niezastępowalnym) gatunkiem sadzy jej zdolność wysychania słabła, a w końcu całkowicie zanikała. Zgromadziliśmy już wiele ton czarnej emalii, która – pomimo wszystkich prób ulepszenia – po nałożeniu była niezmiennie kleista niczym ponury lep na muchy.

W sytuacjach takich jak ta należy zachować ostrożność, zanim postawi się zarzuty. Dostawcą była firma W., duże i renomowane przedsiębiorstwo niemieckie, jeden z owych kikutów, na jakie alianci rozczłonkowali po wojnie wszechpotężną IG-Farben. Tacy ludzie, zanim przyznają się do winy, rzucają na szalę cały ciężar własnego prestiżu oraz całą swoją umiejętność przeciągania sprawy. Jednak nie było sposobu, by sporu uniknąć. Inne partie żywicy zachowywały się poprawnie w kontakcie z tą samą partią sadzy. Ten gatunek żywicy wytwarzała jedynie W., my zaś byliśmy zobowiązani umową i musieliśmy nieprzerwanie dostarczać czarną emalię, przestrzegając terminów.

Napisałem grzeczną skargę, wyłuszczając problem, i parę dni później nadeszła odpowiedź. Była długa i pedantyczna, radziła zastosowanie oczywistych zabiegów, których już wcześniej, bez efektu, próbowaliśmy, oraz zawierała powierzchowny i celowo mętny opis mechanizmu oksydacji żywicy. Nie liczonego się z naszym pośpiechem i w kluczowym punkcie stwierdzano jedynie, że rozpoczęto odpowiednie kontrole. Nie pozostawało nam nic innego, jak czym prędzej zamówić kolejną partię, zalecając firmie W., by z wyjątkową uwagą zweryfikowała zachowanie żywicy w kontakcie z tym, a nie innym rodzajem sadzy.

Wraz z potwierdzeniem ostatniego zamówienia dotarł do nas kolejny list, prawie tak samo długi jak pierwszy, podpisany przez tego samego doktora L. Müllera. W porównaniu z pierwszą odpowiedzią był nieco bardziej konkretny, uznawał (z wielką ostrożnością i pod wieloma zastrzeżeniami) zasadność naszej skargi oraz zawierał pewną poradę, mniej

oczywiście niż poprzednio. „Ganz unerwarteterweise”, czyli zupełnie nieoczekiwanie, krasnoludy z ich laboratorium odkryły, że zareklamowana partia doznawała uzdrowienia po dodaniu 0,1 procenta naftianianu wanadu – domieszki, o której dotychczas w świecie emalii nigdy nie słyszano. Nieznany doktor Müller zachęcał nas do natychmiastowego sprawdzenia tej teorii. Jeśli efekt zostałby potwierdzony, ich odkrycie pozwoliłoby obydwu stronom uniknąć nieprzyjemności oraz nieprzewidywalnych sytuacji związanych ze sporem międzynarodowym oraz z reekspozycją.

Müller. Był jakiś Müller w moim poprzednim wcieleniu, ale w Niemczech Müller jest bardzo popularnym nazwiskiem, tak jak we Włoszech Molinari⁷⁵, które stanowi jego dokładny odpowiednik. Po co się nad tym dalej zastanawiać? A jednak, czytając ponownie obydwie listy, utrzymane w podobnie ciężkim stylu i nafaszerowane techniczną terminologią, nie mogłem zdusić w sobie pewnych wątpliwości, z gatunku tych, które nie dają się przepędzić i chrobocą w twojej głowie niczym korniki. Ależ daj spokój, Müllerów w Niemczech jest pewnie ze dwieście tysięcy. Zapomnij o tym i zajmij się czekającą na skorygowanie emalią.

I wtedy, niespodziewanie, stanął mi przed oczami pewien szczegół z ostatniego listu, który wcześniej umknął mojej uwadze. Nie chodziło o literówkę, błąd powtarzał się dwa razy, było napisane „naptentat”, a nie „naphthenat”, jak być powinno. Ze spotkań, które miały miejsce w tamtym odległym już wówczas świecie, zachowałem wręcz patologicznie precyzyjne wspomnienia. A zatem, także i tamten Müller, w owym pamiętnym laboratorium pełnym zimna, nadziei i strachu, mówił „beta-Naptylamin” zamiast „beta-Naphthylamin”.

Rosjanie stali u wrót, dwa albo trzy razy w ciągu dnia nadlatywały alianckie samoloty, żeby zatrząść zakładami Buny. Nie było ani jednej całej szyby, brakowało wody, pary i energii elektrycznej. Ale padł rozkaz, żeby zacząć produkcją gumy Buna, a Niemcy rozkazów nie poddają pod dyskusję.

Znajdowałem się w laboratorium razem z dwoma innymi więźniami-specjalistami, podobnymi do przyuczonych do pracy niewolników, jakich zamożni Rzymianie sprowadzali z Grecji. Praca była rzeczą równie niemożliwą, co bezcelową. Prawie cały nasz czas traciliśmy na demontaż aparatury przy każdym alarmie lotniczym oraz na ponowne jej montowanie po zakończeniu alarmu. Ale właśnie, rozkazy nie podlegają dyskusji i co pewien czas jakiś inspektor przedzierał się do nas przez gruzy i śniegi, żeby upewnić się, czy praca w laboratorium przebiega zgodnie z wytycznymi. Czasami przychodził esesman z kamienną twarzą, czasami stary, złęknioty niczym myszka żołnierska z miejscowej milicji, a jeszcze kiedy indziej jakiś cywil. Cywil, który najczęściej się pojawiał, zwany był doktorem Müllerem.

Musiał cieszyć się sporym autorytetem, ponieważ wszyscy kłaniali mu się pierwsi. Był to człowiek wysoki i korpulentny, około czterdziestoletni, o wyglądzie raczej prostackim niż eleganckim. Ze mną zdarzyło mu się rozmawiać tylko trzykrotnie i za każdym razem czynił to z nieczęsto spotykaną w tym miejscu nieśmiałością, jak gdyby czegoś się wstydził. Pierwsza nasza rozmowa dotyczyła tylko pracy (właśnie dozowania „naptylaminy”). Za drugim razem zapytał, czemu noszę tak długą brodę, na co odpowiedziałem, że nikt z nas nie ma brzytwy ani nawet chusteczki i zgodnie z zarządzeniem brodę golą nam co poniedziałek. Gdy spotkaliśmy się po raz trzeci, przekazał mi bilet, zapisany wyraźną czcionką na maszynie, który upoważniał mnie do golenia także w czwartki oraz do odbioru w Effektenmagazynie pary skórzanych butów. Zapytał też, zwracając się do mnie w trzeciej osobie: „Skąd ten niepokój na pana twarzy?”. Ja, który w tamtym okresie myślałem po niemiecku, powiedziałem sam do siebie: „Der Mann hat keine Ahnung”, ten człowiek nie ma o niczym pojęcia.

⁷⁵ Molinari – odpowiednik polskiego nazwiska Młynarski.

Obowiązki przede wszystkim. Czym prędzej zwróciłem się do naszych zwykłych dostawców o próbkę naftianianu wanadu, co okazało się nie takie proste. Produktu nie wytwarzano regularnie, przygotowywano jego niewielkie ilości i tylko na zamówienie. Złożyłem więc zamówienie.

Ponowne pojawienie się owego „pt” wprawiło mnie w stan gwałtownego poruszenia. Stańc człowiek naprzeciw człowieka, by rozliczyć przeszłość, z jednym z „tamtych”, było moim najżywszym i najtrwalszym poobozowym pragnieniem. Stało mu się zadość jedynie po części dzięki listom od moich niemieckich czytelników. Nie zadowalały mnie jednak te szczerze i ogólnikowe deklaracje skruchy oraz solidarności ze strony osób nigdy niewidzianych, których drugiej twarzy nie mogłem poznać i które nie były zaangażowane w sprawę w inny sposób, jak tylko emocjonalnie. Spotkanie, którego tak intensywnie wyglądałem, że aż śniłem o nim po nocach (po niemiecku), było spotkaniem z jednym z tych, którzy o nas decydowali, którzy nie patrzyli nam w oczy, jakbyśmy oczu nie mieli. Nie z chęci zemsty – nie jestem hrabią Monte Christo. Jedynie po to, by przywrócić zwykłą miarę rzeczom i móc powiedzieć: „a zatem?”. Gdyby ten Müller okazał się moim Müllerem, to nie byłby idealnym przeciwnikiem, ponieważ w jakiś sposób, choć tylko przez chwilę, okazał litość. A może był to jedynie przebłysk solidarności zawodowej. A może nawet coś jeszcze niższego: może poczuł się urażony, że oto to dziwaczne skrzyżowanie jego kolegi i przedmiotu, które było w końcu chemikiem, przebywało w laboratorium bez owego *Anstand*, zewnętrznej ogłady, jakiej to miejsce wymaga. Jednak inni wokół niego nie mieli nawet i tego rodzaju odczuć. Nie był idealnym przeciwnikiem, ale jak wiadomo, perfekcja należy do tych zjawisk, o których się mówi, ale których się nie doświadcza.

Skontaktowałem się z przedstawicielem firmy W., z którym byłem w dość zażyłych stosunkach, i poprosiłem, by przeprowadził dyskretne śledztwo w sprawie doktora Müllera: ile ma lat, jak wygląda, gdzie był w czasie wojny. Na odpowiedź nie musiałem długo czekać. Wiek oraz wygląd pasowały, mężczyzna pracował najpierw w Schkopau, odbywając praktykę przy produkcji gumy, a potem w fabryce Buny, koło Oświęcimia. Udało mi się zdobyć jego adres i wysłałem, prywatnie, niemieckie wydanie powieści *Czy to jest człowiek* wraz z załączonym listem, w którym pytałem, czy naprawdę to on jest Müllerem z Auschwitz i czy przypomina sobie *die drei Leute vom Labor*⁷⁶. A więc, mam nadzieję, że wybaczy mi moje brutalne wtargnięcie i powrót z nicości. To ja byłem jednym z tych trzech, oprócz tego, że byłem też klientem zmartwionym z powodu niezastygającej żywicy.

Rozpoczęło się oczekiwanie na odpowiedź. Równoległe na poziomie oficjalnym ciągnęła się, jakby w rytmie oscylującego ruchu ogromnego, powolnego wahadła, wymiana chemiczno-urzędowej korespondencji na temat włoskiego wanadu, który nie był tak dobry jak ten niemiecki. Tymczasem zechcą Państwo pilnie przesłać nam specyfikację produktu oraz dostarczyć go drogą pocztową w ilości 50 kg, czego koszty będą Państwo łaskawi sobie odliczyć itd. Pod względem technicznym sprawa wydawała się na dobrej drodze, ale losy wadliwej partii żywicy nie były przesądzone. Zatrzymać ją za niższą cenę czy też odesłać na koszt W.? A może wystąpić o arbitraż? Tymczasem, jak to jest w zwyczaju, groziliśmy sobie wzajemnie wkroczeniem na drogę sądową, *gerichtlich vorzugehen*.

Odpowiedź „prywatna” dalej kazała na siebie czekać i było to prawie tak samo irytujące i wyczerpujące jak spór między firmami. Cóż mogłem wiedzieć o tym człowieku? Nic, najprawdopodobniej wymazał wszystko z pamięci, celowo lub nie. Mój list oraz książkę odebrał jako nachalne i nieprzyjemne wtargnięcie, niezgrabną zachętę, by zmaćić porządnie już opadły osad, zamach na ów *Anstand*. Nie odpowie nigdy. Szkoda – nie był idealnym Niemcem, ale czy idealni Niemcy istnieją? Albo idealni Żydzi? Są abstrakcją. Przejście od uogólnienia do konkretnego kryje w sobie ciekawe niespodzianki, kiedy to pozbawiony konturów

⁷⁶ *Die drei Leute...* (niem.) – *Trzej pracownicy z laboratorium*. Taki tytuł nosi jeden z rozdziałów książki Primo Leviego *Czy to jest człowiek*.

partner, jakby jeszcze w postaci larwalnej, na naszych oczach nabiera kształtów, stopniowo albo też w jednej chwili, i staje się *Mitmensch*, współ-człowiekiem, w całym swoim wymiarze, z wszystkimi tikami, dziwactwami i anakolutami. Minęły ponad dwa miesiące – odpowiedź już nie nadejdzie. Szkoda.

Nadeszła 2 marca 1967 roku, na eleganckim papierze listowym z nagłówkiem drukowanym lekko gotycką czcionką. Był to list otwierający korespondencję, krótki i powściągliwy. Tak, Müllerem z fabryki Buna był właśnie on. Przeczytał moją książkę, ze wzruszeniem rozpoznał w niej osoby i miejsca. Cieszył się, że przeżyłem. Pytał o wieści o pozostałych dwóch „pracownikach z laboratorium” i jak dotąd nie było w tym nic dziwnego, ponieważ wspominałem o nich w książce. Jednak zadał też pytanie o Goldbauma, o którym nie wspominałem. Dodawał, że przy okazji przeczytał ponownie swoje zapiski na temat tamtego okresu i chętnie mi je zrelacjonuje podczas wypatrywanego z nadzieją osobistego spotkania, „przydatnego tak mnie samemu, jak i Panu, oraz koniecznego, by przewyciężyć tę straszną przeszłość” (*im Sinne der Bewältigung der so furchtbaren Vergangenheit*). Na końcu zaś wyznawał, że spośród wszystkich więźniów spotkanych w Auschwitz ja byłem tym, który wywarł na nim największe i niezatarte wrażenie. Równie dobrze mogło to być pochlebstwo. Wnioskując z tonu listu, a przede wszystkim z owego zdania na temat „przewyciężenia”, miałem wrażenie, że człowiek ten czegoś ode mnie oczekiwał.

Teraz była moja kolej, by odpowiedzieć, i czułem się zakłopotany. Sprawa przedstawiała się następująco: plan się powiódł, przeciwnik został schwytany. Stał przede mną, niemalże kolega po fachu, tak jak ja pisał na papierze listowym i pamiętał nawet o Goldbaumie. Jego postać była ciągle nieostra, stało się jednak jasne, że oczekiwał ode mnie czegoś w rodzaju rozgrzeszenia, ponieważ to on miał przeszłość do przewyciężenia, nie ja. Ja potrzebowałem od niego jedynie zniżki na fakturze za wadliwą żywicę. Sytuacja była ciekawa, choć nietypowa, i tylko po części przypominała sytuację potępieńca stojącego przed obliczem sędziego.

Po pierwsze: w jakim języku miałem mu odpowiedzieć? Z pewnością nie po niemiecku. Popełniłbym śmieszne błędy, co w moim położeniu było niedopuszczalne. Zawsze lepiej walczyć na własnym polu – odpisałem więc po włosku. Dwaj mężczyźni z laboratorium zginęli, nie wiedziałem gdzie ani w jaki sposób. Także Goldbaum umarł, z zimna i głodu, podczas marszu ewakuacyjnego. O mnie tego, co najważniejsze, dowiedział się z książki oraz ze służbowej korespondencji dotyczącej wanadu.

Było wiele pytań, które chciałem mu zadać; zbyt wiele i zbyt trudnych dla niego i dla mnie. Dlaczego Auschwitz? Dlaczego Pannwitz? Dlaczego dzieci w komorach gazowych? Czułem jednak, że jeszcze nie nadszedł moment, by przekroczyć pewne granice, i zapytałem jedynie, czy zgadza się z osądami wyrażonymi implícite i explicite w mojej książce. Czy uważał, że IG-Farben z własnej i nieprzymuszonej woli zatrudniała niewolniczą siłę roboczą? Czy wiedział wtedy o „urządzeniach” w Auschwitz, które pochłaniały dziesięć tysięcy istnień ludzkich dziennie, znajdujących się siedem kilometrów od zakładów gumowych Buna? I wreszcie, ponieważ wspominał o swoich „zapiskach na temat tamtego okresu”, czy mógłby przesłać mi ich kopię?

Na temat „wypatrywanego z nadzieją spotkania” nic nie napomknąłem, gdyż budziło ono we mnie strach. Nie ma co szukać eufemizmów, mówić o skrępowaniu, odrazie, powściągliwości. Strach jest tu odpowiednim słowem: tak jak nie czułem się hrabią Monte Christo, tak samo nie czułem się Horacjuszem-Kuracjuszem⁷⁷. Nie czułem się na siłach, by mówić w imieniu zmarłych z Auschwitz, ani nie wydawało mi się rozsądne upatrywać w Müllerze przedstawiciela katów. Znam siebie: nie mam w sobie zacięcia polemicznego, przeciwnik mnie rozprasza, interesuje bardziej jako człowiek niż jako adwersarz, słucham go,

⁷⁷ Według tradycji rzymskiej trzej bracia Horacjusze stoczyli walkę z trzema braćmi Kuracjuszami, aby rozstrzygnąć spór między Rzymem a Alba Longa za panowania Hillusa Hostyliusza.

ryzykując, że mu uwierzę. Oburzenie i właściwy osąd wracają po fakcie, gdy jestem na schodach i nic mi już po nich. Dlatego wolałem pozostać przy listach.

Müller odpisał mi oficjalnie, że wysłano pięćdziesiąt kilo produktu, że firma W. wierzy w polubowne rozwiązanie sporu itp. Prawie równocześnie dotarł do mojego domu oczekiwany przeze mnie list, nie był jednak taki, jakiego się spodziewałem. Nie był to list modelowy, paradygmataczny. W tym miejscu, gdyby ta historia była zmyślona, mógłbym opisać ten list na dwa sposoby: list uniżony, ciepły, chrześcijański od wyzwolonego od grzechu Niemca lub list nikczemny, wyniosły, lodowaty od zatwardziałego nazisty. Jednak ta historia nie jest zmyślona, a rzeczywistość zawsze okazuje się bardziej złożona niż fikcja: mniej ulizana, bardziej szorstka, nie tak wygładzona. Rzadko ogranicza się do jednego wymiaru.

List miał osiem stron i dołączono do niego zdjęcie, na widok którego podskoczyłem. Twarz była tą twarzą, postarzałą, a zarazem uszlachetnioną przez wprawnego fotografa. Znów słyszałem, jak wypowiada ponad moją głowę te słowa roztargnionego, chwilowego współczucia: „Skąd ten niepokój na pana twarzy?”

Ewidentnie było to dzieło niedoświadczonego autora: górnolotne, szczere tylko po części, pełne dygresji i przesadnych pochwał, wzruszające, pedantyczne i niezdarne. Mogło konkurować ze wszystkimi ogólnikami i frazesami.

Wydarzenia z Auschwitz przypisywał Człowiekowi, bez żadnego rozróżnienia. Potępiał je i pocieszała go myśl o innych ludziach opisanych w mojej książce, Albercie, Lorenzu, których „nie mają się ciemne moce”⁷⁸. Zdanie było moje, ale powtórzone przez niego brzmiało dla mnie obłudnie i fałszywie. Opowiedział swoją historię: „początkowo porwany powszechnym entuzjazmem wobec hitlerowskiego reżimu”, zapisał się do nacjonalistycznej organizacji młodzieżowej, która wkrótce została z rozkazu wcielona do SA. Postarał się o zwolnienie, co, jak skomentował, „było mimo wszystko możliwe”. Gdy wybuchła wojna, zwerbowano go do obrony przeciwlotniczej i dopiero wtedy, patrząc na zrujnowane miasto, odczuł „wstyd i pogardę” dla wojny. W maju 1944 roku nadarzyła mu się okazja (jak mnie!), by wykazać się jako chemik, i przydzielono go do fabryki IG-Farben w Schkopau, której oświęcimską fabryka była kopia w powiększeniu. W Schkopau miał za zadanie przyuczyć do pracy w laboratorium grupę ukraińskich dziewcząt, które rzeczywiście spotkałem potem w Auschwitz i których poufałe stosunki z doktorem Müllerem były dla mnie niezrozumiałe. Został przeniesiony do Auschwitz wraz z dziewczętami dopiero w listopadzie 1944 roku. W tamtym czasie nazwa ta nic jeszcze nie znaczyła ani dla niego, ani dla jego znajomych. Niemniej jednak zaraz po przyjeździe odbył krótkie spotkanie zapoznawcze z dyrektorem technicznym (prawdopodobnie z inżynierem Faustem), który przypomniał mu, że „Żydom z fabryki Buna należy wyznaczać jedynie najbardziej niewdzięczne prace, współczucia zaś się nie toleruje”.

Przydzielono go pod bezpośrednie zwierzchnictwo doktora Pännwitza, tego samego, który poddał mnie dziwaczemu „egzaminowi państwowemu”, żeby upewnić się co do moich umiejętności zawodowych. Müller dawał do zrozumienia, że ma jak najgorszą opinię o swoim przełożonym, który – jak uściślił – zmarł w 1946 roku na raka mózgu. To on, Müller, był odpowiedzialny za organizację laboratorium w Bunie. Twierdził, że o egzaminie nic nie wiedział i że to on sam wybrał nas, trzech specjalistów, a mnie w szczególności. Zgodnie z tą informacją, nieprawdopodobną, ale nie niemożliwą, jemu właśnie miałbym zawdzięczać ocalenie. Twierdził, że łączyły go ze mną stosunki niemalże przyjacielskie, właściwe dwojgu równym sobie ludziom; że rozprawiał ze mną na tematy naukowe; że rozmyślał, w obliczu tychże okoliczności, nad tym, jak to „cenne przymioty ludzkie są niszczone przez innych ludzi kierujących się zwykłą brutalnością”. Nie tylko nie przypominałem sobie żadnej podobnej rozmowy (a moja pamięć z tego okresu, jak już wspomniałem, jest doskonała), ale już sama możliwość jej odbycia na tle ogólnego rozkładu, wzajemnej nieufności i

⁷⁸ P. Levi, *Czy to jest człowiek*, dz. cyt., s. 72.

śmiertelnego zmęczenia była czymś zupełnie nierzeczywistym i wytłumaczalnym jedynie pod wpływem bardzo naiwnego i niewczesnego *wishful thinking*⁷⁹. Być może o wydarzeniu tym opowiadał wielu ludziom i nie zdawał sobie sprawy, że jedyną osobą na świecie, która nie mogła uznać je za prawdziwe, byłem właśnie ja. Być może, w dobrej wierze, zbudował sobie wygodną przeszłość. Nie pamiętał o dwóch szczegółach dotyczących brody i butów, ale przypominał sobie inne detale, równoważne i, w mojej ocenie, prawdopodobne. Doszły go wieści o mojej szkarlatynie i niepokoił się o moje życie, zwłaszcza kiedy dowiedział się, że więźniów ewakuowano na piechotę. 26 stycznia 1945 roku SS przydzieliło go do Volkssturmu, oddziału będącego zbieraniną niezdolnych do służby wojskowej, starców i dzieci, który miał zagrozić drogę Sowietom.

Na szczęście uratował go wspomniany wyżej dyrektor techniczny, pozwalając mu wycofać się na tyły.

Na moje pytanie dotyczące IG-Farben odpowiedział zdecydowanie, że owszem, zatrudniała więźniów, ale jedynie po to, by ich chronić. Wyraził nawet (absurdalną!) opinię, że całą fabrykę Buna-Monowitz, osiem kilometrów kwadratowych cyklopowych zakładów, wzniesiono z zamiarem „ochrony Żydów i przyczynienia się do ich przetrwania” i że rozkaz, by nie okazywać współczucia, był dla nich *eine Tarnung*, przykrywką. *Nihil de principe*⁸⁰, żadnego oskarżenia pod adresem IG-Farben. Mój partner był ciągle pracownikiem fabryki W., jej spadkobierczyni, a przecież nie kłała się własnego gniazda. Podczas krótkiego pobytu w Auschwitz „nigdy nie słyszał o żadnym urzędzeniu, które miałoby służyć do zabijania Żydów”. Paradoksalne, obraźliwe, ale niewykluczone. W tamtych czasach wśród milczącej większości społeczeństwa niemieckiego powszechne było, by starać się wiedzieć jak najmniej i w związku z tym nie zadawać pytań. Zapewne także i on od nikogo nie żądał wyjaśnień, nawet od samego siebie, pomimo że w pogodne dni z Bunu były widoczne dymy krematorium.

Tuż przed ostateczną klęską został aresztowany przez Amerykanów i osadzony w obozie jenieckim, który on, z niezamierzonym sarkazmem, określił jako „prymitywnie urządzone”. A zatem zupełnie jak podczas naszego spotkania w laboratorium Müller, w chwili gdy pisał, dalej nie miał *keine Ahnung*, żadnego pojęcia. Powrócił do rodziny pod koniec czerwca 1945 roku. Taka była z grubsza zawartość jego zapisków, które chciałem poznać.

W mojej książce dopatrywał się przewyciężenia judaizmu, realizacji chrześcijańskiego przykazania, by miłować nieprzyjaciół, oraz świadectwa wiary w Człowieka. Kończył zaś, nalegając na spotkanie w Niemczech lub we Włoszech, w odpowiednim dla mnie miejscu i czasie. Najlepiej na Włoskiej Riwierze. Dwa dni potem, kanałami oficjalnymi, dotarł list z firmy W., który, z pewnością nieprzypadkowo, nosił tę samą datę oraz ten sam podpis, co długi list prywatny. Był to list pojednawczy. Przyznawali się do błędu i byli gotowi przystać na każdą propozycję. Dawali do zrozumienia, że niecała szkoda wyszła na złe: wypadek wydobyl na światło dzienne zalety naftianianu wanadu, który od tej pory miał być dodawany bezpośrednio do żywicy niezależnie od tego, dla jakiego klienta byłaby ona przeznaczona.

Cóż począć? Postać Müllera *hat sich entpuppt*⁸¹, wydostała się z kokonu, stała się wyraźna, ostra. Nie był to ani łajdak, ani bohater. Po odsianiu pustostwa oraz kłamstw, wypowiedzianych w dobrej lub w złej wierze, ukazał się typowo szary egzemplarz ludzki, jeden z wielu jednookich w królestwie ślepców. Czynił mi niezasłużony zaszczyt, przypisując cnotę miłowania nieprzyjaciół. Nie, pomimo wyświadczonych mi przez niego odległych przysług i chociaż nie był nieprzyjacielem w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie umiałem go miłować. Nie miłowałem go i nie pragnąłem go widzieć, ale mimo to w jakimś stopniu

⁷⁹ *Wishful thinking* (ang.) – myślenie życzeniowe.

⁸⁰ *Parum de Deo, nihil de principe* – sentencja łacińska: Mało o Bogu, nic o księciu.

⁸¹ *Hat sich entpuppt* (niem.) – wyłoniła się, przepoczwarzyła się.

żywiłem dla niego szacunek: to nic wygodnego być jednookim. Nie był ani gnuśny⁸², ani głuchy, ani cyniczny. Nie dostosował się, starał się rozliczyć z przeszłością, jednak rachunek mu się nie zgadzał, robił więc, co mógł, żeby to naprawić, być może nieco naciągając fakty. Czy można było wymagać czegoś więcej od byłego członka SA? Porównanie z innymi uczciwymi Niemcami, jakich wiele razy miałem okazję spotkać na plaży lub w fabryce, wypadało zdecydowanie na jego korzyść. Jego potępienie nazizmu było nieśmiałe i peryfrastyczne, ale nie szukał usprawiedliwień. Szukał dialogu: miał sumienie i szarpał się, by utrzymać je w spokoju. W swoim pierwszym liście mówił o „przewycięzeniu przeszłości”, „*Bewältigung der Vergangenheit*”. Dowiedziałem się potem, że jest to szablonowy zwrot, eufemizm dzisiejszych Niemiec, gdzie powszechnie rozumie się go jako „wyrzeczenie się nazizmu”. Jednak zawarty w nim trzon „walt” pojawia się także w wyrazach oznaczających „dominację”, „przemoc”, „gwałt” i sądzę, że tłumacząc owo wyrażenie jako „wykrzywianie przeszłości” lub „gwałt dokonany na przeszłości”, nie odbieglibyśmy zanadto od jego głębszego sensu. Ale mimo wszystko lepsze już było chronienie się pod osłoną komunałów niż płodna tępota innych Niemców. Jego próby przewycięzenia przeszłości były niezgrabne, po trosze śmieszne, irytujące i smutne, lecz mimo wszystko na jakimś poziomie. I czyż nie zyskałem dzięki niemu pary butów?

W pierwszą wolną niedzielę zasiadłem, pełen wahania, by przygotować możliwie najszczerzą, najbardziej wyważoną oraz stosowną odpowiedź. Sporządziłem brudnopis. Dziękowałem Müllerowi, że umożliwił mi pracę w laboratorium. Wyrażałem moją gotowość do wybaczenia nieprzyjaciołom, a może nawet ich miłowania, jednak jedynie wtedy, kiedy okażą wyraźne oznaki skruchy, a więc gdy przestaną być nieprzyjaciółmi. W przeciwnym razie, w wypadku nieprzyjaciela, który nieprzyjacielem pozostaje i uparcie tkwi w postanowieniu zadawania cierpienia, zapewne nie należy mu wybaczać. Można starać się go nawrócić, można (trzeba!) z nim dyskutować, jednak naszym obowiązkiem jest go osądzić, a nie mu wybaczyć. Co do osądu tyającego się konkretnie jego zachowania, o co Müller prosił mnie implicite, dyskretnie wspominałem o dwóch znanych mi przypadkach jego niemieckich kolegów, którzy zrobili dla nas coś, co wymagało o wiele większej odwagi niż ta, jaką on sobie przypisywał. Przyznawałem, że nie wszyscy rodzą się bohaterami, że świat, w którym w s z y s c y byliby tacy jak on, to znaczy uczciwi i bezbronni, byłby do zniesienia, ale jest to świat nierealny. W świecie realnym istnieją uzbrojeni ludzie, którzy budują Auschwitz, a uczciwi i bezbronni nie stają im na drodze. Dlatego za Auschwitz musi odpowiedzieć każdy Niemiec, więcej, każdy człowiek, zaś po Auschwitz nikt nie ma już prawa być bezbronny. O spotkaniu na Riwierze nie wspominałem ani słowa.

Tego samego wieczoru Müller zadzwonił do mnie z Niemiec. Połączenie było złe, a poza tym nie jest mi już łatwo zrozumieć niemiecki przez telefon. Jego głos był zmęczony i jakby łamliwy, ton zaś wyraźnie podniecony. Zapowiadał mi, że na Zielone Świątki, za sześć tygodni, przyjedzie do Finale Ligure. Czy moglibyśmy się spotkać? Wzięty z zaskoczenia, odpowiedziałem, że tak. Poprosiłem, by we właściwym czasie poinformował mnie o szczegółach swego przyjazdu i odłożyłem na bok niepotrzebny już brudnopis listu.

Osiem dni później otrzymałem od pani Müller wiadomość o nagłej śmierci doktora Lothara Müllera w sześćdziesiątym roku jego życia.

⁸² Autor nawiązuje tu do *Boskiej komedii*, według której w Przedpieklu przebywają dusze ludzi gnuśnych (wł. *ignavi*), którzy za życia nie opowiedzieli się ani po stronie dobra, ani po stronie zła. Por. Dante Alighieri, *Boska komedia, Czyściciel*, XVII.

WĘGIEL

Czytelnik zdążył się już zapewne zorientować, że nie jest to traktat chemiczny: moje ambicje nie sięgają aż tak daleko, „*ma voix est faible, et même un peu profane*”⁸³. Nie jest to też autobiografia, a jeśli już, to tylko po części i w znaczeniu symbolicznym, w jakim autobiografią jest każdy utwór literacki, więcej – każde ludzkie dzieło. Stanowi jednak w jakimś stopniu historię. Jest to, a przynajmniej miała być, mikrohistoria, historia pewnego zawodu, jego porażek, zwycięstw i bolączek, o których pragnie opowiedzieć każdy, kto czuje, że jego kariera powoli zatacza łuk, a sztuka przestaje być długotrwała⁸⁴. Jakiż chemik w tym momencie swojego życia, stojąc przed układem okresowym pierwiastków czy też przed monumentalnymi tablicami Beilsteina i Landolta, nie dostrzega w nich porzucanych smętnych strzępów lub trofeów własnej przeszłości zawodowej? Wystarczy, żeby przejrzał dowolną rozprawę, a wynurzają się wspomnienia. Są pośród nas tacy, którzy nieodwracalnie związali swój los z bromem albo z propylenem, lub też z grupą – NCO czy z kwasem glutaminowym. Każdy student chemii, mając przed sobą jakikolwiek traktat, powinien być świadomy, że oto na jednej z tych stron – a może w jednym wierszu, formule lub zdaniu – zapisana jest jego przyszłość, pismem nieczytelnym, które stanie się wyraźne dopiero „potem”: po sukcesie lub błędzie czy winie, po zwycięstwie lub porażce. Każdy niemłody już chemik, otwierając ponownie ten sam traktat na *verhängnisvoll Blatt*⁸⁵, czuje, jak przeszywa go miłość lub odraza, weseli się bądź rozpacza.

I tak każdy pierwiastek jakoś do nas przemawia (do każdego inaczej), niczym odwiedzone za młodu doliny oraz plaże. Być może należałoby tu uczynić wyjątek dla węgla, ponieważ mówi on wszystko wszystkim, a więc nie jest specyficzny, tak jak Adam nie jest przypisany jednej osobie jako praojciec. Chyba że dałoby się odnaleźć dzisiaj (czemuż by nie?) chemika-słupnika, który poświęcił całe swoje życie grafitowi lub diamentowi. A mimo wszystko to właśnie wobec węgla mam mój dawny dług, zaciągnięty jeszcze w owym decydującym dla mnie okresie. To w kierunku węgla, pierwiastka życia, biegły moje pierwsze marzenia literackie, które snułem nieprzerwanie, kiedy moje życie niewiele było warte. Tak, pragnąłem opowiedzieć historię atomu węgla.

Czy można mówić o „pewnym” atomie węgla? Chemik ma wątpliwości, ponieważ do dziś (do roku 1970) nie są znane techniki, które pozwoliłyby zobaczyć, a w każdym razie wyizolować, pojedynczy atom. Żadnych wątpliwości nie ma za to narrator, który właśnie rozpoczyna swoją opowieść.

A zatem nasz bohater spoczywa od setek milionów lat, związany z trzema atomami tlenu i jednym atomem wapna, pod postacią skały wapiennej. Ma już za sobą długą historię kosmiczną, którą my jednak pominiemy. Dla niego czas nie istnieje, bądź też objawia się jedynie pod postacią leniwych zmian temperatur, dziennych i sezonowych. Pod warunkiem, że złożę, na potrzeby niniejszego opowiadania, jest niezbyt oddalone od powierzchni ziemi.

⁸³ „*Ma voix est faible...*” (fr.) – „Głos mam człowieka słabego, a nawet profana”. Cytat pochodzi z pierwszych wersów *Pucelle d'Orléans* Voltaire'a.

⁸⁴ Jest to parafraza łacińskiego przysłowia „*Vita brevis, ars longa*” – „Życie jest krótkie, a sztuka długotrwała”.

⁸⁵ *Verhängnisvoll Blatt* (niem.) – fatalnej stronie.

Egzystencja atomu, o której monotonii nie można myśleć bez przerażenia, stanowi bezlitosne przeplatanie się ciepła i zimna, a więc drgań (o takiej samej częstotliwości) o zasięgu raz nieco mniejszym, raz nieco większym. Dla atomu, potencjalnie żywotnego, jest to niewola niczym z katolickiego piekła. W jego przypadku, aż do tego momentu, odpowiedniejsze jest raczej użycie czasu teraźniejszego, właściwego opisowi, aniżeli czasu przeszłego, będącego czasem tego, kto opowiada. Atom trwa zastygły w wiecznej teraźniejszości ledwie zmaconej drobnymi drganiami ruchu cieplnego.

Jednak, na szczęście dla narratora, który w przeciwnym razie zakończyłby tu swoją opowieść, pokłady wapienia zawierające nasz atom znajdują się blisko powierzchni. Zalegają w zasięgu ręki człowieka oraz jego kilofa (chwała kilofowi i jego współczesnym odpowiednikom: są one niezmiennie najważniejszymi pośrednikami w tysiącletnim dialogu między pierwiastkami a człowiekiem). W pewnym momencie – który ja, narrator, w sposób arbitralny postanawiam wyznaczyć na rok 1840 – uderzenie kilofa oderwało atom węgla, dając początek jego drodze do pieca wapiennego, i strąciło go do świata rzeczy zmiennych. Prażono go, żeby oddzielił się od wapna, które, mówiąc eufemistycznie, stało twardo na ziemi i ruszyło naprzeciw mniej błyskotliwej przyszłości, o czym nie będziemy tu opowiadać. On zaś, dalej trzymając się kurczowo dwóch towarzyszy pozostałych spośród początkowych trzech atomów tlenu, wyleciał kominem i ruszył w drogę przez powietrze. Jego historia ze statycznej staje się burzliwa.

Porwał go wiatr, rzucił o ziemię, uniósł w górę na dziesięć kilometrów. Odetchnął nim sokół, on zaś zszedł do jego przepastnych płuc, lecz nie przedostał się do bogatej krwi i został wydalony. Trzy razy rozpuścił się w morskiej wodzie, raz w wodospadzie i znowu został wydalony. Podróżował z wiatrem przez osiem lat: to wysoko, to nisko, ponad morzem i pośród chmur, ponad lasami, pustyniami i bezkresnymi połaciami lodu. Potem przytrafiły mu się niewola i przygoda organiczna.

Węgiel jest istotnie pierwiastkiem niezwykłym. On jeden potrafi, nie zużywając przy tym wiele energii, połączyć się sam ze sobą w długie, trwałe łańcuchy tak potrzebne ziemskiemu życiu (jedynemu, jakie dotąd znamy). Dlatego też węgiel jest kluczowym pierwiastkiem materii żywej. Jednak początki jego kariery, jego wejście do świata ożywionego nie są łatwe i musi on odbyć obowiązkową i skomplikowaną drogę, którą opisano (choć jeszcze nie do końca) dopiero w ostatnich latach. Gdyby proces przejścia węgla do świata organicznego nie odbywał się codziennie wokół nas na skalę miliardów ton tygodniowo, tam gdzie tylko zabłyśnie zielenią liścia, miałby on pełne prawo do miana cudu.

Atom, o którym mowa, w towarzystwie swoich dwóch satelitów utrzymujących go w stanie gazowym, w roku 1848 został przegnany przez wiatr wzdłuż szpalerów winorośli. Miał to szczęście, że otarł się o pewien liść, wniknął do niego i wtedy przygwoździł go promień słońca. Jeśli w tym miejscu mój język staje się nieprecyzyjny i aluzyjny, nie jest to wynikiem jedynie mojej ignorancji. To decydujące zdarzenie, ta błyskawiczna praca trójki: dwutlenku węgla, światła i zieleni roślin, dotychczas nie została dostatecznie opisana. Być może nie stanie się to jeszcze przez długi czas, tak bardzo różni się ona od pozostałej chemii organicznej, będącej monumentalnym, powolnym i ociężałym tworem człowieka. A przecież ową lekką i zwinną chemię „wynałazyły” dwa czy trzy miliardy lat temu nasze ciche siostry, rośliny, które nie eksperymentują ani nie dyskutują i których temperatura jest identyczna jak temperatura otaczającego je środowiska. Jeżeli zrozumieć znaczy stworzyć obraz czegoś, to nigdy nie uda nam się zrozumieć owego happeningu, który odbywa się w skali jednej milionowej milimetra, w rytmie jednej milionowej sekundy i którego uczestnicy są ze swej natury niewidoczni. Każdy słowny opis będzie wybrakowany, jeden wart drugiego. Niech zatem wystarczy ten poniższy.

Atom przenika do liścia, zderzając się z niezliczonymi (lecz tu nieprzydatnymi) cząsteczkami azotu i tlenu. Przyłącza się do dużej i zbitej cząsteczki, która go aktywuje, i

równocześnie otrzymuje z nieba decydującą wiadomość pod porażającą postacią wiązki światła słonecznego. W jednej chwili atom węgla, uwięziony niczym owad – ofiara pająka, zostaje oderwany od swego tlenu, połączony z wodorem i (jak się uważa) fosforem, a na końcu wepchnięty do łańcucha: czy jest on długi czy krótki, to nieistotne, jest to bowiem łańcuch życia. Wszystko to odbywa się szybko, w ciszy, przy temperaturze i ciśnieniu naszego otoczenia, i oczywiście gratis. Drodzy koledzy, kiedy już nauczymy się czegoś podobnego, będziemy *sicut Deus*⁸⁶, a także rozwiążemy problem głodu na świecie.

Ale jest coś jeszcze gorszego, co zawstydza nas samych i naszą sztukę. Dwutlenek węgla, a więc powietrzna forma węgla, o której do tej pory mówiliśmy, ten gaz stanowiący surowiec życia, do którego niekończących się zapasów sięga wszystko to, co wzrasta, i który okazuje się ostatecznym przeznaczeniem każdego ciała, nie jest jednym z głównych składników powietrza. Stanowi raczej jego śmieszny ostatek, „nieczystość”, trzydziestokrotnie rzadszą niż argon, którego nikt nie zauważa. W powietrzu jest go 0,03 procent. Gdyby Włochy były powietrzem, jedynymi mieszkańcami Italii tworzącymi życie byłoby, dajmy na to, 15 000 obywateli Milazzo z prowincji mesyńskiej. Jest to, na ludzką skalę, prześmiewcza sztuczka, kuglarski żart, niezrozumiały pokaz wszechpotęgi i arogancji, ponieważ od owej nieustannie odnawiającej się nieczystości powietrza wywodzimy się my: my, zwierzęta, my, rośliny i my, gatunek ludzki, z naszymi czterema miliardami niezgodnych opinii, tysiącami lat historii, wojen, hańby, szlachetności i dumy. Zresztą z racjonalnego punktu widzenia już sama nasza obecność na tej planecie jest śmieszna. Gdyby całą ludzkość, około 250 milionów ton, rozproszyc na wszystkich lądach równomierną warstwą, nie byłaby ona dostrzegalna gołym okiem – grubość otrzymanej powłoki wynosiłaby około jednej szesnastotysięcznej milimetra.

A zatem nasz atom jest już połączony: stanowi część konstrukcji, mówiąc językiem architektów. Związał się z pięcioma towarzyszami tak do siebie podobnymi, że jedynie dzięki fikcji opowiadania jestem w stanie ich rozróżnić. Jest to piękna struktura pierścieniowa, niemalże regularny sześciokąt, podlegający skomplikowanej wymianie i równowadze w stosunkach z wodą, w której jest rozpuszczony. Ponieważ już znajduje się w wodzie, więcej, w sokach winorośli, a owo rozpuszczenie jest obowiązkiem oraz przywilejem wszelkich substancji, którym pisane jest przeobrażenie (już miałem powiedzieć „które pragną się przeobrazić”). Jeśli zaś ktoś chciałby koniecznie wiedzieć, dlaczego właśnie pierścień i dlaczego sześciokąt, i dlaczego jest rozpuszczalny w wodzie, niech będzie spokojny: jest to jedno z niewielu pytań, na które nasza nauka potrafi odpowiedzieć za pomocą przekonującego i ogólnie zrozumiałego wyводу, który jednak byłby tu nie na miejscu.

Mówiąc pokrótce, węgiel stał się elementem cząsteczki glukozy. Jest to przeznaczenie dość nijakie, pośrednie, które przygotowuje go na pierwsze spotkanie ze światem zwierząt, ale nie pozwala mu przyjąć odpowiedzialności większej niż tę wynikającą z bycia budulcem struktury białka. Podróżował zatem w nieśpiesznym tempie soków roślinnych, z liścia przez łodyżkę i przez pęd aż do pnia, a stąd dotarł do dojrzewającej kiści winogron. To, co potem nastąpiło, należy już do kompetencji winiarzy. My chcemy jedynie uściślić, że nasz atom umknął fermentacji alkoholowej (z korzyścią dla nas, ponieważ nie umielibyśmy opisać jej słowami) i trafił do wina, nie zmieniając przy tym swojej natury.

Przeznaczeniem wina jest to, by zostać wypitym, zaś przeznaczeniem glukozy – by ulec oksydacji. Jednak nie od razu została ona poddana utlenieniu. Ten, kto wypił glukozę, trzymał ją w swojej wątrobie przez ponad tydzień, zwiniętą w kłębek i spokojną, jako rezerwę w razie niespodziewanego wysiłku. Wysiłek musiał wykonać w następną niedzielę, goniąc za spłoszonym koniem. Żegnaj, strukturo sześciokąta: w przeciągu paru chwil kłębek rozwinął się i na powrót stał się glukozą, tę zaś strumień krwi poniósł aż do włókienka mięśniowego

⁸⁶ *Sicut Deus* (tac.) – jak Bóg.

jednego z ud, gdzie została brutalnie rozerwana na dwie cząsteczki kwasu mlekowego, smutnego herolda wysiłku. Dopiero kilka minut później ciężki oddech płuc mógł dostarczyć tlenu, potrzebnego, by na spokojnie utlenić kwas. W ten sposób nowa cząsteczka dwutlenku węgla powróciła do atmosfery, a jedna cząstka energii, którą słońce obdarzyło pęd, przeszła ze stanu energii chemicznej do stanu energii mechanicznej. Następnie zaś rozparła się pod leniwą postacią ciepła, niepostrzeżenie rozgrzewając zmałone powietrze oraz krew biegnącego. Takie jest życie, chociaż rzadko tak się je opisuje: polega na przyłączaniu się, dryfowaniu dla własnej korzyści, pasożytowaniu na wędrówce energii w dół, od jej postaci słonecznej do zdegradowanej formy ciepła o niskiej temperaturze. To na tej wędrówce ku dołowi, która prowadzi do równowagi, a zatem do śmierci, życie kreśli swoje meandry i na niej się zasadza.

Znowu jesteśmy dwutlenkiem węgla, za co przepraszamy: także ten etap jest obowiązkowy. Można by wyobrazić sobie albo wymyślić jakiś inny, ale na ziemi tak właśnie się dzieje. Znow wieje wiatr, który tym razem niesie nas daleko: przemierzamy Apeniny i Adriatyk, Grecję, Morze Egejskie i Cypr. Znajdujemy się nad Libanem i taniec rozpoczyna się od nowa. Nasz bohater uwięziony jest teraz w pewnej strukturze, a ta wydaje się długotrwała: jest to szacowny pień cedru, jednego z ostatnich. Atom przebył opisane wcześniej stadia i cząsteczka glukozy, do której teraz przynależy, stanowi, niby paciorek różańca, część długiego łańcucha celulozy. Nie mamy już do czynienia z niezwykle geologiczną trwałością skały czy z milionami lat, ale spokojnie możemy mówić o stuleciach, ponieważ cedr jest drzewem długowiecznym. Od nas zależy, czy zostawimy tam atom na rok czy na pięćset lat. Powiedzmy, że po dwudziestu latach (w roku 1868) zajął się nim pewien kornik. Wydrążył swój tunel między pniem a korą, z zawziętą i ślepą żarłocznością właściwą jego gatunkowi. Ryjąc tunel, urósł, a jego korytarz ciągle się powiększał. No i właśnie – połknął i uwięził w sobie bohatera tej historii. Następnie przepoczwarzył się i na wiosnę wyszedł pod postacią brzydkiego szarego motyla, który teraz suszy się na słońcu, otumaniony i oślepiiony blaskiem dnia. A on jest tam, w jednym z tysięcy owada i bierze udział w pobieżnym i prymitywnym postrzeganiu, dzięki któremu motyl orientuje się w przestrzeni. Owad zostaje zapłodniony, składa jajeczka i zdycha. Małeńkie ciało spoczywa w ściółce, pozbywa się swoich płynów ustrojowych, ale chitynowy pancerzyk wytrzymuje długo, jest niemalże niezniszczalny. Na przemian powracają nad niego śnieg i słońce, nie naruszając go. Leży pogrzebany pod martwymi liśćmi oraz próchnicą, stał się śmiertelnymi szczątkami, „rzeczą”, ale śmierć atomu, w przeciwieństwie do naszej, nigdy nie jest ostateczna. Oto do pracy przystępują wszechobecni, niestrudzeni i niewidoczni grabarze znajdujący się w ściółce – mikroorganizmy próchnicy. Pancerzyk, wraz ze swoimi ślepych już oczami, powoli zostaje rozczłonkowany i eks-konsument wina, eks-cedr i eks-kornik ponownie wznosi się w powietrze.

Pozwolimy mu trzykrotnie oblecieć świat, aż do roku 1960 i na usprawiedliwienie tej przerwy, tak długiej według ludzkiej miary, zauważmy, że jest ona i tak znacznie krótsza od średniej, która, jak się nas zapewnia, wynosi dwieście lat. Co dwieście lat każdy atom węgla, który nie został uwięziony w materiałach stałych (jak na przykład wapień albo węgiel kamienny, diament lub niektóre masy plastyczne), na nowo wkracza do cyklu życiowego przez wąskie drzwi fotosyntezy. Czy istnieją inne drzwi? Owszem, pewne syntezы będące ludzkim dziełem. Są one tytułem do nobilitacji dla człowieka-twórcy, lecz jak do tej pory ich znaczenie pod względem ilościowym jest znikome. Są to drzwi o wiele węższe niż drzwi zieleni roślin. Człowiek, świadomie lub nie, jak dotąd nie starał się współzawodniczyć na tym polu z naturą, to znaczy nie uczynił żadnego wysiłku, żeby z zawartego w powietrzu dwutlenku węgla czerpać węgiel, który jest mu niezbędny, by się odżywiać, ubrać, ogrzać, a także by zaspokoić setki innych najbardziej wyszukanych potrzeb współczesnego życia. Nie zrobił tego nie dlatego, że węgiel nie był mu potrzebny: odnalazł, i ciągle jeszcze znajduje

(ale jak długo będzie to jeszcze trwało?) gigantyczne rezerwy węgla organicznego, a przynajmniej już zredukowanego. Poza światem roślin i zwierząt na rezerwy te składają się pokłady węgla kamiennego oraz ropy, choć także i one stanowią owoc fotosyntezy z odległych epok. Dlatego można równie dobrze stwierdzić, że fotosynteza jest nie tylko jedyną drogą ożywienia węgla, ale także jedynym sposobem, aby energia słoneczna stała się przydatna z chemicznego punktu widzenia.

Da się udowodnić, że ta całkowicie subiektywna historia jest mimo wszystko prawdziwa. Mógłbym opowiedzieć nieskończoną ilość najróżniejszych historii i wszystkie byłyby prawdziwe: wszystkie mówiłyby prawdę o naturze przeobrażeń, kolejności zdarzeń oraz ich datach. Liczba atomów jest na tyle duża, że zawsze dałoby się znaleźć jeden, którego historia pokrywałaby się z jakąkolwiek historią ułożoną podług fantazji. Mógłbym bez końca opowiadać o atomach węgla, które stają się kolorami lub zapachami kwiatów; o innych, które z niewielkich wodorostów, poprzez małe skorupiaki i coraz to większe ryby, powracają do postaci dwutlenku węgla w morskich wodach, w niekończącym się i przerażającym kolistym tańcu życia i śmierci, w którym każdy pożerający natychmiast zostaje pożarty; o jeszcze innych, które na pozółkłych stronach jakiegoś archiwalnego dokumentu lub na płótnie słynnego malarza osiągają szlachetną pół-wieczność; o tych, którym przypadł zaszczyt, by stać się częścią ziarenka kwiatowego pyłku, i pozostawiły na skale swój skamieniały ślad, wzbudzając tym naszą ciekawość; o jeszcze innych, które stanowią część tajemniczych posłańców formy w ludzkim nasieniu i uczestniczyły w delikatnym procesie oddzielenia, podziału i łączenia, z którego każdy z nas bierze swój początek. Jednak opowiem tylko jeszcze jedną historię, najbardziej tajemniczą. Opowiem ją z pokorą i powściągliwością tego, kto już od samego początku wie, że jego temat jest beznadziejny, środki wątle, a sztuka ubierania faktów w słowa zawodna z głębi swej natury.

I znów jest pośród nas, w szklance mleka. Znajduje się w długim łańcuchu, bardzo skomplikowanym, ale szczególnym, bo prawie wszystkie jego ogniwa są akceptowane przez ludzki organizm. Zostaje połknięty, a ponieważ każda struktura żyjąca nosi w sobie pierwotną nieufność w stosunku do wszelkiego materiału pochodzącego od istot żywych, łańcuch zostaje dokładnie rozczłonkowany, a jego elementy po kolei przyjęte bądź odrzucone. Jeden z nich, ten najbliższy naszemu sercu, przekracza granicę żołądka i dostaje się do strumienia krwi. Przemieszcza się, puka do drzwi pewnej komórki nerwowej, wchodzi i zastępuje inny węgiel, który był jej częścią. Ta komórka należy do pewnego mózgu i jest to mój mózg, tego, który pisze, zaś niniejsza komórka, a w niej niniejszy atom, odpowiadają za moje pisanie, w tej ogromnej, a zarazem mikroskopijnej grze, której reguł nikt jeszcze nie wyjaśnił. To właśnie ta komórka, w tym momencie, niezależnie od spletanego labiryntu moich „tak” i „nie”, sprawia, że dłoń podąża pewną ścieżką po papierze, kreśląc na nim esy-floresy, które są znakami. Podwójny ruch, w górę i w dół, pomiędzy dwoma poziomami energii, prowadzi moją rękę, żeby postawiła na kartce tę oto kropkę: właśnie tę.